

**ROBERT  
CRAIS**

**O P I E K U N**

*Lauren dedykuje.*

*Miłości nie starczy  
ani poświęcenia i dumy.*

## Podziękowania

Aaronowi Priestowi, czyli Joe Pike'owi wśród agentów literackich, który wszystko ponagrywał, podopinał, sprzedał.

Pat Crais, najbardziej przerażającej adjustatorce w branży wydawniczej, która z oddaniem i gorliwością przejęła po mnie pałeczkę.

Moim wydawcom, Louise Burkę i Davidowi Rosenthalowi, którzy podtrzymywali mnie na duchu swoim wsparciem, wstawiennictwem i siłą.

Moim redaktorom, Marysue Rucci i Kevinowi Smithowi, za kupę śmiechu oraz za intuicję i wnikliwość, która nadała książce nowy wymiar i głębię. Jonowi Woodowi, mojemu brytyjskiemu redaktorowi z Oriona, za niezachwiane wsparcie w stresie wynikającym z prób dotrzymania straszliwie krótkich terminów.

Laurze Grafton, dyrektorce Brilliance Audio za olbrzymi wkład w niniejszą książkę.

Clayowi Fourrierowi z Dovetail Studio, projektantowi i twórcy strony internetowej [www.robertcrais.com](http://www.robertcrais.com). Carol Topping, która tę stronę prowadzi i pisze biuletyny informacyjne. To właśnie dzięki Carol i Clayowi mogę utrzymywać zadziwające relacje z czytelnikami z całego świata.

Serce czyste stwórz we mnie, o Boże,  
A ducha prawego odnów we mnie!

*Psalm 51:12*

Cicho sza, kochanie, połóż się i śpij.  
Święci aniotowie *strzegą twego łóża!*

*Isaac Watts*

Pike - ang. szczupak: drapieżna  
ryba wód słodkich i słonawych  
znana z szybkości i agresywności.

*Oxford American Dictionary*

## **Prolog**

# **MIASTO ANIOŁÓW**

## Miasto Aniołów

Miasto należało do niej przez jedną godzinę, tylko przez tę jedną magiczną godzinę, tylko do niej. W dniu wypadku, między trzecią i czwartą nad ranem, gdy ulice były puste i gdy czuwały nad nimi anioły, pędziła na wschód Wilshire Boulevard z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę, nie zwalniając przed czerwonymi światłami, od których roіło się na odcinku zwanym Czarodziejską Miłą, nie zwalniając ani odrobinę, ani razu, śmigając przez skrzyżowania jak wiatr, z policzkami poprzecinanymi niebieskimi smużkami błyszczącego tuszu do rzęs.

Na policji zezna później, że przed wypadkiem była na Yucca w Hollywood, w jednym z tych modnych klubów z tłumem paparazzi pod drzwiami. Przez godzinę unikała podstarzałego aktora, gwiazdora filmów akcji, rozmawiając z przyjaciółmi (tymi, którzy żyli z funduszu powierniczego, z młodymi, bogatymi mieszkańcami zachodniego Hollywoodu, z aktorami, agentami i muzykami, nazwiska bez oporów podała policji), patrząc, jak obfotografują się wzajemnie komórkami, jak posyłają sobie całusy i pozują z kolorowymi jak tęcza drinkami. Sierżant, który ją przesłuchiwał, uniósł brew, kiedy powiedziała mu, że nic nie piła,

lecz alkomat to potwierdził; ot, napoczęła jedynie kieliszek Kosmicznej Dziewicy, i tyle.

Trzecia była jej czarodziejską godziną. Kiedy parkingowy podstawił jej aston martina, dała mu stowę i wyruszyła po przygodę z czerwonymi światłami. Pięć ulic dalej zatrzymała się na środku Hollywood Boulevard i wyłączyła silnik, żeby porozkoszować się kaszmirową bryzą. Ze wzgórz płynął zapach jaśminu i rozmarynu. Cichutko tykał stygnący silnik, lecz ona wsłuchiwała się w ciszę. Bezruch, jaki spowijał miasto o tej godzinie, zapierał dech w piersiach.

Popatrzyła na okoliczne domy i wyobraziła sobie, że na krawędzi ich dachów przycupnęły anioły, wysokie, smukłe anioły z opadającymi skrzydłami, że zastygły tam w ciszy, obserwując ją obojętnie jak w wiecznym śnie. Dajemy ci miasto, mówily. Nikt cię nie widzi. Bądź wolna.

Nazywała się Larkin Conner Barkley. Miała dwadzieścia dwa lata. Mieszkała w odlotowym lofcie w centrum miasta, w dzielnicy początkujących malarzy i muzyków z obydwu wybrzeży Stanów, niedaleko rzeki Los Angeles. Loft i wszystkie pozostałe mieszkania w budynku należały do jej rodziny.

Wcisnęła pedał gazu i poczuła wiatr we włosach. Pojechała dalej, najpierw na południe, potem na wschód, śmiejąc się coraz bardziej wilgotnymi oczami. Za oknem przemykały światła; czerwone czy zielone, miała to gdzieś. Ostrzegawcze trąbienie klaksonów ginęło w szumie powietrza. Chłostały ją i smagały długie, miedziane włosy. Zamknęła oczy i nie otwierała ich dłużej niż zwykle, a potem nagle otworzyła, gwałtownie i szeroko, i roześmiała się głośno, bo wciąż jechała prosto, prościutko jak po sznurku.

Sto trzydzieści pięć.

Sto sześćdziesiąt...

Czarny jak smoła kabriolet, niewyraźny cień z rozmazaną

smugą alabastrowej twarzy i miedzianych jak u Meduzy włosów, pędzący przez miasto dziko i swobodnie. Przemknęła pod łukiem w parku MacArthura i zobaczyła, jak wybiega jej na spotkanie pasmo autostrady, strzegący śródmieścia mur. Zwolniła, ale tylko trochę, tylko troszeczkę i gdy na coraz węższych ulicach zaczęły pojawiać się samochody, śmigające nad autostradą w kierunku gęstwiny jednokierunkowych uliczek śródmieścia - Szóstej, Siódmej, Czwartej, Dziewiątej, Grand Hill i Main - skręciła tam, gdzie chciała, pojechała w złą stronę, wcisnęła pedał gazu, popędziła w kierunku rzeki, zwolniła, zwolniła jeszcze bardziej i wszystko pomarszczyło się i rozmazało. Jak zwykle.

Wmawiała sobie, że to przez ten suchy, nocny wiatr, przez rozwiane włosy i wieńczące samotny wyścig łyzy, ale bez względu na to, czy było sucho czy nie, czy włosy miała spięte czy rozpuszczone, zawsze było tak samo. Wiedziała, że przez kilka minut szaleńczej jazdy mogła być i była sobą, czysto i prawdziwie sobą, że wtedy się odnajdywała, by zwalniając, znowu się zagubić i zostać w tyle, podczas gdy jej prawdziwe „ja”, wolne i nieskrępowane, pędziło dalej w pustą noc...

Przecięła Alamedę. Prędkość spadała jak krople krwi z sączącej się rany.

Sto.

Dziewięćdziesiąt pięć.

Osiemdziesiąt pięć...

Skręciła na północ, w przemysłową ulicę biegnącą równoległe do rzeki. Była ledwie kilka przecznic od domu, gdy eksplodowała poduszka powietrzna. Wóz obrócił się bokiem i znieruchomiał. Biały proszek zawisł w powietrzu jak mgła, obsypał jej ręce i ramiona. Tamten samochód tylko mignął jej przed oczami. Był jak nieuchwytny cień w morskiej otchłani, był smugą ruchu, świetlistą i rozmytą przez łyzy. Ułamek sekundy później doszło do zderzenia.



Rozpięła pas i z trudem wysiadła. Srebrzysty mercedes stał na chodniku z zerwanym, mocno wgniecionym tylnym zderzakiem. Z przodu siedzieli mężczyzna i kobieta, mężczyzna za kierownicą. Drugi mężczyzna siedział z tyłu, blisko miejsca, gdzie ich uderzyła. Kierowca pomagał kobiecie, która miała zakrwawioną twarz. Ten z tyłu leżał na boku i próbował się podnieść, ale nie miał siły.

Larkin zastukała w okno.

- Jesteście cali? Mogę jakoś pomóc?

Kierowca spojrział na nią tępym wzrokiem i zobaczył ją dopiero po chwili. Otworzył drzwiczki. Miał rozciętą brew.

- O Boże - wykrztusiła Larkin. - Przepraszam, bardzo przepraszam. Zadzwoń na pogotowie. Wezwę karetkę...

Kierowca - pięćdziesiąt kilka lat, elegancko ubrany i opalony - miał wielki złoty sygnet na prawej ręce i piękny zegarek na lewej. Kobieta gapiała się w osłupieniu na swoje zakrwawione palce. Siedzący z tyłu mężczyzna wypelznął z samochodu, upadł na kolana i przytrzymując się drzwiczek, powoli wstał.

- Nic nam nie jest - powiedział - to nic.

Larkin zdała sobie sprawę, że komórkę zostawiła w samochodzie. Musiała wezwać pomoc.

-Niech pan usiądzie. Zadzwoń na...

-Nie. A pani? Nic się pani nie stało?

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę, ale ugięła się pod nim noga. Larkin zobaczyła go wyraźnie w rozmytym świetle reflektorów. Miał duże oczy, duże i tak ciemne, że prawie czarne.

Pobiegła do samochodu. Telefon leżał na podłodze i właśnie wybierała numer, gdy wlokąc za sobą zderzak, mercedes zjechał nagle z chodnika.

- Hej, zaczekajcie!

Zawołała jeszcze raz, ale tamci nie zwolnili. Wyteżyła wzrok, żeby zapamiętać ich numer rejestracyjny i wtedy usły-

szata kroki mężczyzny z tylnego siedzenia, który uciekał środkiem ulicy.

Z odrętwienia i konsternacji wyrwał ją metaliczny głos operatora:

-Tu dziewięćset jedenaście, słucham.

-Miałam wypadek, wypadek samochodowy i...

-Czy ktoś jest ranny?

-Oni odjechali. Ten mężczyzna, nie wiem...

Zamknęła oczy i szybko wyrecytowała numer rejestracyjny. Bała się, że go zapomni, więc wyjęła błyszczący do ust - różowoczerwony - i zapisała go na przedramieniu.

-Czy potrzebuje pani pomocy?

Zachwiała się i zadygotała.

-Halo? Proszę pani?

Ziemia przechyliła się na bok i Larkin usiadła.

-Proszę pani, gdzie pani jest?

Spróbowała odpowiedzieć.

-Proszę pani? Halo?

Położyła się na twardej, chłodnej jezdni. Mroczne budynki pochyliły się nad nią niczym rozmodleni mnisi w ciemnym lesie. Powiodła wzrokiem po dachach, wypatrując aniołów.

Pierwszy radiowóz nadjechał już po siedmiu minutach, karetka trzy minuty później. Po przesłuchaniu pomyślała, że to nareszcie koniec, ale jej koszmar dopiero się zaczął.

Za czterdzieści osiem godzin miała spotkać się z przedstawicielami prokuratury i agentami Departamentu Sprawiedliwości. Za sześć dni miała przeżyć pierwszy zamach na swoje życie. A za dni jedenaście poznać Joego Pike'a.

Zmienić się miał cały jej świat. A wszystko zaczęło się właśnie wtedy. Tamtej nocy.

**Dzień pierwszy**

**NIE WYMIERAJ**

# 1

Dziewczyna wysiadła z samochodu niemrawo i z kwaśną miną, dając mu do zrozumienia, że nie podoba jej się ani ten anonimowy, zapuszczony dom, ani spieczona przez słońce ulica zalatująca zapachem chili i *episote*. On natomiast uważał, że dom jest w sam raz. Czekał na nią i wypatrując zagrożenia, przeszukał wzrokiem okolice, przecesał ją tak, jak ktoś inny przecesałby ręką włosy. Czuł, że w koszuli z długimi rękawami rzuca się w oczy. Kalifornijskie słońce było za gorące na takie ciuchy, ale nie miał wyboru. Poruszał się ostrożnie, żeby ukryć to, co pod nią schował.

-Ludzie, którzy mieszkają w takich domach, mają kałki dzieci. Nie zostanę tu ani minuty.

-Mów ciszej.

-Przez cały dzień nic nie jadłam. Wczoraj też nic, i przez ten zapach dziwnie się czuję.

-Zjemy, kiedy będzie bezpiecznie.

Gdy podeszła bliżej, otworzyły się drzwi i w progu stała kobieta, ta od Buda, niska, przysadzista, z końskimi zębami i przyjaznym uśmiechem na twarzy. Nazywała się Imelda Arcano. Zarządzała kilkoma domami i apartamentami do wynajęcia w Eagle Rock i Bud robił z nią interesy już przedtem. Pike miał nadzieję, że Imelda nie zauważy

czterech równiutkich dziur, które woził na tylnym zderzaku od poprzedniego wieczoru.

Odwrócił się tyłem do drzwi, żeby pogadać z dziewczyną.

- Przez te fochy ktoś cię zapamięta. Przestań się dąsać. Masz być niewidzialna.

- To czemu nie mogę zaczekać w samochodzie?

Zostawić ją samą? Wykluczone. Nie do pomyslenia.

- Nic nie mów. Nie patrz jej w oczy. Ona nic o nas nie wie, więc pozwól, że to ja się nią zajmę.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Cały ty. Chcę to zobaczyć, chcę zobaczyć, jak się nią zajmujesz. Jak ją oczarowujesz.

Wziął ją pod rękę i ruszyli do drzwi. Trzeba przyznać, że poszła z nim, nie robiąc sceny i lekko się garbiąc, tak jak ją nauczył. Była w dużych ciemnych okularach i czapeczce Dodgersów, ale i tak chciał, żeby jak najszybciej zniknęła z ulicy.

Kiedy podeszli do drzwi, pani Arcano powitała ich szerokim uśmiechem.

- Pan Johnson?

-Tak.

- Gorąco dziś, prawda? Ale w środku jest chłodno. Ma my tu bardzo dobry klimatyzator. Nazywam się Arcano. Imelda Arcano.

Po koszmarze w Malibu Bud załatwił im nowy dom, podrzucił pieniądze i powiedział jej to, co musiała wiedzieć, czyli niewiele. Prosty układ, łatwa kasa: żadnych pytań i ci-si, spokojni lokatorzy, których za tydzień miało już nie być. Istniało duże prawdopodobieństwo, że pani Arcano nawet nie zamelduje o nich właścicielowi, że weźmie pieniądze, schowa je do kieszeni i na tym się to skończy. Mieli spotkać się z nią tylko po to, żeby odebrać klucze.

Gestem ręki zaprosiła ich do środka. Pike zawahał się

i jeszcze raz zerknął na ulicę. Była wąska i bezdrzewna -to dobrze. Miał niczym nieprzesłonięty widok w lewo i w prawo, chociaż domy stały bardzo blisko siebie, co dobre nie było. Uliczki takie jak ta zapełniały się o zmierzchu mrocznymi cieniami.

Chciał jak najszybciej pozbyć się tej Arcano, ale ona przyssała się do dziewczyny jak pijawka - baba z babą zawsze się dogada - i pokazała im cały domek, dwie malutkie sypialnie, łazienkę, mikroskopijny salonik, kuchnię i nagie podwórze. Z każdego okna spoglądał czujnie na okoliczne domy, a stojąc w progu kuchennych drzwi, uważnie obejrzał zardzewiałą siatkę, która odgradzała ich od sąsiadów i od biało-beżowego pitbula uwiązanego do żelaznego słupka na podwórzu. Pies leżał z łańcuchem na przednich łapach, ale nie spał. Pike ucieszył się na jego widok.

-Jest tu telewizja? - spytała dziewczyna.

-O tak, kablówka. Światło, woda, gaz: jest tu wszystko, czego potrzeba, nie ma tylko telefonu. Ale to rozumiałe, prawda? Nie ma sensu zakładać linii na tak krótki czas.

Zabronił jej gadać, a tu proszę, wdały się w pogaduszki. Musiał im przerwać.

- Mamy komórki. Poproszę o klucze i do widzenia.

Pani Arcano zeszytywniała, dając mu do zrozumienia, że czuje się urażona.

-Kiedy się państwo wprowadzą?

-Zaraz. Poproszę o klucze.

Zdjęła z kółka dwa klucze i wyszła. Wtedy pierwszy i jedyny raz tego dnia zostawił dziewczynę samą: odprowadził Arcano do samochodu, chcąc jak najszybciej wnieść do domu bagaże. Musiał zadzwonić do Buda. Musiał dowiedzieć się, co tam zaszło, ale przede wszystkim chciał zapewnić bezpieczeństwo dziewczynie.

Krecił się przy samochodzie, dopóki Arcano nie odjechała, a potem jeszcze raz zlustrował wzrokiem ulicę. Popatrzył

w lewo i w prawo, popatrzył na domy, na przejścia między domami i uznał, że wszystko jest w porządku. Wniósł do domu obydwie torby, swoją i dziewczyny, i torebkę z drogerii. Grał telewizor; dziewczyna skakała z kanału na kanał, szukając wiadomości. Kiedy wszedł, roześmiała się i zniżyła głos.

- „Poproszę o klucze i do widzenia”. Och, tym na pewno ją oczarowałeś. Zapomni o tobie jak nic.

Zgasił telewizor i podał jej torebkę z zakupami. Wkurzona, że przerwał jej oglądanie, nie wyciągnęła ręki, więc opuścił torebkę na podłogę.

-Obetnij włosy. Potem zorganizujemy coś do jedzenia.

-Chciałam zobaczyć, czy mówią o nas w wiadomościach.

-Przy włączonym telewizorze nic nie słyszę. Chcę słyszeć. Może później.

-Mogę wyłączyć dźwięk.

-Obetnij włosy.

Ściągnął koszulę i rzucił ją pod drzwi. Gdyby znowu musiał wyjść albo gdyby ktoś do nich przyszedł, będzie w zasięgu ręki. Za paskiem spodni miał kimbera, półautomatyczną czterdziestkępiątkę. Otworzył torbę, wyjął z niej kaburę i colta pythona magnum o czterocalowej lufie. Colt był już w kaburze, więc przypiął ją do paska z prawej strony, a kimbera dał z lewej. Kabury były pękate, przy pani Arcano nie chciał ryzykować, ale nie chciał też zostać bez broni.

Wyjął z torby rolkę taśmy klejącej i poszedł do kuchni.

- Dupek - rzuciła za nim dziewczyna.

Sprawdził, czy kuchenne drzwi są zamknięte, wszedł do sypialni, zamknął okna i opuścił rolety. Potem zabezpieczył je kawałkami taśmy, które poprzyklejał do futryn, parapetów i ścian. Jeśli ktoś otworzy okno, taśma się oderwie i usłyszysz hałas. Skończywszy, wyjął nóż i w każdej żaluzji

zrobił pionowe wycięcie, które mógł w każdej chwili poszerzyć palcem, żeby wyrzeć na ulicę. Właśnie robił ostatnie, gdy dziewczyna poszła do łazienki. Nareszcie zaczęła z nim współpracować. Wiedział, że się boi, jego i tego, co się działo, dlatego zaskoczyło go, że tak się stara. Zaskoczyło i dało nadzieję, że jeszcze trochę pożyją.

W drodze do drugiej sypialni mijał łazienkę. Dziewczyna stała przed lustrem i skracała włosy. Chwytała je dwoma palcami, podnosiła i ścinała tanimi nożyczkami z drogerii, pozostawiając pięciocentymetrowej długości wystrzępione kosmyki. Na umywalce stało kilka pudełek farby, też prosto z drogerii. Zobaczyła go w lustrze i spiorunowała wzrokiem.

- Koszmar. Będę wyglądała jak laska z butiku.

Rozebrała się do stanika, ale nie zamknęła drzwi. Pewnie chciała, żeby ją zobaczył. Była w biodrówkach, takich za pięć stów, i nosiła je tuż pod roześmianym delfinem skaczącym między dołeczkami na krzyżu. Stanik był jasnieniebieski, prawie przezroczysty i doskonale pasował kolorem do oliwkowej skóry. Patrząc na niego, bawiła się sterczącymi na wszystkie strony włosami. Rozczochrała je jeszcze bardziej, uformowała w czuby i przejrzała się w lustrze. Umywalka i podłoga były zasłane miedzianymi kłaczkami.

-Może na jasny blond? - spytała. - Może być. Co ty na to?

-Na brąz. Brąz nie rzuca się w oczy.

- A może na niebiesko? Byłoby super.

Odwróciła się przodem do niego i kusząco wygięła.

- Nie podobałoby ci się? Nie lubisz retropunku? Ani Melrose? Powiedz, że lubisz.

Bez słowa poszedł dalej. Nie kupiła niebieskiej farby. Pewnie myślała, że nie zwrócił na to uwagi, ale on zwracał uwagę na wszystko. Kupiła brązową, czarną i jasny blond. Zamknął i okleił taśmą okna w sypialni od frontu i wrócił do łazienki. Z kranu leciała woda, a pochylona nad umywalką



dziewczyna - była teraz w przezroczystych lateksowych rękawiczkach - nakładała farbę na włosy. Czarną. Zastanawiał się, kiedy spod czerni znowu wychynie miedź. Wyjął komórkę i patrząc na nią, zadzwonił do Buda.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - Co to było?

- Wczoraj, w Malibu? Nie mam zielonego pojęcia. Próbuje coś wywęszyć. Dom w porządku?

- Znali nasze namiary. Chcę wiedzieć skąd.

- Pracuję nad tym. Jak tam dziewczyna?

- Bud, chcę wiedzieć skąd.

- Jezu Chryste, przecież mówię, że nad tym pracuję. Potrzebujesz czegoś?

- Tak, informacji: skąd znali nasze namiary?

Zamknął kłapkę telefonu. Dziewczyna wyprostowała się i zanim owinęła głowę ręcznikiem, woda spłynęła jej po plecach aż na skaczącego między pośladkami delfina. Odnalazła go wzrokiem w lustrze, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Gapisz się na mój tyłek.

Zaszczekał pitbull.

Pike nie wahał się ani sekundy. Wyszarpnął z kabury rewolwer i pobiegł do sypialni od podwórza.

- Joe! - krzyknęła dziewczyna. - Niech to szlag^

Pike rozchylił palcem wycięcie w żaluzji. Dziewczyna wpadła do sypialni i zatrzymała się tuż za nim. Pies stał. Patrzył na coś poza zasięgiem ich wzroku.

- Co to? - spytała.

- Ciii...

Pitbull łypał groźnie w lewo. Miał zmarszczoną skórę na płaskim czole i postawił uszy. Już nie szczekał. Węszył.

Pike obserwował go przez szparę, nasłuchując równie intensywnie jak on.

- Co się dzieje? - szepnęła.

Pies szarpnął łańcuchem i wściekle zaszczekał.

Ktoś wychynał zza garażu. Zaczynało się. Znowu.

- Do frontowych drzwi - rzucił przez ramię Pike. - Tylko ich nie otwieraj. Szybko.

Popchnął ją i z głowy spadł jej ręcznik. Pike zarzucił na ramię obydwie torby i pokierował ją do wyjścia. Szedł o wiele szybciej i już po kilku krokach ją wyprzedził. Wyrzwał przez szparę w żaluzjach w oknie od frontu. Przez podjazd szedł jakiś mężczyzna, drugi truchtał przez podwórze w stronę domu. Pike nie widział, ilu ich jeszcze jest ani gdzie są, wiedział jednak, że jeśli zaczną ostrzeliwać się z domu, na pewno nie ujdą z życiem.

Ujął w dłonie jej twarz, żeby na niego spojrziała. Musiała zapomnieć o strachu i go usłyszeć. Spojrzała mu w oczy i wiedział już, że są razem.

- Patrz tylko na mnie. Nie na nich ani na nic innego. Tylko na mnie, rozumiesz? Kiedy dam znak, jak najszybciej biegnij do samochodu.

Teraz też nie wahał się ani sekundy.

Otworzył drzwi, wymierzył w mężczyznę na podjeździe i dwa razy pociągnął za spust. Przesunął lufę i wycelował w tego na podwórzu. Celował w pierś, temu i tamtemu, i wystrzelił tak szybko, że huk - babuum-babuum! - złał się w jedno. Potem wybiegł na środek podwórza. Nikogo więcej nie zobaczył, więc dał znak dziewczynie.

- Teraz!

Musiał przyznać, że pędziła ile sił w nogach. Ubezpieczał ją jak skrzydłowy napastnika na boisku futbolowym, osłaniał własnym ciałem, bo pies nie przestawał ujadać. Nadchodzili kolejni.

Przy zabitych przyklęknął na jedno kolano i szybko ich obszukał. Myślał, że znajdzie portfel albo jakieś dokumenty, ale kieszenie były puste.

Zza rogu wypadł trzeci mężczyzna. Zobaczył go i się cofnął. Pike wystrzelił ostatnie dwa naboje. Z węgła trysnęła

fontanna drzazg i tynku, ale tamten zdążył się schować, a bębenek był pusty. Mężczyzna niemal natychmiast wyskoczył na podjazd, oddał trzy strzały - bap-bap-bap! - i chybił. Trafił za to w dżipa i kule zastukotały w karoserię, jakby ktoś walił w nią czubkiem młotka. Pike nie miał nawet czasu, żeby schować rewolwer. Rzucił go na ziemię, wyszarpnął z kabury kimbera, pociągnął dwa razy za spust i facet zaliczył glebę. Joe popędził do samochodu. Dziewczyna otworzyła drzwiczki, ale zamiast wsiąść, stanęła jak wryta.

- Do środka! Właź!

Zza domu wypadł kolejny bandzior, strzelając w biegu najszybciej, jak umiał. Pike też wystrzelił, ale tamten zdążył już przywarować.

- Wskakuj!

Pchnął dziewczynę na deskę rozdzielczą, wetknął kluczyk do stacyjki i ruszył w stronę domu. Ominął poślizgiem winkiel i wdepnął pedał gazu.

- Jesteś cała?

Dziewczyna patrzyła przed siebie mokrymi, zaczerwienionymi oczami. Znowu płakała.

- Oni nie żyją...

Pike położył jej rękę na udzie.

- Spójrz na mnie.

Zacisnęła powieki i zaczęła wyłamywać sobie palce.

-Przed chwilą zginęło trzech ludzi. Kolejnych trzech...

-Nie pozwolę, żeby coś ci się stało - powiedział niskim, łagodnym głosem. - Słyszysz?

Nawet na niego nie spojrziała.

- Wierzysz mi?

Kiwnęła głową.

Na skrzyżowaniu gwałtownie skręcił. Zwolnił tylko po to, żeby uniknąć zderzenia i wpadli na autostradę.

Byli w tym domu ledwie dwadzieścia osiem minut. Zabił trzech kolejnych i musieli uciekać. Znowu.

Żał mu było colta. Stracił dobry rewolwer. Poprzedniej nocy ocalił im życie, a teraz mógł ich zabić.

## 2

Pędząc na północ sto jedynek, bez ostrzeżenia przeciął cztery pasy jezdni i pełnym gazem wpadł na zjazd z autostrady. Poszybowali w powietrzu jak rzucona do wody cegła.

Larkin przeraźliwie krzyknęła.

Grzmotnęli o ziemię bokiem i Pike mocno skręcił, żeby uniknąć zderzenia z jadącymi z naprzeciwka. Natychmiast skręcił ponownie, z powrotem na wjazd, w kierunku, z którego przyjechali, i od razu roztrąbiły się klaksony i zapiszczały opony. Dziewczyna kurczowo obejmowała kolana. Była skulona, zgięta w pół, jakby siedziała w samolocie i jakby powiedziano jej, że maszyna zaraz się roztrzaska.

Pike popędził do następnego zjazdu, w ostatniej chwili kopnął pedał hamulca, gwałtownie odbił w lewo i zerknąwszy w lusterko, pojechał dalej.

Dziewczyna jęknęła.

- Przestań. Jezu, przestań, zabijesz nas.

Wyjechali koło uniwerku, gdzie panował już popołudniowy ruch. Skręcili na stację benzynową Chevrona u podnóża rampy zjazdowej. Pike ominął pawilon i dystrybutor, zahamował i stanął. Silnik mruczał na jałowym biegu, a on nabijał pistolet, uważnie obserwując zmierzające w ich stronę samochody. O tej porze dnia rampa szybko się wypełniała. Pike przyglądał się twarzom kierowców, ale żaden nie wyglądał na ścigającego ich zabójcę.

-Rozpoznałaś któregoś? - spytał. - Tam, w domu.

-To obłąd. Zabijamy ludzi...

-Tego na podwórzu też nie? Tego, którego mijalaś.

-Nie. Boże, znowu... Nie, nikogo nie rozpoznałam.

Pike dał jej spokój. Tych, których zabił wcześniej, też nie widziała, bo padając, wyglądali jak ciemne, rozmyte plamy. On sam widział tyle co nic: czarne podkoszulki, pistolety - ot, dwa osiłki w wieku dwudziestu kilku, może trzydziestu kilku lat, poprzecinani smugami światła i cienia.

W kieszeni zawibrował telefon, ale go nie odebrał. Zawrócił i ruszyli, aby dalej od autostrady. Nabrawszy pewności, że nikt ich nie śledzi, Pike przyspieszył.

Dziesięć ulic dalej skręcił w stronę pasażu handlowego, jednego z tych, w którym co parę miesięcy bankrutowała większość sklepów. Na końcu pasażu był wąski zaułek pełen dziur i kublów na śmieci.

Pike wyłączył silnik, wysiadł, obszedł dzipa i otworzył drzwiczki.

- Wysiadaj.

Dziewczyna ani drgnęła, więc wyciągnął ją z samochodu i podtrzymał, żeby nie upadła.

-Hej! Co ty... Przestań!

-Dzwoniłaś do kogoś?

-Nie!

Przycisnął ją do samochodu i obszukał. Próbowała go odepchnąć, ale nie zwracał na to uwagi.

- Przestań. Jak mogłam zadzwonić? Przez cały czas byłam z tobą. Przestań...

Chwytał jej torebkę - mięciutką, od Prądy - i wysypał zawartość na siedzenie.

- Nie mam komórki, świrze! Sam mi ją zabrałeś! Sprawdził przegródki w torebce, potem wziął torbę z tylnego siedzenia.

-Do nikogo nie dzwoniłam! Nie mam telefonu!

Przeszukał jej rzeczy i spojrzał na nią zamyślony.

-Czego? Co się tak gapisz?

-Znaleźli nas.

-Ale ja nie wiem jak!

- Pokaż buty.

-Co?

Pchnął ją na fotel i ściągnął buty. Tym razem się nie stawiła. Spokojnie siedziała, patrząc, jak podnosi jej nogi.

Zastanawiał się, czy nie założyli jej namiernika. Może od samego początku chodziła z ukrytą pluskwą, dlatego ci z programu ochrony świadków i Bud omal jej nie stracili. Sprawdził obcasy, potem spojrzął na pasek i metalowe guziki dzinsów. Gdy zdejmował pasek, wzięła głęboki oddech.

- Lubisz tak?

Udał, że tego nie słyszy. Jej uśmiech był sprośny i absolutnie doskonały.

- Mam ściągnąć spodnie?

Podniósł jej torbę i zanosła się śmiechem.

- Kompletnie cię pogięło. To są moje rzeczy. Nie spuszczałam ich z oczu, odkąd zabrali mnie ci z programu ochrony świadków! No, powiedz coś! Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?

Nie wierzył, że coś tam znajdzie, ale musiał to sprawdzić, więc sprawdził, nie zwracając na nią uwagi. Nauczył się tego w piechocie morskiej: broń zatnie się akurat wtedy, kiedy nie wyczyścisz jej ten jeden, jedyny raz; metalowa sprzączka plecaka zabrzęczy i zabije cię akurat wtedy, kiedy ten jeden, jedyny raz nie zabezpieczysz jej taśmą klejącą.

-I co? Zostaniemy tu? Czy tu jest bezpiecznie? Chcę wrócić do domu.

-W domu omal cię nie zabili.

-Teraz jestem z tobą i próbowali mnie zabić dwa razy. Chcę do domu!

Wyjął komórkę i sprawdził wiadomości. Trzy razy dzwonił Bud Flynn. Wcisnął guzik oddzwania, zastanawiając się, czy nie dopadli ich, namierzając jego telefon, przechytując sygnał między stacjami przekaźnikowymi. Żeby to

zrobić, musieliby znać jego numer. Znał go Bud. Jeśli tak, to może znali go i oni?

Bud odebrał natychmiast.

-Napędziłeś mi strachu. Nie odpowiadałeś, myślałem, że cię zabili.

-Znowu nas znaleźli.

-Co ty? Gdzie jesteście?

- Posłuchaj. Ona chce wracać do domu.

Mówiąc, patrzył na nią, a ona patrzyła na niego.

Bud odpowiedział dopiero po chwili, głosem cichszym i łagodniejszym.

- Spokojnie, bez nerwów. Dobra. Co z nią? Jest bez pieczna? Wszystko w porządku?

-Tak.

- Chcę to dobrze zrozumieć: mówisz o domu w Malibu czy o tym, do którego was wysłałem, o tym w Eagle Rock?

Najpierw zorganizował im dom w Malibu, a poprzedniego wieczoru, po tym, jak znowu do nich strzelano, przeniósł ich do tego drugiego.

-O tym w Eagle Rock. Obydwa były do dupy.

-Niemożliwe. Nie mogli nic...

-Bud, zabiłem trzech kolejnych. Federalni mnie kryją czy nie? Muszę to wiedzieć.

Bud wiedział o tych dwóch w Malibu. Federalni dostali szau, ale obiecali, że załatwią sprawę z miejscową policją i jakoś to zatuszują.

Ale teraz Bud nie był już tego pewny.

-Pogadam z nimi.

-Byle szybko. Zgubiłem rewolwer, czterdziestkępiątkę. Miejscowi sprawdzą numery i poznają moje nazwisko.

Bud cichutko syknął, bardziej ze zmęczenia niż z gniewu. Pike go nie ponaglał. Dał mu czas do namysłu.

- Dobra, posłuchaj. Ona chce wracać do domu?

-Tak.

- Daj mi ją do telefonu.

Pike podał jej komórkę. Larkin przytknęła ją do ucha, ale zrobiła to z wahaniem, niepewnie. Słuchała przez chwilę i odezwała się tylko raz.

- Naprawdę się boję. Nie mogę wrócić? - spytała Buda.

Pike wiedział, co Bud jej odpowie na długo przed tym, zanim oddała mu komórkę. Stali w śmierdzącym zaułku w południowo-wschodniej części Los Angeles. Było trzydzieści pięć stopni w cieniu, a ona miała dreszce. Nad uliczkami takimi jak ta przelatywała prywatnym gulfstreamem tatusia, no i proszę, w końcu tu trafiła, a wszystko dlatego, że znalazła się w złym miejscu o złej porze, że po raz pierwszy i prawdopodobnie jedyny w życiu dokonała dobrego wyboru. A teraz dobrym i jedynym wyborem był on.

Wziął komórkę i w tym samym momencie na końcu zaułka pojawił się jakiś samochód. Pike natychmiast zasłonił dziewczynę własnym ciałem, zmrużył oczy i zobaczył, że prowadzi go młody Latynos, tak niski, że ledwo widoczny zza kierownicy.

Przytknął telefon do ucha.

-To ja

-Dobra, posłuchaj. Dziewczyna zostanie z tobą. Myślę, że tak będzie najlepiej; jej ojciec też tak uważa. Zorganizuję nowy dom...

-Dom sobie odpuść. Zidentyfikowałeś tych z Malibu?

-Musicie mieć bezpieczną kryjówkę. Załatwię nowy dom...

-Twoje domy są do dupy.

-Joe...

-Dwa razy omal nas nie dopadli. W twoich domach, Bud. Sam coś wykombinuję.

-Joe, nie możesz mnie tak olewać. Skąd będę wiedział, gdzie...



- Sam mi ją dałeś. Jest moja.

Pike przerwał połączenie. Dziewczyna obserwowała go w palącym upale zaułka.

-Jestem twoja? Naprawdę tak powiedziałeś?

-Chcesz wracać do domu, zawiozę cię do domu. To ty decydujesz, nie oni. Tylko o to mi chodziło. Chcesz, to wrócimy.

Myślał, że się przynajmniej zastanowi, ale ona wzruszyła ramionami.

-Zostanę.

-To wsiadaj.

Pomógł jej wsiąść do samochodu i sprawdził oba końce zaułka. Chciał jak najszybciej jechać dalej, ale dżip był teraz spalony. Prędzej czy później gliniarze znajdą rewolwer i jak po nitce dojdą do niego, ale jeśli ktoś z Eagle Rock zapisał numer rejestracyjny czerwonego dżipa cherokee, możliwe, że szukali go już teraz. Chciał uniknąć spotkania z policją, ale nie mógł siedzieć tu i czekać. Cel ruchomy jest trudniejszy do trafienia niż stacjonarny.

Uliczka była czysta. Teraz, w tej chwili i w tym miejscu, byli niewidzialni. Gdyby udało im się pozostać niewidzialnymi, dziewczyna mogłaby przeżyć.

### 3

Z Sunset w Fairfax skręcił w Bristol Farms i żeby ukryć samochód, zaparkował jak najdalej od skrzyżowania.

- Co się dzieje? - spytała.

-Muszę zadzwonić. Wysiadaj.

-Nie mogę zaczekać tutaj?

-Nie.

Bał się, że rozpoznają ją nawet z czarnymi włosami i w ciemnych okularach, ale mogła zmienić zdanie, dać

nogę i byłoby po niej. Znali się dokładnie od szesnastu godzin. Byli sobie obcy.

Obiegła samochód i dogoniła go po paru krokach.

-Do kogo chcesz dzwonić?

-Potrzebujemy nowego wozu i jakiegoś lokum. Poza tym muszę dowiedzieć się czegoś o tych, którzy chcą cię zabić. Jeśli ściga nas policja, musimy zmienić plany.

-To mamy jakieś plany? Jakie?

Pike był zmęczony tą gadaniną, więc przestał gadać. Minęli stragan z kwiatami i doszli do telefonów. Wrzucił do aparatu kilka ćwierćdolarówek.

Dziewczyna wzięła go pod rękę, jakby bała się, że zwieje ją podmuch Santa Any. Zajrzała do marketu.

-Chcę kupić coś do jedzenia.

-Nie ma czasu.

-Zdążę, zanim skończysz rozmawiać.

-Potem.

Pike miał mały sklep z bronią w Culver City, niedaleko swego mieszkania. Zatrudniał pięciu ludzi, czterech mężczyzn i kobietę. Dwóch pełnoetatowych sprzedawców i dwóch byłych gliniarzy.

Po drugim dzwonku słuchawkę podniósł Ronnie.

- Sklep z bronią.

-Zadzwoń za dwie. Pike odwiesił słuchawkę. Larkin ścisnęła go za rękę.

-Kto to był?

-Pracuje u mnie.

-Też jest ochroniarzem?

Pike puścił to pytanie mimo uszu, obserwując sekundnik roleksa. Ronnie biegł już pewnie do automatu w pralni obok sklepu.

Z marketu wyszło dwóch mężczyzn pod trzydziestkę. Jeden z nich zmierzył Larkin wzrokiem i wyszczerzył zęby

w uśmiechu, drugi gapił się na jej twarz. Larkin hardo patrzyła na nich. Pike próbował wyczytać z gęby tego drugiego, czy przypadkiem jej nie rozpoznał, ale na parkingu, zanim wsiedli do czarnego audi, ten pierwszy uszczyptał go w tyłek, więc Pike doszedł do wniosku, że chyba jednak nie.

-Nigdy więcej tego nie rób - powiedział.

-Czego?

-Unikaj kontaktu wzrokowego. Nie patrz ludziom w oczy. Nigdy.

Myślał, że dziewczyna znowu zacznie kwękać, ale ona ściągnęła usta i znowu spojrzała na market.

- Zdażyłabym coś kupić.

Dwie minuty później zadzwonił do Ronniego. Pobieźnie opisał mu sytuację, kazał zamknąć sklep i wysłać wszystkich do domu. Atakując ich w Malibu i Eagle Rock, ci, którzy chcieli zabić Larkin, niemal na pewno znali już jego nazwisko, ale nie musieli go znać, żeby znaleźć dziewczynę. Ponieważ nagle zniknęli, ona i on, wiedział, że spróbują ją znaleźć, szukając jego, a szukając jego, dopadną najpierw jego znajomych, rozejdzie się to jak fale na wodzie, każda wywoła następną.

-Dobra - powiedział Ronnie. - Co ci załatwić?

-Samochód i komórkę. Kup taką na kartę, najtańszą, jaką się da.

-Nie ma sprawy. Jak chcesz, możesz wziąć mojego lexusa. Pasuje?

Lexus Ronniego miał dwanaście lat. Jego żona dała go córce, ale córka wyjechała na studia prawnicze i z wozu nikt teraz nie korzystał. Lexus był ciemnozielony.

Pike kazał mu podstawić go za trzydzieści pięć minut pod znajomy supermarket; po prostu przyjechać, zaparkować, wysiąść i odejść. Wiedział, że przez trzydzieści pięć minut zdąży wpaść do mieszkania i pozbyć się dżipa.

- Ronnie - powiedział. - Kiedy zamkniecie interes, włącz

alarm i kamery. I nie wracaj do sklepu. Niech nikt tam nie wraca, dopóki się nie odezwę.

-Może lepiej nie zamykajmy? Jak twoi kumple nas odwiedzają, pogadamy z nimi, i tyle.

-Odwiedzić was może policja.

-Aha, już chwytam.

Pike odwiesił słuchawkę i natychmiast zaprowadził dziewczynę do dżipa. Mijały minuty i czuł, że powoli przegrywa wyścig z czasem. Kiedy nawiąże się walkę z nieprzyjacielem, liczy się tylko szybkość. Szybkość to życie.

Dziewczyna pociągnęła go za rękę.

-Za szybko idziesz.

-Mamy dużo roboty.

-Dokąd jedziemy?

-Do mnie.

-I już tam zostaniemy?

-Nie. Tamci mogą przyjść i do mnie.

Pike mieszkał w rozległym osiedlu w Culver City, niecałe dwa kilometry od morza. Osiedle było otoczone murem z bramami na pilota. Domy rozmieszczono grupami, po cztery wokół dwóch kortów tenisowych i wspólnego basenu, z którego Pike nigdy nie korzystał. Jego dom stał na rogu, osłonięty przez te od ulicy.

Pojechał prosto na osiedle, ale tam nie wjechał. Okrążył je wzdłuż muru, wypatrując kogoś, kto obserwowałby bramy albo wypatrywał jego dżipa. Nie chciał przywozić tu dziewczyny, ale wiedział, że okienko czasowe, przez które mógłby wejść, zaczyna się już zamykać.

Jeszcze raz objechał całe osiedle, skręcił na podjazd i otworzył pilotem bramę.

Larkin popatrzyła na domy.

-Nieźle. Myślałam, że mieszkasz w jakiejś norze. Ile zarabia ochroniarz?

-Na podłogę, pod deskę rozdzielczą.

- Dasz mi coś do jedzenia? Chyba musisz coś mieć.
  - Ty zostaniesz. Nie wysiądziesz z samochodu.
- Wiedział, że przewróciła oczami, mimo to posłusznie zsunęła się na podłogę.
- Kiedy mężczyzna prosi mnie, żebym uklękła, chodzi zwykle o coś innego.
- Zerknął na nią kątem oka.
- Bardzo zabawne.
  - To dlaczego się nie uśmiechniesz? Ochroniarze się nie uśmiechają?
  - Nie jestem ochroniarzem.

Dojechali do małego placyku, gdzie zazwyczaj parkował. Stały tam tylko trzy samochody i wszystkie trzy znał. Zatrzymał się, ale nie wyłączył biegu ani silnika. Cały teren obsadzono palmami, hibiskusami i smukłymi strelcjami, a między palmami wiły się betonowe ścieżki. Przyjrzał się grze kolorów, odcieniom zieleni i brązu na tle muru i hiszpańskich dachów.

- Co się dzieje?- spytała dziewczyna.

Nie odpowiedział. Nie dostrzegł niczego niezwykłego, więc wrzucił luz i wyłączył silnik. Mógłby ją zabrać, ale by go spowolniła.

Podał jej pistolet.

- Wracam za trzydzieści sekund. Weź.

Pokręciła głową.

- Nie znoszę broni.

-To siedź tu. Nie wychodź z samochodu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wysiadł i potruczał do drzwi. Sprawdził obydwie zasuwy, ale nie dostrzegł śladu włamania. Wszedł do środka i dotknął wmurowanej w ścianę płytki. Miał tu system kamer bezpieczeństwa, które filmowały wejście, parter i parking, sześć kamer tak małych, że można je było ukryć - i ukryto - w doniczkach z kwiatami i pod obudową lamp. Każda robiła zdjęcie dokładnie co osiem sekund.

Włączył alarm, wyszedł i wrócił do samochodu. Dziewczyna wciąż siedziała pod deską rozdzielczą.

-Co tam robiłeś? - spytała.

-Nic o nich nie wiem. Jeśli tu przyjadą, będę miał zdjęcia, a to już coś.

-Mogę wyjść?

-Możesz.

Kiedy przejeżdżali przez bramę, we wstecznym lusterku nie dostrzegł nikogo. Pike skręcił w stronę supermarketu.

Dziewczyna usiadła i zapięła pas. Była trochę spokojniejsza. Jakby lepiej się czuła. On też czuł się lepiej.

-Co teraz?

-Pojedziemy po nowy wóz i poszukamy bezpiecznego lokalu. Mamy dużo roboty.

-Jeśli nie jesteś ochroniarzem, to kim? Bud mówił ojcu, że kiedyś byłeś policjantem.

-Dawno temu.

-Czym się teraz zajmujesz? Kiedy ktoś cię o to pyta, w barze czy na jakiejś imprezie albo kiedy rozmawiasz z kobietą, która ci się podoba, to co odpowiadasz?

-Że jestem biznesmenem.

Roześmiała się, ale był to śmiech piskliwy i wymuszony.

- Dorastałam z biznesmenami, znam ich. Ty nie jesteś biznesmenem.

Chciał, żeby przestała wreszcie gadać, ale wiedział, że strach, który w sobie nosiła, coraz bardziej narasta, jest jak rozdmuchany żar i to nie koniec tej paplaniny. Kiedy rozpętywało się piekło, wszystko było dobrze, ale kiedy miało się czas pomyśleć, człowiek otrząsał się jak mokry pies na wietrze. Podejrzewał, że dziewczyna czuje się jak taki pies.

Dotknął jej skroni. Zadrżały jej usta i wiedział już, że ma rację.

- Nieważne, kim jestem. Na pewno cię nie skrzywdzę i nie pozwolę, żeby skrzywdził cię ktoś inny.

-Obiecujesz?

-Słowo.

Wyglądził jej sterczące, wciąż sztywne od farby włosy, ale właśnie wtedy znowu się odezwała.

- Myślisz, że jestem głupia, ale wiem, co robisz. Mogli byśmy wyjechać z Los Angeles i ukryć się, choćby na ja kimś zadupiu w Arizonie, ale ty tego nie chcesz. Nie chcesz się ukrywać: chcesz dopaść ich, zanim oni dopadną nas. Po to ci te zdjęcia. Chcesz na nich zapolować.

Pike skupił się na prowadzeniu.

- Mówiłem ci. Nie jestem ochroniarzem.

Dziewczyna zamilkła; podziękował Bogu za chwilę ciszy.

## 4

Zielony lexus czekał w trzecim rzędzie, ot, kropla w morzu anonimowych samochodów na parkingu przed supermarketem. Pike stanął na najbliższym wolnym miejscu, ale nie wyłączył silnika. Włożył rękę pod deskę rozdzielczą, z wprawą wymacał nylonową siatkę, znalazł rewolwer -czterdziestkę Smitha & Wessona w kaburze - i rzucił go dziewczynie na kolana.

-Schowaj do torebki.

-Odpada. Mówiłam ci: nie znoszę broni.

Wsunął rękę pod deskę rozdzielczą po stronie pasażera i wyjął kieszonkową berettę kalibru 7.62. Sięgnął jeszcze raz i znalazł plastikowe pudełko z nabitymi magazynkami do wessona i beretty. Pudełko też rzucił jej na kolana.

- Boże, co z ciebie za świr? - wykrzyknęła.

Sięgnął pod deskę po raz ostatni i wyjął z siatki hermetycznie zamkniętą plastikową torebkę z dwoma tysiącami dolarów, kartami kredytowymi i prawem jazdy z jego zdję-

ciem na nazwisko Fred C. Howe. Dorzucił ją do pistoletu, rewolweru i amunicji na kolanach dziewczyny.

- Pieniądze - powiedział. - Lepiej pasują do torebki.

Wyłączył silnik i nie czekając na nią, szybko wysiadł.

Wziął torby i podszedł do lexusa, przykucnął przy lewym przednim kole, gdzie Ronnie schował kluczyki. Wrzucił torby do samochodu, następnie zamknął dzipa i kluczyki do niego schował tak samo jak Ronnie. Ronnie miał zabrać dzipa i zostawić go za sklepem.

Dziewczyna obserwowała go z założonymi rękami.

-I co teraz?

-Krok pierwszy: wsiąść do samochodu.

-A może od razu drugi: kupić coś do jedzenia?

-Już niedługo.

Pike wcisnął pistolet pod prawe udo, rękojeścią na zewnątrz. Odpalił silnik, żeby uruchomić klimatyzację, i wziął nową komórkę. Ronnie zostawił mu ją wraz z dwiema kartami i krótkim listem na podłodze pod pedałami. Do komórki dorzucił dwie ładowarki, samochodową i zwykłą, i zestaw głośnomówiący. Komórka była już aktywna, gotowa do użycia: Ronnie wykupił dwa tysiące minut i zapisał na kartce numer.

- Umieram z głodu - powiedziała dziewczyna. - Mogli byśmy coś zjeść?

Pike obejrzał komórkę, żeby się zorientować, gdzie co jest, wrzucił wsteczny i zwalniając sprzęgło, wybrał numer znajomej agentki handlu nieruchomości.

-Dzięki Bogu - mruknęła dziewczyna. - Nareszcie. Jestem tak głodna, że mój żołądek zaczyna zjadać sam siebie.

-Jeszcze nie teraz.

Larkin poczerwieniła z gniewu.

- Kurwa mać! To jakiś absurd! Jestem głodna! Chcę jeść!

Pike musiał znaleźć jakąś kryjówkę. Zastanawiał się nad



motelem, ale motel to dużo ludzi, a dużo ludzi to duże ryzyko. Nie, potrzebowali czegoś odosobnionego w tkolicy, gdzie nikt by jej nie rozpoznał. Domu, który mógłby wynająć szybko i bez zbędnych pytań, co znaczyło, że nic może załatwić tego z kimś obcym. Pomógł kiedyś agentce, którą napastował były mąż, i od tamtej pory kupił u niej i sprzedał kilka nieruchomości.

Kiedy odebrała, wyjaśnił, czego szuka. Larkin opadła bezwładnie na drzwiczki i spojrzała na niego ponuro z założonymi rękami.

-Ratunku! Ratunku! On mnie gwałci! Ratunku!

Krzyknęła całkiem głośno.

-Kto to? - spytała agentka.

-Moja podopieczna, robię za niańkę.

Larkin łypnęła na niego spode łba.

-Takiej jak ja jeszcze nigdy nie niańczyłeś. - Nachyliła się do telefonu i wrzasnęła:

-Obciągnęłam mu!

-Jak miło - powiedziała agentka.

-Obciągnęłam mu, a on nie chce dać mi jeść! Zdycham z głodu!

Pike zasłonił komórkę ręką, żeby móc rozmawiać.

-Znajdziesz dla mnie taki dom?

-Chyba mam coś odpowiedniego. Oddzwonię.

Pike podał jej swój nowy numer i spojrzał na dziewczynę. Znowu opadła na drzwiczki i patrzyła na niego przez ciemne okulary, jakby czekała na jego kolejny ruch- Jakby go sprawdzała. Wszystko, co o niej wiedział, przed niecałymi siedemnastoma godzinami powiedział mu Bud Flynn i jej ojciec, a teraz okazało się, że informacje Buda są trefne.

Zerknął na nią i spytał:

- Jak się nazywasz?

Zdjęła okulary i zmarszczyła brwi, jakby nagle skretyniał.

-Że co?

-Jak się nazywasz?

-Nie kapuję. To jakaś gra, taka na fanty?

-Nazwisko.

-Bo? Po cholere ci moje nazwisko?

-Odpowiedz.

Była sfrustrowana, aż jej się twarz zmieniła. Nerwowo szarpnęła za mankiet bluzki.

-Jestem głodna. Kiedy kupisz mi coś do jedzenia?

-Jak się nazywasz?

-Larkin Conner Barkley! Jezu Chryste, a ty jak?

-Nazwisko ojca?

-Conner Barkley! Moja matka nie żyje! Miała na imię Janice! Jestem ich jedynym dzieckiem!

Pike zerknął w lusterko i wskazał torebkę na podłodze.

- Pokaż prawo jazdy i karty kredytowe.

Nie zaprotestowała. Chwyliła torebkę, pogrzebała w środku i rzuciła w niego portfelem.

- Weź kartę i kup coś do jedzenia.

Pike otworzył portfel i wyjął prawo jazdy. Jej kolorowe zdjęcie, imię i nazwisko - Larkin Conner Barkley - dokument wydany przez Kalifornijski Wydział Pojazdów Mechanicznych. Wynikało z niego, że dziewczyna mieszka w apartamentowcu w Century City, ale Bud i jej ojciec mówili, że ma dom w Beverly Hills.

-Mieszkasz w Century City?

-Nie, w Century City jest biuro ojca. Wszystko idzie na ten adres.

-To gdzie mieszkasz?

-A co? Chcesz do mnie wpaść? Mam odlotową chatę, wielki loft. Dom należy do rodziny.

-Gdzie?

-W śródmieściu. W tej dużej dzielnicy przemysłowej.

-To tam przyszli, kiedy chcieli zabić cię pierwszy raz?

-Nie, byłam wtedy u ojca. W Beverly Hills.

-Kiedy to było?

-Nie wiem. Jezu!

-Pomyśl.

-Tydzień temu. Niecały. Sześć dni temu.

-Kto to jest Alex Meesh?

Dziewczyna zwiotczała na słońcu jak szmaciana lalka i znowu osunęła się na drzwiczki. Cała złość i pewność siebie przysły jak bańka mydlana.

- Ktoś, kto chce mnie zabić.

Pike słyszał to już od jej ojca i Buda, ale teraz chciał usłyszeć od niej.

- Dlaczego chce cię zabić?

Larkin spojrzała w okno, na pędzącą ku nim pustkę i pokręciła głową.

- Nie wiem. Bo widziałam go wtedy z Kingami. Kiedy miałam ten wypadek. Bo współpracuję z Departamentem Sprawiedliwości.

Pike przebrał palcami jej karty kredytowe, zerkając to na nie, to na ulicę. Wszystkie wydano na nazwisko Larkin Barkley, czasem z drugim imieniem, czasem bez. Wyjął dwie, American Express i Visę. American Express była czarna, co oznaczało, że dziewczyna zgarnia co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Rzucił portfel na podłogę, ale karty i prawo jazdy zatrzymał. Wsunął je pod udo obok pistoletu.

Bud i jej ojciec powiedzieli mu to, co powiedzieli, ale musiał teraz zidentyfikować uczestników tej gry i sprawdzić, co jest prawdą, a co nie. Potrzebował pomocy, dlatego podniósł komórkę i wybrał kolejny numer.

Larkin spojrzała na niego, ale tym razem bez większego przekonania. Zdobyła się nawet na słaby uśmiech.

- Mam nadzieję, że dzwonicz, żeby zarezerwować stolik.

- Dzwonię do kogoś, kto może nam pomóc.  
Cole odebrał po drugim sygnale.  
-Elvis Cole, Agencja Detektywistyczna. Czym mogę służyć?  
-To ja. Jadę do ciebie.  
Pike zamknął klapkę telefonu i ruszył w stronę gór.

## 5

Trzydzieści dwie godziny wcześniej, rano, kiedy się to zaczęło, Ocean Avenue w Santa Monica tonęła w rozmytym złotym blasku latarni i świateł z okien apartamentowców nad brzegiem oceanu. Joe Pike biegł środkiem ulicy z kojotem, który towarzyszył mu krok w krok w tańczących na urwisku cieniach. Była za dziesięć czwarta. O tej porze Pacyfik ginął jeszcze w mroku i ląd kończył się na wystrzępionym skraju urwiska, za którym rozciągała się czarna otchłań. Biegając pustymi ulicami, mógł cieszyć się prawdziwą ciszą i spokojem.

Zerknął w cień i znowu zobaczył kojota, raz dobrze widocznego, innym razem przesłoniętego palmami. Zwierzę nadążało za nim bez najmniejszego trudu. Był to stary samiec o zrytym bliznami siwym pysku, który przywędrował tu z kanionów na żer. Ilekroć Pike na niego spojrział, widział, że samiec obserwował go beczelnie nawet w pełnym biegu. Pike wyraźnie go ciekawił. Żyjąc między ludźmi, kojoty przestrzegały ściśle ustalonych reguł, dlatego tak świetnie dawały sobie radę w Los Angeles. Jedna z tych reguł głosiła, że na ulicę wychodzi się tylko w nocy. Kojoty uważały, że noc należy do dzikich drapieżników. A stary samiec uznał pewnie, że Pike tę regułę złamał. Do samca dołączył drugi kojot.

Pike poprawił plecak i przyspieszył kroku.

Biegał tą trasą bardzo często: Washington Avenue na zachód od osiedla, Ocean Avenue na północ do San Vincente, potem na wschód do Czwartej i stromych, sterczących jak spróchniałe zęby betonowych schodów na plażę. Sto osiemdziesiąt dziewięć stopni i cztery małe podesty zrobione specjalnie po to, żeby zatrzymać tych, którzy spadli. Gdyby nie one, każdy, kto by się tu potknął, runąłby w dół i zabił się. Sto osiemdziesiąt dziewięć stopni to wysokość ośmiopiętrowego domu. To tak, jakby wbiegł aż na poddasze.

Do plecaka załadował cztery czteropółkilogramowe worki mąki. Przed powrotem do domu chciał zaliczyć schody dwadzieścia razy, dwadzieścia razy w górę i w dół. W torebce na pasie miał komórkę, dokumenty, klucze i kieszonkową berettę.

Tego ranka nie oczekiwał telefonu, a już na pewno nie od niego. Wiedział, że facet kiedyś zadzwoni, ale całkowicie zatracił się w poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawał mu pot i wysiłek, gdy wtem poczuł, że w torebce wibruje telefon. Biegł dobrym, równym rytmem, ale ludzi, którzy znali jego zastrzeżony numer, było niewielu, dlatego przystanął i odebrał.

- Daję głowę, że nie wiesz, kto mówi.

Pike wyrównał oddech i poprawił plecak. Teraz, kiedy nie biegł, plecak był dużo cięższy.

Nie odpowiedział i skonsternowany rozmówca spytał:

- Czy to Joe Pike?

Pike nie słyszał tego głosu, odkąd uprowadzono ośmiolatniego Bena Cheniera. Szukali go, on i jego kumpel Elvis Cole, ale żeby znaleźć chłopca, potrzebowali pomocy człowieka, który właśnie do niego dzwonił. Jego warunki były proste: miał kiedyś zadzwonić z propozycją roboty, a Pike miał tę propozycję przyjąć. Robota mogła być każda, nawet taka, jakich już nie chciał ani nie brał, i musiałby ją wziąć. Musiałby powiedzieć: „Tak”. Taka była cena za pomoc

w ocaleniu małego Bena i Pike ją zapłacił. Tym słowem. Słowem: „Tak”. Tamten miał zadzwonić, no i zadzwonił.

-Jon Stone?

-Proszę, proszę - oparł ze śmiechem Stone. - Jednak pamiętasz. Teraz zobaczymy, czy dotrzymujesz słowa. Powiedziałem, że zadzwonię, no i dzwonię. Jesteś mi coś winien.

Pike spojrzał na zegarek, żeby sprawdzić czas. Do dwóch kojotów dołączył trzeci. Ten trzeci gapił się na niego z cienia.

-Jest czwarta rano.

-Dopiero dzisiaj zdobyłem twój numer. Jeśli cię obudziłem, to przepraszam, ale jeśli wystawisz mnie do wiatru, będę musiał poszukać kogoś innego. Dlatego dzwonię o tak niewydarzonej porze.

-O co chodzi?

- Trzeba popilnować towaru, a towar jest trefny.

„Trefny towar” to ktoś, na kogo próbowano dokonać zamachu.

- Dlaczego trefny?

- Nie wiem, ale na razie interesuje mnie tylko, czy dotrzymasz obietnicy. Zgodziłeś się wziąć robotę i to jest właśnie ta robota. Muszę im powiedzieć, czy bierzesz ją, czy nie.

Niczym duchy, między plamami zamajaczyły szare cienie. Do kojotów dołączyły dwa kolejne. Chociaż miały nisko zwieszony łby, w ich ślepiach igrały błyski złotawego światła. Pike pomyślał, jak by to było, gdyby mógł pobiec z nimi pustymi, ciemnymi ulicami, biec równie szybko i cicho jak one, widzieć i słyszeć to co one, tutaj, w mieście, i w górskich kanionach.

Stone mówił coraz bardziej spiętym głosem.

- Ten gość, który do mnie dzwonił... Bud Flynn? Po prostu cię zna.

Pike wrócił z kanionów.

-Tak, Flynn.

-Zdaje się, że prowadzi agencję ochroniarską dla takich,

co mają tyle forsy, że srają na zielono. A ja trochę tego zielonego chcę, chwytasz? Jesteś mi to winien. To jak? Wchodzisz w to czy nie?

-Wchodzę.

-Zuch chłopak. Zadzwoń i ustawimy się.

Pike zamknął klappkę telefonu. Kilkaset metrów dalej, w miejscu, gdzie San Vincente krzyżowała się z Ocean Avenue, rozbłysły światła hamowania. Pike patrzył na nie, aż zniknęły, potem poprawił plecak. Na skraju cienia czekało teraz osiem czy dziesięć kojotów. Trzy kolejne przebiegły na drugą stronę alejki między restauracjami. Jeden stał na środku jezdni ulicę dalej, a Pike nie widział nawet, skąd i kiedy tam przyszedł. Wziął głęboki oddech i poczuł zapach szalwii i ziemi bijący z ich sierści.

Kojot o siwym pysku, ten najstarszy, nie skręcił w kierunku kanionów. Okrążył go niespiesznie, potem przeciął ulicę i pobiegł dalej Santa Monica Boulevard. Pozostałe zwierzęta potruchtaly za nim. Miasto należało do nich aż do wschodu słońca. Chciały władać nim jak najdłużej.

Pike zdjął plecak i postawił go na ziemi. Głęboko odechnął, podniósł ręce i przeciągnął się. Mięśnie miał rozgrzane i ciepłe, jego osłabione ramię - w które go postrzelono, i którego omal nie stracił - było już zdrowe i silne. Pokrywające mięsień naramienny blizny rozciągnęły się, ale wytrzymały. Zrobił skłon do przodu i otwartymi dłońmi dotknął ziemi. Złożył na nich ciężar ciała, podniósł nogi i stanął na rękach na środku ulicy.

Wypełnił go błogi spokój i bez najmniejszego trudu utrzymał równowagę.

Ugiął ręce, musnął czołem jezdnię i odepchnął się do góry, robiąc pionową pompkę nie po to, żeby się zmęczyć, tylko po to, żeby sprawdzić, jak pracuje ciało. Trochę kłuło go i mrowiło w ramieniu, w miejscu, gdzie miał nieodwracalnie zniszczone nerwy, mimo to bez wysiłku wyprostował ręce.

Opuścił nogi, wstał i zobaczył, że kojoty wróciły, że obserwują go jak zadomowione w mieście uliczne psy.

Zarzucił plecak i pobiegł dalej. Za czternaście godzin miał jechać na północ po dziewczynę, na pierwsze od dwudziestu lat spotkanie z Budem Flynnem, człowiekiem, którego szczerze i głęboko kochał.

Piętnaście godzin później zobaczył ruiny starego kościoła na skraju pustyni, niecałe pięćdziesiąt kilometrów za Los Angeles i dwa kilometry w bok od autostrady Pearl Blossom.

Kościół nie miał drzwi ani okien i pozostały z niego tylko zdobione sztukaterią wystrzępione ściany z pustymi oczodołami i wielką, czarną dziurą zamiast wejścia. Lata suchych wiatrów, słońce i brak opieki nadały im barwę pyłu. Tynk pokrywało graffiti, ale nawet graffiti było stare i wypłowie tak jak wyrastająca ze ścian szalwia i chwasty. Było to miejsce opuszczone i samotne, zwłaszcza o zachodzie słońca pod koniec długiego dnia.

Pod kościołem parkowała czarna limuzyna o przyciemnionych szybach i czarny hummer, dwa błyszczące klejnoty zupełnie niepasujące do otoczenia. Z autostrady nie było ich widać.

Zatrzymał się naprzeciwko. Za przyciemnionymi szybami hummera poruszały się mroczne cienie, ale w limuzynie nie dostrzegł nikogo. Usiadł wygodniej, żeby zaczekać, lecz w tej samej chwili zza ściany kościoła wychynął Flynn i jakiś mężczyzna. Mężczyzna był otyły. Miał murzyńską twarz i opadające na oczy rzadkie włosy. Wyraźnie zdenerwowany od razu wrócił do kościoła, podczas gdy Bud wyszedł z uśmiechem na stygnące słońce, kilkoma krokami pokonując dwadzieścia lat i dwa życia.

Pike nie widział go od tamtej rozmowy w knajpie, kiedy to zrezygnowawszy z pracy w policji, chciał zawiadomić go o tym osobiście, bo byli dobrymi kumplami. Bud spytał go



wtedy, czy ma na oku coś innego i Pike powiedział mu co, ale Bud tego nie pochwalił. Zareagował jak zawiedziony, rozgniewany wyborem syna ojciec, bo taki już był. Pike podpisał kontrakt z pewną korporacją wojskową pod Londynem; miał być zawodowym żołnierzem cywilnym, specjalistą od ochrony. Gównu, nie specjalistą, mruknął Bud. Raczej zwykłym kryminalistą, najemnikiem.

Pike zobaczył go i znowu naszły go ciepłe wspomnienia z tych dawnych, lepszych czasów. Otworzył drzwiczki i wysiadł. Bud się postarzał, ale wciąż był w dobrej formie, w każdej chwili gotów do działania.

Wyciągnął do Pike'a rękę.

- Posterunkowy Pike. Koję lat.

Pike objął go i Bud poklepał go po plecach.

-Robię teraz dla prywaciarzy, Joe, jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Już czternaście lat. W marcu będzie piętnaście. Interes kwitnie.

-I zatrudniasz do tego najemników?

Bud poczuł się chyba trochę nieswojo, może był nawet zażenowany, bo jemu też przypomniła się tamta rozmowa w knajpie. Mimo to brnął dalej.

- Sprawdzanie wiarygodności i zdolności kredytowej klienta wymaga czasem stosowania specjalnych procedur śledczych. Kumpel naraił mi Stone'a. Stone pracuje z były mi agentami Mossadu i Secret Service, a ci mają doświadczenie z klientami wysokiego ryzyka. Szukałem kogoś ta kiego i podsunął mi ciebie.

Pike zerknął na hummera. Wóz miał niskie zawieszenie, co świadczyło, że jest bardzo ciężki i że ciężar ten jest karą za pancerną karoserię i szyby z kuloodpornego szkła.

- Ona jest tam?

Kiedy Stone oddzwonił z namiarami, podał mu również podstawowe fakty: młoda kobieta z zamożnej rodziny przeżyła już trzy zamachy i Flynn miał jej strzec. Koniec, kropka.

Stone nie wiedział nic więcej - i dobrze - bo Bud uznał, że nie musi. Ale dziewczyna była bogata i to mu wystarczyło. Ktoś z reputacją i dorobkiem Pike'a mógł zażądać każdej sumy, a Stone zamierzał wycisnąć z tych ludzi ile się da. Zamiast odpowiedzieć, Bud spojrzął na kościół.

- Wejdźmy do środka. Poznasz jej ojca i powiem ci, co jest grane. Jeśli się zdecydujesz, pójdziemy do dziewczyny.

Pike ruszył za nim, pewny, że sprawa jest już przesądzona.

W kościele pachniało szałwią i cuchnęło moczem. Na betonowej podłodze wały się puszek po piwie i gazety wypłowiałe ze starości i zasypane nawianym z pustyni piaskiem. Pike pomyślał, że zapach moczu zostawiły tu zwierzęta. Ten otyły nie był sam. Towarzyszył mu szczupły mężczyzna o inteligentnych oczach biznesmena i wykrzywionych ustach. Przy wejściu stała kosztowna walizeczka z kozłej skóry. Pike zastanawiał się, clo kogo należy i który z nich jest ojcem dziewczyny. Skręcił w lewo, za okno.

Bud ruchem głowy wskazał grubasa o rzadkich włosach.

- Joe, to jest Conner Barkley. Panie Barkley, to jest Joe Pike.

Barkley uśmiechnął się niewyraźnie.

- Dzień dobry.

Był w jedwabnej koszuli z krótkimi rękawami, która opinała mocno wystający brzuch. Ten z wykrzywionymi ustami miał na sobie ciemnoszarą sportową marynarkę, elegancką i drogą, i był bez krawata. Pike przyjechał w szarej bluzie bez rękawów, w dżinsach i nowych butach do biegania.

Krzywousty wyjął z wewnętrznej kieszeni kilka złożonych na pół kartek i długopis.

- Nazywam się Gordon Kline - powiedział. - Jestem adwokatem pana Barkleya i pracownikiem jego firmy. To jest poufne zobowiązanie, że nie może pan powtarzać, relacje ani w jakikolwiek inny sposób ujawniać tego, co zo-

stanie tu dzisiaj powiedziane, ani tego, czego dowie się pan o panu Barkleyu i jego rodzinie. Musi pan je podpisać. Podał mu papiery i długopis, ale Pike nie wyciągnął ręki.

-Gordon - powiedział Bud. - Zważywszy na okoliczności, może obejdzie się bez tego...

-Musi podpisać. Wszyscy podpisują.

Pike obserwował Barkleya, który patrzył na grube, czerwone strzały na jego bicepsach. Pike'a przywykł, że ludzie się na nie gapią. Wytatuował je sobie przed pierwszą turą bojową. Wskazywały do przodu. Ludzie gapili się na nie, na jego wypłowiałą bluzę z obciętymi rękawami i widzieli to, co chcieli. Jemu to nie przeszkadzało.

Barkley oderwał wzrok od tatuaży. Miał zaniepokojone oczy.

- To jest człowiek, którego chce pan zaangażować?

-Jest najlepszy w branży. Larkin przy nim nie zginie.

Kline wyciągnął rękę jeszcze dalej.

-Proszę. Zechce pan podpisać.

-Nie - odparł Pike.

Brwi Barkleya stanęły dęba niczym zdenerwowane gąsienice.

- Nie trzeba, Gordon. Poradzimy sobie bez tego. Prawda, Bud?

Kline jeszcze bardziej wykrzywił usta, ale schował zobowiązanie do kieszeni.

- Dobra - ciągnął Bud. - Sytuacja wygląda tak: córka pana Barkleya jest świadkiem federalnym. Za dwa tygo dnie ma zeznawać przed wielką ławą przysięgłych. W ciągu ostatnich dziesięciu dni trzykrotnie próbowano ją zabić. Półtora tygodnia i trzy zamachy, wszystkie niemal skuteczne. Nie miałem wyboru, musiałem wymyślić coś niekonwencjonalnego.

-I wymyśliłeś mnie.

Pike przesunął się w prawo, żeby widzieć limuzynę. Za-

chodzące słońce zalewało pustynię czerwonym blaskiem. Spadała temperatura. Nocą było tu świeżo i chłodno.

-Dlaczego nie objęto jej programem ochrony świadków?

Barkley odgarnął włosy z oczu.

-Objęto. I to jej omal nie zabiło.

Kline skrzyżował ręce na piersi, jakby uważał, że utrzymywanie rządu Stanów Zjednoczonych jest stratą pieniędzy podatników.

- Są niekompetentni.

-Jedenaście dni temu Larkin miała wypadek samochodowy - ciągnął Bud. - O trzeciej nad ranem wpadła na mercedesa...

-Prowadząc samochód, nikt nie myśli, że może spotkać takich ludzi - przerwał mu znowu Barkley.

-Conner... - wtrącił Kline.

-I gdzie my teraz jesteśmy? W starych ruinach na pustyni. Boimy się, uciekamy. Wypadek samochodowy, cholera.

Barkley znowu odgarnął włosy z oczu i tym razem Pike spostrzegł, że drży mu ręka.

- W mercedesie było troje ludzi - ciągnął Bud. - George

i Elaine Kingowie, to był ich wóz, i pasażer. George King. Znasz *to* nazwisko?

Pike pokręcił głową.

- Przedsiębiorca budowlany, facet czysty jak łąza. Żadnych nakazów, procesów, listów gończych, dosłownie nic. Krwa wił, więc Larkin wysiadła, żeby mu pomóc. Ten siedzący z tyłu też był ranny, ale oddalił się z miejsca wypadku. King pozbierał się na tyle, żeby odjechać, ale Larkin zapamiętała numer rejestracyjny mercedesa. Nazajutrz Kingowie opowie dzieli policji zupełnie inną historijkę: zeznali, że byli sami. Dwa dni później z Larkin skontaktowali się agenci Departamentu Sprawiedliwości. Przyszli z rysownikiem i paręset szkiców później Larkin zidentyfikowała tego, który zwał. To niejaki Meesh, Alexander Liman Meesh, wielokrotnie

notowany morderca, który według federalnych miał przebywać w Bogocie w Kolumbii. Mogę dać ci jego akta. Pike zerknął na limuzynę.

- Jak to się stało, że zwykłym wypadkiem samochodowym zainteresowali się federalni?

Kline zasłonił mu widok, ale nie był już chyba wkurzony, że Pike nie chciał podpisać zobowiązania.

- Przez Kinga. Ci z Departamentu Sprawiedliwości po wiedzieli nam, że podejrzewają go o pranie brudnych pieniędzy, że toczy się przeciwko niemu śledztwo. Uważają, że Meesh wrócił do Stanów, żeby za jego pośrednictwem za inwestować pieniądze kartelu narkotykowego.

Bud zmarszczył brwi i kiwnął głową.

- Ponad sto milionów dolarów.

Kline spojrzał na Barkleya. Twarz mu pociemniała.

-Federalni chcą udowodnić, że Kinga coś z nim łączy i potrzebują do tego Larkin. Dzięki jej zeznaniom mogliby zdobyć nakaz i zajrzeć do jego ksiąg. Jej ojciec i ja byliśmy temu przeciwni. Od samego początku nie chcieliśmy, żeby się w to angażowała i niech pan zobaczy, co z tego wynikło.

-A więc to King chce ją zabić?

-King to inwestor - odparł Bud. - Nigdy nie był notowany, nie ma żadnej przeszłości kryminalnej, żadnych związków z mafią narkotykową, nie licząc Meesha. Departament Sprawiedliwości uważa, że Meesh próbuje chronić pieniądze, które zainwestował w jego przedsięwzięcia. Jeśli prokuratura oskarży Kinga, jego aktywa zostaną zamrożone, dlatego Meesh robi wszystko, żeby do tego nie doszło. Niewykluczone, że King nie wie nawet, że Meesh wydał wyrok na Larkin. Może nawet nie wiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze.

-Czy ktoś go o to spytał?

-Kingowie dali nogę. Sekretarka twierdzi, że wyjechali na dawno zaplanowany urlop, ale nikt w to nie wierzy, przynajmniej nie w Departamencie Sprawiedliwości.

Barkley przeczesał ręką włosy.

-Koszmar. To wszystko to jakiś koszmar, a my...

-Conner - przerwał mu Bud. - Mógłbym porozmawiać z Pike'em sam na sam? Spotkamy się przy samochodzie. Gordon, proszę...

Barkley zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał, że ma wyjść, ale Kline dotknął jego ramienia i wyszli. Bud odczekał chwilę i westchnął.

-To dla niech piekło.

-Nie jestem ochroniarzem - odparł Pike.

-Posłuchaj. Kiedy przyszli do niej pierwszy raz, była w domu. Ten dom, dom Barkleyów, to prawdziwa forteca: cztery akry ziemi w Beverly Hills na północ od Sun-set Boulevard. System alarmowy, strażnicy i tak dalej. To bogaci ludzie.

-Rozumiem.

Bud otworzył skórzaną walizeczkę i wyjął z niej kilka ziarnistych zdjęć. Pokazywały trzy niewyraźne sylwetki ubranych na czarno mężczyzn nad basenem, na dziedzińcu i pod oszklonymi drzwiami do ogrodu.

- Zdjęcia z kamer. Na tym i na tym można rozpoznać ich twarze, ale jeszcze ich nie zidentyfikowaliśmy. Szukając Larkin, dopadli gosposię. Ciężko ją pobili: dusili, wybili trzy zęby i złamali nos.

Gosposia też była na zdjęciu. Oczy miała jak bakłażany, a usta rozcięte tak głęboko, że widać było dziąsła. Pike doszedł do wniosku, że ten, kto to zrobił, po prostu lubi bić. Że pewnie bił ją nawet, gdy już straciła przytomność.

-Blisko podeszli?

-Uciekli, kiedy przyjechała policja. Ten pierwszy raz to było zaskoczenie, ale zaraz potem objęto ją programem ochrony świadków. Sześć dni temu agenci zawieźli ją do domu pod San Francisco. Tamci przyszli już następnej nocy.

-Do tego domu.

- Jednego agenta zabili, drugiego ranili. Oni się nie pa-  
tyczkują.

Trzasnęły drzwiczki samochodu i Pike wyjrzał przez  
okno. Z limuzyny wysiadła Larkin Conner Barkley. Miała  
twarz w kształcie serca i wąski, lekko przekrzywiony w le-  
wo nos. Miedziane włosy wiły się jak splątane węże. Była  
w obcistych szortach, które zaczynały się nisko i kończyły  
wysoko, i w zielonym podkoszulku, a pod pachą trzymała  
małego psa w eleganckiej różowej torbie. Był to jeden z  
tych karzełków o wybaluszonych oczach, które wiecznie  
trzęsą się ze strachu. Pike wiedział, że kurdupel może za-  
szczekać w nieodpowiedniej chwili i ją zabić.

Odwrócił się i spytał:

-Ci sami co przedtem?

-Nie wiadomo. Larkin zadzwoniła do ojca i o wschodzie  
słońca była już w Beverly Hills. Mieli dość programu  
ochrony świadków i jeszcze tego samego dnia Barkley  
zaangażował mnie. Zawiozłem Larkin do hotelu, ale  
tamci zaatakowali już kilka godzin później.

- A więc za każdym razem wiedzieli, gdzie jej szukać.

-Tak.

Pike spojrzął na limuzynę. Wypełniająca kościół rozmyte  
światło przybrało barwę dymu.

- Twoi federalni mają przeciek.

Bud zacisnął zęby, jakby on też tak uważał, ale nie mógł  
otwarcie tego przyznać.

-Załatwiłem dom w Malibu. Musisz ją tam zawieźć.  
Sam. Nie chcę, żeby wracała do miasta.

-Co na to federalni?

-Odciałem ich. Pitman, ich szef, uważa, że robię błąd,  
ale to decyzja Barkleyów.

Pike odwrócił się od okna.

- Stone powiedział ci, jaki jest układ?

Bud nie zrozumiał pytania.

- Układ?
- Nie biorę już zleceń. Jestem coś winien Stone'owi. Tę robotę. Spłacam dług.
- Kosztujesz Barkleya fortunę.
- Nie wezmę ani centa. Nie tak chcę to rozegrać i nie dlatego.
- Nic mi o tym nie mówił. Jeśli zamierzasz to olać, wolę żebyś...
- Sierzancie Flynn.
- Bud zamilkł.
- Chodźmy. Dziewczyna czeka.

Kiedy wyszli z kościoła, jej ojciec rozmawiał z Kline. Bud wskazał hummera, z którego dwaj faceci w eleganckich garniturach z Savile Row wyladowywali walizki i torby podróżne. Dziewczyna wzięła się pod boki i spojrzała na Pike^, jakby zrobiła zły zakup i miała teraz wyrzuty sumienia. Zwisający z torby pies obserwował go mściwymi oczkami.

Gdy podeszli do samochodu, Bud zerknął na Kline'a i rzucił:

- Możemy jechać. Przeniósł wzrok na dziewczynę.
- Larkin, to jest Joe Pike. Pojedziesz z nim.
- A jeśli mnie zgwałci?

Zamiast spojrzeć na córkę, Barkley spojrzał na Kline'a.

- Przestań - powiedział adwokat. - To najlepsze wyjście.

Barkley tylko kiwnął głową. Kline mówi jej, co ma robić, pomyślał Pike. Ciekawe, czy na tym polega jego praca.

Larkin zdjęła ciemne okulary, teatralnie otaksowała Pike'a spojrzeniem i popatrzyła na ojca.

- Milusi jest. Kupisz go dla mnie, tatusiu?

Barkley znowu zerknął na Kline'a, jakby chciał, żeby ten odpowiedział za niego. Jakby się jej bał. Dziewczyna spojrzała na Pike'a.



- Dasz radę mnie obronić?

Pike zmrzążył oczy. Była ładna i zdążyła już do tego przywyknąć, a jej ubranie i włosy wskazywały, że lubi być w centrum uwagi, co mogło stwarzać kłopoty. Ci w garniturach z Savile Row ciągle wyładowywali walizki.

Larkin zmarszczyła czoło i zerknęła na Buda.

- Dlaczego on nic nie mówi? Naćpał się czegoś?

Pike podjął decyzję.

-Tak.

Larkin parsknęła śmiechem.

-Naćpałeś się?

-Dam radę cię obronić.

Dziewczyna przestała się uśmiechać i spojrzała na niego z cieniem niepewności w oczach. Jakby wszystko stało się nagle bardzo rzeczywiste.

- Chcę zobaczyć twoje oczy - powiedziała. - Zdejmij okulary.

Pike ruchem głowy wskazał stertę waliz i toreb.

- To twoje?

-Tak.

- Jedna torba, jedna torebka. Żadnych komórek. Żadnej elektroniki. Żadnych iPodów.

Larkin zeszywniała.

- Te rzeczy są mi potrzebne. Tatusiu, powiedz mu, że są mi potrzebne.

Pies wybałuszył ślepią i zawarczał.

- I żadnych psów - dodał Pike.

Barkley przecesał ręką włosy, Kline jeszcze bardziej wykrzywił usta, ale żaden z nich nie spojrzał ani na rosnącą górę waliz, ani na psa.

Godzinę, bardzo paskudną godzinę później Pike i dziewczyna wyruszyli w drogę.

Cztery i pół godziny później próbowano ich zabić w Malibu. Wtedy uciekli.

## *Elvis Cole*

— Joe?

Cole zorientował się, że Joe przerwał połączenie. Cały Pike. Kiedy odbierało się telefon, mruczał coś w rodzaju: „Zaraz przyjeżdżam” i było po wszystkim. Uprzejma rozmowa nie należała do jego mocnych stron.

Cole odłożył przenośny telefon i wrócił do woskowania samochodu, żółtego sting raya rocznik 1966. Był w szortach gimnastycznych i szarym podkoszulku z logo kafejki U Harringtona, wspaniałej knajpki w Baton Rouge. Podkoszulek był ciemny od potu i chciał go zdjąć, ale wtedy musiałby pokazać wszystkim swoje blizny. Mieszkał w małym drewnianym domu przy Woodrow Wilson Drive w Hollywood Hills, na samym skraju kanionu. Okolica była cicha, spokojna i lesista, sąsiedzi często mijali jego dom, idąc na spacer z psem. Uznał, że nie muszą oglądać ciemnoczerwonych szwów, które nadawały mu wygląd ofiary wypadku laboratoryjnego. Że nie musi ich widzieć nawet on sam.

Nie znosił woskowania, ale poprzedniego wieczoru oglądał jeden ze swoich ulubionych filmów *Karate Kid* i w pamięć zapadła mu scena, w której Pat Morita uczy Ralphi Maccio ciosów blokujących, każąc mu woskować jego samochód: łukiem w górę, łukiem w dół. Cole pomyślał, że woskowanie może być dobrą terapią.

Przed trzynastoma tygodniami Davis Reinnike postrzelił go ze strzelby w plecy. Śrut roztrzaskał pięć żeber, złamał lewą kość ramienną, doprowadził do zapadnięcia lewego płuca i - wszyscy zgrzytali przy tym zębami - zepsuł mu piękny dzień. Tydzień wcześniej mógł bez trudu wykonać skłon, dotknąć piersią ud i objąć rękami łydki. Teraz poruszał się jak robot o zardzewiałych stawach. Mimo to dwa

razy dziennie walczył z bólem, zawzięcie ćwicząc. Dlatego: łukiem w górę, łukiem w dół.

Wciąż pracował, kiedy na podjazd wjechał ciemnozielony lexus. Cole wyprostował się i zaskoczony zobaczył, że z samochodu wysiada Pike i młoda, miedzianowłosa dziewczyna w dużych ciemnych okularach. Dziewczyna robiła wrażenie nieufnej, a Pike był w koszuli z długimi rękawami. Nigdy takich nie nosił.

Cole pokuśtykał do nich, żeby się przywitać.

- Jak się masz, Joseph. Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś, włożyłbym coś porządniejszego.

Uśmiechnął się do dziewczyny i rozłożył ręce, demonstrując szorty, białe stopy i przepełnione, brudny od wosku podkoszulek - elegancik nabijający się ze swego wyglądu.

- Mam na imię Elvis. Właśnie wcielam się w Ralpha Maccio. Dziewczyna posłała mu krótki, cwany uśmiech i wskażała kciukiem Pike'a.

-Dzięki Bogu, że masz przynajmniej jakąś osobowość. Bo z nim jeździ się jak z trupem.

-Tylko do chwili, kiedy się go lepiej pozna. Potem usta mu się nie zamykają.

Cole zauważył, że kierując dziewczynę w stronę wiaty, Pike dotknął jej pleców, ale zrobił to bez cienia poufałości.

- Wejdzmy do środka.

Cole zerknął na lexusa, wyczuwając, że nie jest to wizyta czysto towarzyska.

- Człowieku, czterodrzwiowy sedan zepsuje ci image. Co się stało z dżipem?

- Chodźmy.

Cole wprowadził ich do domu przez wiatę. Weszli prosto do saloniku z przeszklonymi drzwiami na taras, dzięki którym wewnątrz wypełniał rozległy widok na kanion. Dziewczyna stanęła przy oknie.

- Nieźle.

- Dziękuję. Chyba jest za co.

Zapach pieniędzy bił od niej jak zapach ciężkich perfum: dzinsy Rock Republic za czterysta dolarów para, top od Kitsona, okulary od Olivera Peoplesa. Cole umiał czytać w ludziach jak w otwartej księdze i przekonał się - z czasem - że niemal nigdy się nie myli. Bił od niej również zapach kłopotów. Jej twarz wydawała się znajoma, ale nie potrafił jej umiejscowić.

-Przepraszam, nie dosłyszałem twego nazwiska.

Dziewczyna zerknęła na Pike'a.

-Mogę mu powiedzieć?

-Larkin Barkley - odparł Joe. - Jest świadkiem federalnym. Była objęta programem ochrony, ale nic z tego nie wyszło.

-Ha! - mruknęła dziewczyna.

-Chętnie byśmy coś zjedli, może wzięli prysznic. I pogadali.

Cole zrozumiał, że Joe nie chce mówić przy dziewczynie, więc znowu się uśmiechnął.

- Wskakuj pod prysznic, a ja zrobię coś do jedzenia. Zgoda?

Larkin spojrzała na niego i Cole wyczuł w niej coś nowego. Posłała mu krzywy uśmiech, taki sam jak na podjeździe, tylko że teraz uśmiech ten mówił, że tu, w tym małym domku, który wcale nie jest taki zły, Cole niczym jej nie zaskoczy, nie zaimponuje ani nie poruszy. Był jakby czymś w rodzaju wyzwania. Albo próby.

-Może najpierw coś zjem? - spytała. - Ten ogier nie chce mnie nakarmić. Chce tylko seksu.

-Przy mnie też taki jest - odparł Cole. - Ale zdążyłem już przywyknąć.

Larkin mrugnęła i wybuchnęła śmiechem.

- Jeden zero dla mnie. Biegnij pod prysznic albo zaczekaj na tarasie. Chcemy pogadać w cztery oczy.

Wybrała prysznic.

Pike skoczył do samochodu po jej torbę, wraz z dziewczyną wpełznął ją do łazienki, a Cole poszedł do kuchni. Pokroił wzdłuż cukinię, kabaczek i bakłażan, skropił je oliwą i postawił patelnię na ogniu, żeby się rozgrzała. Kilka minut później przyszedł Pike, ale odezwali się dopiero wtedy, kiedy w łazience zaszumiała woda. Cole oparł się o blat.

- Ogier?

Pike wyjął prawo jazdy i dwie karty kredytowe. Zdjęcie na prawie jazdy pokazywało dziewczynę o wspaniałych rudych włosach. Na kartach kredytowych widniało jej nazwisko. American Express była czarna. Duża kasa.

- Poznałem ją wczoraj, ale nic o niej nie wiem. Musisz mi pomóc.

Podał mu również coś, co wyglądało na akta z Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej FBI.

- To człowiek, który próbuje ją zabić. Alex Meesh z Kolorado i z Kolumbii.

Cole spojrzął na okładkę. Alexander Meesh. Poszukiwany za morderstwo.

-Ameryka Południowa?

-Tak. Wystawiono na niego kilka nakazów i zwiąd. Federalni dali Budowi akta, ale nie znalazłem w nich niczego przydatnego. Może tobie się uda.

Pike opisał mu sytuację krótkimi, beznamiętnymi zdaniami, jak policjant składający meldunek przełożonemu.

Powiedział, że dziewczyna ma zeznawać jako świadek Departamentu Sprawiedliwości w śledztwie przeciwko George'owi Kingowi, że King jest podejrzany o pranie brudnych pieniędzy i że właśnie to było powodem trzech zamachów na jej życie. Cole słuchał go bez słowa, dopóki Pike nie zaczął opowiadać o strzelaninie w Malibu i Eagle Rock. Wtedy dostał gęsiej skórki na karku i z trudem oderwał się od blatu.

-Zaczekaj. Zastrzeliłeś kogoś?

-Pięciu. Dwóch wczoraj w nocy, trzech dziś rano.

Kuchnia, w kuchni Pike: powiedział to tak obojętnie, jakby mówił, że zabrakło mu benzyny.

- Joe. Jezu, Joe... Ściga cię policja?

- Nie wiem. Malibu było wczoraj, Eagle Rock parę godzin temu. Ale jeśli jeszcze mnie nie ścigają, to wkrótce będą. W Eagle Rock zgubiłem rewolwer.

Cole poczuł dziwną lekkość, jakby nagle zapadła się pod nim ziemia. Ledwie przed dziesięcioma minutami spokojnie woskował swój samochód. Przed trzema dniami przesiedział z Pikiem cały wieczór, planując wyprawę w góry.

-Zrobiłeś to w samoobronie, tak? Broniłeś siebie i świadka federalnego. FBI o tym wie.

-Nie mam pojęcia.

-Uciekłeś, bo bałeś się o swoje życie i zameldowałeś o wszystkim tym z Departamentu Sprawiedliwości. Oni o wszystkim wiedzą, tak? Dobrzy są w te klocki?

-Nawet ich nie znam.

Cole wytrzeszczył oczy. Pike stał po drugiej stronie kuchni tak lekko, jakby unosił się w powietrzu. Jego ciemne okulary były jak dwie czarne dziury, z których wycięto kawałki ciała.

- Nieważne - powiedział. - Mamy większy problem niż policja. Zamachowcy wiedzieli, gdzie jesteśmy, znali adresy obydwu domów. Znali jej namiary, kiedy była z agentami Departamentu Sprawiedliwości i kiedy Bud zawiózł ją do hotelu.

Chociaż woda wciąż szumiała, Cole zniżył głos. Już rozumiał, dlaczego Pike nie chciał rozmawiać przy dziewczynie.

-Ktoś sypie. Ktoś od niej.

-Zabrałem ją. Odciałem od tego Buda i FBI. Dam radę ją ochronić tylko wtedy, kiedy nikt nie będzie wiedział, gdzie jest.

-Co zamierzasz?

-Chcę znaleźć Meesha.

Cole spojrział na wydruk. „Prawdopodobnie przebywa w Bogocie”.

-Może go tu nawet nie być. Mógł wrócić do Kolumbii.

-Próbował ją zabić pięć razy. Ktoś, kto tak bardzo pragnie czyjeś śmierci, nie wyjeżdża z nadzieją, że jakoś to będzie. Ktoś taki siedzi na miejscu i trzyma rękę na pulsie.

Pike podszedł do telefonu i zapisał coś w notesie.

- Mam nowy wóz i nowy telefon. Tu jest numer.

Cole'a zemdlilo, ale mdliło go tak od wyjścia ze szpitala. Lekarze mówili, że to wymaga czasu. Że może mu w ogóle nie przejść.

- Domyślasz się, kto im ją wystawia?

- Bud nad tym pracuje, ale komu mogę zaufać? Może ktoś od niej. Może nawet z FBI.

Cole odłożył kartkę. Podszedł do kuchenki i wrzucił warzywa na patelnię. Patelnia była za gorąca, ale buchnął z niej wspaniały zapach.

Dużo razem przeszli, on i Pike. Od dawna byli przyjaciółmi. Kiedy Cole obudził się ze śpiączki, to właśnie Pike trzymał go za rękę.

Odłożył widelec i odwrócił się.

- Nie podoba mi się to. To, że pakujesz się w coś i nie wiesz nawet w co. Ten cały Meesh. Jacyś federalni. Twój kumpel Flynn, którego nie widziałeś od dwudziestu lat. To do ciebie nie pasuje. Zawsze przestrzegałeś pewnych standardów.

Pike stał jak posąg, jakby część tej układanki wciąż gineła w mroku.

-No więc?

-Nie przyjechałem tylko po pomoc. Jeśli tamci się dowiedzą, kim jestem, mogą przyjść do ciebie.

Zza ciemnych okularów powiało nieoczekiwanym smutkiem.

- Przepraszam - dodał Pike.

Zażenowany Cole odwrócił się do kuchenki.

- Jak te błazny tu przyjdą, skopię im dupę, i tyle.

Pike kiwnął głową.

- Postaram się dowiedzieć czegoś o tym Meeshu. Za czną od Larkin, kiedy wyjdzie z łazienki. Może wie więcej, niż myśli.

Pike oparł się o ścianę.

- Nie możemy tu zostać.

Cole to rozumiał. Joe chciał wywieźć dziewczynę, bo mogli tu przyjsć zamachowcy albo policja.

- To ty z nią pogadaj. Jeszcze jedno. Kiedy będę sprawdzał Meesha, sprawdzę i twego kumpla Flynnna.

Pike'owi drgnęły usta i Cole pomyślał, że Larkin pewnie nawet nie zauważyła, że Joe nigdy się nie śmieje ani nie uśmiecha. Jakby umarło w nim coś, co mu na to pozwalało, umarło albo schowało się tak głęboko, że na zewnątrz docierało tylko leciutkie drżenie.

- Jak chcesz.

Cole robił właśnie kanapki, gdy zadzwoniła komórka i Pike wyszedł na taras pogadać.

Cole ułożył warzywa na pokrojonej bułce i rzucił bułkę na patelnię, żeby była chrupka.

Szum wody nagle ucichł i jego brak zabrzmiał w ciszy jak głośny hałas. Kilka chwil później z łazienki wyszła Larkin. Pike wciąż rozmawiał na tarasie.

-Cudownie pachnie - powiedziała.

-Chcesz szklanek mleka albo wody?

-Tak, poproszę. Mleka.

Miała zaczerwienione oczy - była bez okularów - i Cole pomyślał, że pewnie płakała. Pochwycił jego spojrzenie i posłała mu krzywy uśmiech. Krzywy, chytry i zapraszający. Nikt, kto przed chwilą płakał, nie mógłby się tak uśmiechnąć, ale ona najwyraźniej mogła. Umie się maskować, pomyślał Cole. Ma w tym wprawę.



-Wyglądasz znajomo.

-Tak?

-Jesteś aktorką?

-Niech Bóg broni.

Zajrzała do kanapki i wesoło zapiszczała, co zupełnie nie pasowało do uśmiechu.

-Doskonale! Nie chciałam marudzić, ale jestem wegetarianką. Skąd wiedziałeś?

-Nie wiedziałem. Zrobiłem to dla niego. On też jest wegetarianinem.

-On?

Larkin zerknęła na taras i przestała się uśmiechać.

- Po czerwonym mięsie robi się agresywny.

Roześmiała się i Cole pomyślał, że chyba ją polubił.

Odgryzła wielki kawał kanapki, potem drugi. Jedząc, obserwowała Pike'a.

-Jest małomówny.

-Jest telepatą. I umie przechodzić przez ściany. Larkin znowu się roześmiała i odgryzła kolejny kęs, choć nie tak duży jak przedtem. Znowu popatrzyła na Pike'a, ale już bez uśmiechu, w zadumie.

-Na moich oczach zastrzelił człowieka. Widziałam krew.

-Człowieka, który próbował cię zabić.

-Tak głośno huknęło. Inaczej niż na filmach.

-Tak. Zupełnie inaczej.

-Aż się to czuje.

-Wiem.

-Wszędzie mnie znajdują. Cole dotknął jej pleców.

-Hej...

Larkin nie odrywała oczu od Pike'a.

- Może mieć kłopoty?

Cole nie odpowiedział i wtedy do salonu wszedł Pike.

- Mamy dom. Chodźmy.

Dziewczyna zerknęła na kanapkę, swoją, a potem na jego.

-Nic nie jadłeś. Jeszcze nie skończyłam.

-Zjemy w samochodzie.

Cole odprowadził ich, pożegnał się i zaczekał, aż ruszą. Nie spytał Pike'a, dokąd jadą, a on mu nie powiedział. Wiedział, że zadzwoni, kiedy będą bezpieczni.

Spojrzał na dom, potem na swój wóz. Dom i wóz - dłużej wytrwał w jego życiu tylko Joe. Poznali się, kiedy Joe był jeszcze policjantem, a on stażystą u starego George'a Feidera; żeby zdobyć licencję prywatnego detektywa, musiał zaliczyć trzy tysiące godzin praktyki. Joe nazywał George'a „oficerem prowadzącym”. Kiedy był nowicjuszem, jego prowadzącym był Bud Flynn i Joe go uwielbiał.

Cole uśmiechnął się i zamyślił. Kilka lat później, kiedy on zaliczył już godziny, a Joe rzucił pracę w policji, George przeszedł na emeryturę, zrobili więc zrzutkę, wykupili jego agencję i uzgodnili, że na tabliczce na drzwiach będzie widniało tylko nazwisko Cole'a. Joe nie miał zamiaru ubiegać się o licencję. Zajmował się wtedy czymś innym i chciał mu tylko dorywczo pomagać, bo utrzymywał, że bez niego na pewno go zabiją. Cole nie wiedział, czy Joe żartuje, czy nie, ale na tym właśnie polegał jego urok.

„Jeśli tamci się dowiedzą, kim jestem, mogą przyjść do ciebie”.

Cole wziął głęboki oddech. Wciągnął powietrze, rozszerzając klatkę piersiową, aż z bólu oczy zaszyły mu łzami, a potem ruszył do domu.

„Mogą przyjść do ciebie”.

Niech sobie przychodzą, pomyślał. Ty kryjesz mnie, ja ciebie.

I zabrał się do pracy.

## 7

Jechał na wchód bulwarem Zachodzącego Słońca, prosto w naciągające szkarłatem niebo. Niewidzialny w anonimowym samochodzie po raz pierwszy od dwudziestu godzin prowadził spokojnie. Kiedy minęli Echo Lakę z rozmytą w mroku fontanną, skręcił na północ, w kierunku niskich wzgórz Echo Park. Na wschód od parku domy były ładniejsze, ale te tutaj, przy wąskich, krętych uliczkach, były małe, drewniane i brzydkie. Gdy dojeżdżali na miejsce, zamigotały przedwojenne latarnie.

- To tu - powiedział.

Cofnięty od ulicy stał tam wąski, szary domek ze stromym dachem, gankiem i garażem na jeden samochód. Zajmował prawie całe podwórze. Agentka zostawiła klucz pod doniczką obok drzwi.

Dziewczyna nieufnie wyjrzała z samochodu.

-Czyj to dom?

-Do wynajęcia. Właściciele mieszkają w Las Vegas i czekają na nowego lokatora. Wsiądź i idź prosto do drzwi.

Powietrze poruszyła lekka bryza z wąwozu Chaveza. Na gankach okolicznych domów siedziały całe rodziny, jedne - słuchając radia, inne po prostu rozmawiając. Pike słyszał, jak Vin Scully relacjonuje mecz z pobliskiego stadionu, gdzie Dodgersi wygrywali pięć do dwóch z Gigantami. Wyglądało na to, że większość sąsiadów pochodzi z Europy Wschodniej. Po drugiej stronie ulicy pięciu młodych mężczyzn, chyba Armeńczyków, stało wokół starego bmw. Śmiali się głośno, a jeden z nich próbował ich przekrzyczeć i coś powiedzieć.

Larkin nie poszła do drzwi. Spojrzała na dom, jakby ten chciał ją zjeść, potem popatrzyła na sąsiednie, wreszcie na Armeńczyków.

- Wszystko w porządku - powiedział Pike. - Chodźmy.

Wziął jej torby. Mógł zabrać i swoją, ale nie zabrał. Znalazł klucz i weszli do saloniku. Drzwi po prawej prowadziły do korytarza, skąd wchodziło się do łazienki i dwóch małych sypialni, od frontu i od podwórza. Dom był w pełni wyposażony, czysty i zadbane, tylko meble były stare i zużyte, a pokoje bardzo małe. W saloniku buczał klimatyzator, który agentka włączyła, żeby było chłodniej.

- Tak sobie myślę... - powiedziała Larkin. - Nikt nie wie, gdzie jesteście, tak? Mamy karty kredytowe. Mamy kartę do bankomatu. Możemy pojechać gdzie tylko chcemy.

Pike rzucił torby na podłogę.

- Są tu dwa pokoje. Wybierz któryś.

Zajrzał do obydwo, do łazienki i kuchni, sprawdził okna i opuścił żaluzje. Larkin nie tknęła toreb ani nie wybrała pokoju; szła za nim tak blisko, że dwa razy nadepnęła mu na piętę.

-Posłuchaj. Możemy wziąć gulfstreama. Ojcu będzie wszystko jedno. Mamy fantastyczny apartament w Sydney. Byłeś kiedyś w Oz?

-Rozpoznają cię. I na lotnisku ktoś krzyknie: „Hej, to przecież Larkin Barkley i jej samolot”.

Pike otworzył lodówkę. W środku czekały torby z zakupami, zgrzewka wody mineralnej i sześciopak piwa.

-To od mojej znajomej. Poczęstuj się.

-Jesteś głupi. Dobra, posłuchaj: mamy dom przy rue Georges Cinq, o krok od Champs Elysees. Polecimy zwykłymi liniami, kupię ci bilet. To żaden problem.

-Karty kredytowe zostawiają ślad. Każdy samolot ma plan lotu.

Pike zawrócił do saloniku, Larkin potruchtała za nim.

- Pójdę do bankomatu. Co to za sprawa? Tutaj nie ma nawet telefonu. Ani telewizora.

Kompresor klimatyzatora włączył się z głuchym stukotem i zabrzmiało to tak, jakby ktoś wpadł na ścianę. Strumień

powietrza buchnął z dysz niczym tornado, któremu towarzyszyły głośne metaliczne wibracje. Pike pstryknął wyłącznikiem. Klimatyzator powoli ucichł i dobiegło ich szczekanie psów, terkot motocykla między wzgórzami i śmiech tych po drugiej stronie ulicy. Larkin wpadła w przerażenie.

-Co ty robisz? Dlaczego wyłączyłeś klimatyzację?

-Bo nic nie słyszałem.

-Jest gorąco. Zaraz będzie tu jak w piecu. Skrzyżowała ręce, wbiła palce w ciało. Pike wiedział, że nie chodzi jej o Paryż ani Sidney. Po prostu się bała.

Dotknął jej ramienia.

-Wiem, że przywykłaś do czegoś innego, ale mamy tu wszystko, czego nam potrzeba. Na razie, przynajmniej na razie, jesteśmy bezpieczni.

-Przepraszam. Nie chciałam być upierdliwa.

-Idę po rzeczy. Zostaniesz na chwilę sama?

-Tęsknię za moim psem.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zbył to milczeniem.

Posłała mu zmęczony uśmiech.

- Jasne, nic mi nie będzie.

Zgasił światło, żeby nikt nie zobaczył go w drzwiach, i wyszedł. Torby były w samochodzie, więc mógł przy okazji sprawdzić wiadomości. Gdyby musiał zadzwonić, wolał dzwonić bez świadków. Wsiadł do lexusa i za pomocą nowej komórki sprawdził wiadomości w starej. Czekало ich siedem. Bud zostawił trzy z rzędu, wszystkie prawie identyczne.

„Zadwoń do mnie, do cholery! Nie możecie tak zniknąć! Ona jest świadkiem federalnym! Będzie cię szukało FBI!”.

Mniej więcej godzinę po pierwszej zostawił czwartą. Spokojniejszą, bo już nie krzyczał.

„Joe, posłuchaj: musisz zadzwonić. Już po was, bo z tego, co wiem, te sukinsyny ją namierzyły. Proszę, nie splawiaj mnie tak”.

Piątą zostawił Jon Stone. Mówił cichym, zmęczonym głosem.

„Tu Stone. Martwi się o ciebie paru ważniaków, bracie. Nie oddzwaniaj. Nie dzwoń. Nie wymiękaj”.

Pike wykasował ją, choć z wahaniem. Wymiękanie nie miało nic wspólnego z tchórzostwem czy zimną krwią. Wyrażenia tego używały grupki zwiadowców i snajperów na zapleczu wroga, kiedy niebezpieczeństwo osiągało tak obłądny poziom, że nieustannie łykali amfetaminę, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu pozostać zwartym i gotowym do akcji. Nie wymiękaj; weź amfę. Nie wymiękaj; broń odbezpieczona, palec na spuście. Nie wymiękaj; witaj w piekle. Stone go ostrzegał i Pike zastanawiał się dlaczego.

Chciał do niego zadzwonić, ale pomyślał, że Stone nie bez powodu mu tego zabronił. Wypytywali go pewnie Bud i federalni. Niewykluczone, że i Meesh.

Szósta wiadomość też była od zupełnie już wykończonego Buda.

„Na razie wiem tyle: sztywniaków z Malibu nie zidentyfikowano. Nie wiem, co z tym z Eagle Rock, ale jutro się dowiem. Policja i DS nie skojarzyli cię ani z jedną strzelaniną, ani z drugą. Rozmawiałem z Donem Pitmanem, agentem DS. Zrobi, co się da, żeby ściągnąć ci z karku miejscowych gliniarzy, ale chce z tobą pogadać. Nalega, że musi. Zadzwon do mnie, stary. Nie wiem, co powiedzieć jej ojcu. Facet chce dzwonić na policję. Joe, jeśli jeszcze żyjesz, koniecznie zadzwon”.

Ostatnią wiadomość zostawił oschły, męski głos.

„Mówi agent specjalny Don Pitman z Departamentu

Sprawiedliwości. Dwa zero dwa, pięć, pięć, pięć, sześć dwa cztery jeden. Pana numer dał mi Bud Flynn. Proszę do mnie zadzwonić, panie Pike".

Panie Pike.

Pike zamknął klapkę komórki i wsłuchał się w uliczne odgłosy. Sztyniaków z Malibu nie zidentyfikowano - zastanawiał się dlaczego. Myślał, że policja zidentyfikuje ich natychmiast, co mogłoby naprowadzić go na trop Meesha. Myślał o Meeshu, bo spokoju nie dawało mu coś, co powiedziała Larkin. Do wypadku doszło na odludziu, mimo to Meesh zwał, w dodatku na piechotę. To nie miało sensu, chociaż z drugiej strony Pike nie wiedział jeszcze tylu rzeczy. Postanowił wypytać o to Larkin.

Odkręcił górną lampkę, żeby nie zapalała się przy wsiadaniu. Było już zupełnie ciemno, a on lubił ciemność. Ciemność, deszcz, śnieg, burzę - lubił wszystko to, co pozwalało się ukryć. Obszedł dom, żeby sprawdzić okna, wszedł na ganek i po cichu wślizgnął się do saloniku.

Larkin tam nie było, ale nie było również toreb i usłyszał, że krząta się w kuchni. Zdjął koszulę i usiadł w fotelu. Nie widział jej, ale wiedział, że wyjmuje wodę. Zmagą się ze zgrzewką, bo słyszał, jak dygocze lodówka. Drzwiczki zamknęły się z plastikowym cmoknięciem, trzasnęła plastikowa nakrętka. Na ścianie *zatańcz^ cień: cicho* mlasnęły boscie stopy i Larkin wyszła z kuchni. Zobaczyła go dopiero w połowie drogi do saloniku i tak się przestraszyła, że z butelki trysnął gejzer wody.

-Chryste, chcesz, żebym umarła?

-Przepraszam.

Głośno odetchnęła i roześmiała się z zażenowaniem.

- Jezu, następnym razem uprzedź mnie, że jesteś. **Nie** słyszałam, kiedy wróciłeś.

- Chyba powinnaś coś na siebie włożyć.

Rozebrała się do stanika i jasnozielonych stringów.

W jej pępku błyszczał złoty ćwieczek. Wyprostowała się, stanęła twarzą do niego i uniosła piersi.

-Zrobiło mi się gorąco. Mówiłam, że bez klimatyzacji będzie tu jak w piecu. Chcesz wody?

-Nie rób tego - odparł.

Podeszła do sofy, usiadła, położyła nogi na stoliku do kawy i spojrzała na niego spomiędzy kolan.

- Czego? Na pewno nie chcesz lecieć do Paryża? W Paryżu jest chłodniej.

Patrzyła mu w oczy z krzywym uśmiechem na ustach, jakby ona i tylko ona odkryła, że na tym świecie chodzi jedynie o seks i jakby Pike nigdy w życiu nie widział takiej dziewczyny.

-Kto to jest Don Pitman?

Krzywy uśmiech zniknął.

-Nie chcę o tym gadać.

-Muszę wiedzieć, kim są ci ludzie. Pitman dzwonił do mnie.

Zamknęła oczy. Zdjęła nogi ze stolika.

- To ktoś z Departamentu Sprawiedliwości. On i ten drugi, Blanchette. Kevin. Z prokuratury generalnej.

- To oni tym wszystkim kręcą czy dla kogoś pracują? Larkin zacisnęła powieki, jakby coś ją zabolalo i próbowała nad tym zapanować.

-Nie teraz. Już nie mogę o tym rozmawiać.

-Tylko kilka pytań. Będę musiał z nimi pogadać. Z nimi, Budem i z twoim ojcem.

-Nie. Nie teraz.

Otworzyła oczy. Pochyliła się, żeby postawić butelkę na stoliku, i w przyćmionym, żółtobrunatnym świetle zobaczył jej pełne, krągłe piersi.

- Mam tatuaż na pupie. Widziałeś? Chciałam, żebyś zobaczył.

Pike patrzył na nią bez słowa.



- Delfina. Delfiny są piękne. Wedy tak ścigają się w wodzie. Mają cudowny uśmiech. Są takie szybkie, takie szczęśliwe. Chcę być delfinem. Chcę być taka jak one.

Obeszła stół i stanęła przed nim. Pike pokręcił głową.

-Nie.

Larkin uklękła i położyła mu rękę na ramieniu, zakrywając tatuaż.

- Dlaczego masz te strzały? Dlaczego? Powiedz. Chcę wiedzieć.

Odsunął się na tyle, żeby musiała podnieść rękę. Potem delikatnie ją odepchnął.

- Proszę, nie rób tego więcej.

Przez chwilę patrzyła na coś między nimi, potem wróciła na sofę. Pike przyglądał się jej ciemnej sylwetce: pół twarzy w mrocznej poświacie z kuchni, pół w cieniu. Oczy błyszczały jej w świetle z okna.

-Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczna.

-Nie znam cię. Nie znam tych wszystkich agentów, nie znam Meesha ani Kinga. Nie wiem nic o praniu brudnych pieniędzy z Ameryki Południowej. Chciałam tylko pomóc. Nie wiem, co ja tu robię. Nie wiem, co się stało z moim życiem.

Teraz błyszczały jej i policzki.

- Naprawdę się boję.

Podchodząc do sofy, wiedział, że robi błąd. Objął ją, by uspokoić ją tak, jak uspokajał ludzi, kiedy był policjantem, matkę, której zabito syna, czy ocalałe z wypadku dziecko. Kiedy jej dotknął, wtuliła się w niego, położyła mu rękę na piersi i przesunęła ją niżej.

- Nie - szepnął.

Tupiąc bosymi nogami, uciekła do sypialni. Zamknęły się drzwi.

Siedział na sofie w cichym, ciemnym domu. Nie spał od trzydziestu pięciu godzin, ale wiedział, że jeśli zaśnie, pośpi

najwyżej parę godzin. Zdjął bluzę i bezszelestnie przeszedł przez dom, sprawdzając wszystkie pomieszczenia, wsłuchując się w noc. Pod drzwiami jej pokoju usłyszał płacz.

Wąska smuga światła na skraju cienia wyglądała jak leżący na podłodze pret.

Dotknął drzwi.

- Larkin.

Płacz ustał i wiedział już, że go słucha.

- Te strzały... Znaczą, że panujesz nad sobą, idziesz naprzód, nigdy wstecz. Zawsze naprzód. Tak jak ja. Tak jak my.

Czekał, ale się nie odezwała. Zawstydzony pożałował, że w ogóle próbował jej to wytłumaczyć.

- Teraz znasz mnie lepiej.

Odszedł i pogasił wszystkie światła. Wrócił do saloniku. Przystanął w ciemności, znowu się w nią wsłuchał, a potem bezgłośnie upadł na wyciągnięte ręce.

Zaczął robić pompki. Pompkę za pompką, sam na sam ze sobą, czekając, aż minie noc.

Nie zamierzał wymiękać.

**Dzień drugi**

**ŚWIATŁO NA WODZIE**

## 8

O wpół do szóstej rano okna pojaśniały i wewnątrz domu zalał pośpepny bury blask, jaki bije z przydrożnego stawu. Pike zdążył się już umyć i ubrać. Był w dżinsach, w szarej bluzie bez rękawów i w butach do biegania. Stał w saloniku. Widział stąd cały dom, od drzwi frontowych do kuchennych, i troje drzwi w malutkim korytarzu, do łazienki i dwóch pokoiów. Stał w tym miejscu prawie od godziny.

W nocy kilka razy zdrzemnął się na sofie, lecz ani razu nie zasnął na dobre. Co godzinę obchodził dom, sprawdzał okna i nasłuchiwał. Domy żyją tak jak bydło, las czy owce. Kiedy wszystko gra, wydają zdrowe odgłosy. I właśnie tych odgłosów nasłuchiwał. Dwa razy wszedł do sypialni Lar-kin, by przekonać się, że dziewczyna cichutko pochrapuje, raz na brzuchu, drugim razem na boku, ze skopanym prześcieradłem. Postął w ciemności, wsłuchując się w jej oddech, sprawdził okna i poszedł dalej.

Teraz stał w saloniku.

O wpół do szóstej Larkin wyszła chwiejnie z pokoju i nie widząc go, skierowała się do łazienki. Zapaliło się światło, zamknęły się drzwi. Załatwiła się i spuściła wodę.

Pike ani drgnął.

Otworzyła drzwi i zgasiła światło. Z jednym ramieniem wy-

Żej, drugim niżej ruszyła do sypialni i w tym momencie go zobaczyła. Była rozespana i zamiast oczu miała wąskie szparki.

- Jest noc - wymamrotała. - Dlaczego nosisz ciemne okulary?

Nie odpowiedział.

-Co robisz?

-Stoję.

-Jesteś dziwny.

Poczłapała do sypialni. Spłuczka wypełniła się wodą. Szum ustał. W domu znowu zapadła cisza.

Pike stał dalej.

Dwie minuty po szóstej zawibrowała komórka. Wyjął ją z kieszeni i zobaczył, że to Ronnie.

-Tak.

- Dwanaście minut temu w twoim mieszkaniu włączył się alarm.

Ilekcroć się włączał, firma ochroniarska dzwoniła najpierw do abonenta, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Fałszywe alarmy były powszechne. Pike kazał im dzwonić do Ronniego. I zabronił zawiadamiać policję.

-Co im powiedziałeś?

-To, co chciałeś, że wszystko gra i trzeba go zresetować. Mam tam podskoczyć?

- Nie. Zajmę się tym.

Pike zmarszczył czoło.

-Ale zadzwoń do nich i powiedz, że jeśli włączy się alarm w sklepie, mają natychmiast interweniować.

-Dobra.

Pike schował telefon do kieszeni i sprawdził czas. Alarm włączył się przed dwunastoma minutami, kiedy wyłamali drzwi albo wybili okno. Pewnie byli jeszcze w mieszkaniu. Zanimby przyjechał, daliby nogę, chyba że zamierzali na niego zaczekać, ale on nie miał nic przeciwko temu. Musiał zostać z dziewczyną.

Znowu pomyślał, że tamci są w tej chwili u niego. Wiedział, że przyjdą, że to tylko kwestia czasu, a teraz, gdy wreszcie przyszedli, w sumie się z tego ucieszył. Zdobyli jego nazwisko, znaleźli adres, a teraz próbowali znaleźć jego. To mu dużo mówiło: nazwisko sprzedał im ktoś, kto je znał, a znali je tylko Jon Stone, Bud Flynn i ci od dziewczyny. Nikt inny nie mógł tego zrobić, co znaczyło, że w jej otoczeniu jest „kret”. Dobrze, że nie wtajemniczył ich w swoje plany.

Miał nadzieję, że zaczekają na niego w domu, ale bardziej prawdopodobne było to, że pojedą do sklepu, a potem wrócą do mieszkania. Prędzej czy później dowiedzą się o jego związku z Cole'em, ale tak, najpierw zajrzą do sklepu. Sposób, w jaki to wszystko załatwią, powie mu dużo o rozmachu operacji i ich umiejętnościach. Poznać przeciwnika - to bardzo ważne.

Ale na razie dziewczyna spała. Noc minęła. Larkin była bezpieczna. Zrobił swoje, ale wciąż miał od groma roboty.

Nie obudził jej. Zadzwoił do Cole'a, a potem znowu stanął w saloniku. Czekał. Serce zwolniło. Oddech jeszcze bardziej się uspokoił. Wyciszył się umysł i ciało. Żeby odpaść strzał doskonały, mógł tak czekać, i kilka razy czekał -wiele dni.

9

### *Elvis Cole*

Kolejna rozmowa w długiej historii klasycznych rozmów z Pikiem. Było tak. Siedział na tarasie, ćwicząc jogę. Dryń, dryń - dzwoni telefon. Jest szósta rano. Kto to może być? Nikt, tylko on. Cole wstaje, zagląda do saloniku. Podnosi słuchawkę.

- Halo?

- Uważaj: przed chwilą włamali się do mojego mieszkania.

Klik, i pa pa.

Żadnego: „Jak się masz?“, „Co robisz?“. Żadnego: „Co o tym myślisz?“.

Klasyk.

Skończył ćwiczyć, wziął prysznic, wyjął z sejfu starą trzydziestkęósemkę od George'a Feidera i nalał sobie kawy. Wziął kawę i rewolwer, materiały na temat George'a Kinga i Alexandra Meesha i zaniósł to wszystko na taras. Prawie całą noc przesiedział w Internecie. Ponieważ nie bał się, że napadnie go banda zamaskowanych czarnych koszul, rewolweru użył jako przycisku, żeby papierów nie zwiął wiatr.

Ranek był przepiękny, choć wróżył koszmarnie upalny dzień.

Cole patrzył na mleczną mgiełkę w kanionie i spokojnie pił kawę, gdy wtem zauważył jastrzębia, który krążył po niebie, wypatrując myszy i węzów.

- Jak myślisz? - spytał. - Upoluje coś dzisiaj czy nie?

Na tarasie siedział czarny kot, który też patrzył zza bariery na kanion. Oczywiście nie odpowiedział, bo kiedy rozmawia się z kotami, te z reguły milczą.

- Po prostu zazdrościsz mu, bo nie umiesz latać - mruknął Cole.

Kocur zamrugał, jakby zachciało mu się spać i nagle polizał swój penis. Koty to zdumiewające zwierzęta.

Cole śledził wzrokiem jastrzębia. Nazajutrz po wyjściu ze szpitala przyczłapał tu o świcie (od tamtej pory weszło mu to w krew) i z trudem dwanaście razy pozdrowił wschodzące słońce (robił to teraz co rano). Tamtego ranka pozdrowienia były niezbyt udane albo niekompletne, ale dał z siebie wszystko, a potem usiadł na brzegu tarasu, żeby popatrzeć na jastrzębia. Ptak przylatywał codziennie, ale jak dotąd niczego nie złowił. Mimo to wracał każdego ranka,

krażąc i szukając czegoś, czego nie mógł nigdy znaleźć. Cole podziwiał jego upór.

Dolał sobie kawy, a potem jeszcze raz przejrzał to, co ściągnął z Internetu. George King był przedsiębiorcą budowlanym z hrabstwa Orange i zaczął swoją karierę od budowy taniego jednorodzinnego domu za pieniądze pożyczone od teściów. Był klasycznym przykładem człowieka, który wszystko zawdzięczał samemu sobie: sprzedał dom z zyskiem, postawił trzy kolejne, a za uzyskane w ten sposób pieniądze zbudował dwa małe sklepy. Od sklepów przeszedł do dwudziesto-, czterdziesto-, wreszcie do stu sześćdziesięciomieszkaniowych apartamentowców. Dzięki zyskom z apartamentowców stworzył koncern, który budował obecnie centra handlowe, osiedla mieszkaniowe i biurowce w całej Kalifornii, Arizonie i Nevadzie. W ani jednym artykule nie było wzmianki o jakichkolwiek nadużyciach, nielegalnych poczynaniach czy ciemnych interesach. Wynikało z nich, że George King jest uczciwym obywatelem i biznesmenem.

W przeciwieństwie do Alexandra Meesha.

W Internecie Cole niczego o nim nie znalazł. Ostatnia wzmianka w raporcie Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej FBI, który dostał od Pike'a, pochodziła sprzed sześciu lat i kończyła się informacją, że Meesh uciekł z kraju do Kolumbii. Nieobecny od sześciu lat był jak zeszlóroczny śnieg.

Lektura raportu przypominała lekturę programu telewizyjnego obejmującego dwadzieścia lat życia poszukiwanego przez FBI kryminalisty. W rozszerzonej wersji były zdjęcia i odciski palców - na specjalne życzenie zapewniano nawet wyniki badań DNA - natomiast w wersji skróconej znalazła się chronologicznie ułożona lista przestępstw, wyroków, odsiadek, rysopisów, współników i wystawionych na niego nakazów.



Meesh był naprawdę kapitalny. Postawiono mu dwa zarzuty morderstwa z premedytacją, siedem zarzutów zmywy w celu dokonania morderstwa i szesnastcie zarzutów wymuszenia - wszystkie w Kolorado. Był hersztem kilku band i w Colorado Springs zamordował kierowcę ciężarówki i jego żonę. Uważał, że kierowca oszukał go, opychając transport płaskoekranowych telewizorów rywalizującemu z nim gangowi. Próbując je odzyskać, połał żonę kierowcy wrzącym olejem. Właściwie nie połał, tylko regularnie polewał, bo torturował ją tak przez całą dobę. Potem zajął się kierowcą. Świadkowie twierdzili, że chciał w ten sposób zastraszyć rywali i dać im do zrozumienia, że drogi w tym stanie należą tylko do niego.

Cole jeszcze raz przeczytał raport, potem spojrzął na jastrzębia. Jastrzębie nie polewały wrzącym olejem innych jastrzębi. Zerknął na kota. Kot wciąż patrzył w dół, na kanion. Ciekawe, czy on i jastrząb wypatrywali tego samego.

- Witaj, staruszk.

Kocur podszedł bliżej i napał głową na jego rękę. Głaszcząc go, Cole mógł łatwiej zapomnieć o rzeczach takich jak gotowane w oleju ciało.

Wrócił do raportu. Nie znalazł w nim niczego, co wyjaśniłoby, jak domorosły kryminalista z Denver został współnikiem południowoamerykańskich baronów narkotykowych, ale zupełnie go to nie interesowało. Chciał namierzyć Meesha, a Meesh nie przebywał teraz w Ameryce Południowej. Przebywał w Los Angeles.

Wszystkie raporty kryminalne FBI zawierają listę tych, z którymi dany przestępca się stykał, łącznie ze znajomymi, członkami rodziny i współnikami z gangu. Cole liczył na to, że znajdzie na niej kogoś z Los Angeles, ale wszyscy współnicy Meesha mieszkali w Denver. Było możliwe, że w ciągu tych sześciu lat któryś się przeprowadził, ale Cole musiał to dopiero sprawdzić. Szanse były niewielkie, więc tymcza-

sem zajął się listą znajomków z Kolorado. Później chciał zbadać, czy ludzie ci mają jakieś powiązania z Los Angeles i w ten sposób dojść do samego Meesha.

Właśnie czytał, gdy z nieba spadło coś małego i szarego. Uśmiechnął się i podniósł głowę. Chciał zobaczyć, co złowił jastrząb, ale w tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. W pierwszej chwili Cole pomyślał, że to Meesh, że przyszedł połączyć go wrzącym tłuszczem z bekonu, cóż, zawsze miał bujną wyobraźnię. Wziął rewolwer, pokuśtykał do drzwi i przytknął oko do judasza.

Patrzyło na niego dwóch facetów o twarzach zniekształconych rybim okiem soczewki. Nie wyglądali na miłośników wrzącego tłuszczu. Ten najbliższy judasza był opalony jak golfista i miał kasztanowe włosy. W brązowej sportowej kurtce rzucał się w oczy, zwłaszcza latem o siódmej rano. Stojący za nim Murzyn, wyższy i lepiej zbudowany, był w niebieskiej kurtce z kory i w ciemnych okularach.

Cole wetknął rewolwer za pasek na plecach, zasłonił go podkoszulkiem i otworzył drzwi.

-Elvis Cole? - spytał ten z przodu.

-Pan Cole wyprowadził się do Austrii. Czy mam mu coś przekazać?

Tamten pokazał mu oprawioną w skórę legitymację.

- Agent specjalny Donald Pitman z Departamentu Spraw Wiedliwości. Chcieliśmy z panem porozmawiać.

Nie czekali, aż zaprosi ich do środka.

## 10

Wraz z powoli wschodzącym słońcem za ścianami domu budzili się sąsiedzi. Ćwierkały zięby i wróble. Na trawniku domu obok włączyły się zraszacze: tryskały wodą przez dwadzieścia minut i automatycznie się wyłączyły. Zawarczały

silniki. Samochody ruszały sprzed domów albo odbijały od chodnika i wyjeżdżały na ulicę. Nieśmiałe cienie w oknach pojaśniały i dom wypełniło rozmyte złotawe światło. W tak ciche i spokojne poranki Pike czuł, jak kręci się ziemia. Zastanawiał się, czy ktoś został na noc u niego w domu.

Larkin wciąż spała.

Pike nasypał do rondelka mielonej kawy, zalał ją wodą i postawił ronderek na gazie. Parzył tak kawę od lat. Zagotowywał ją, a potem przelewał przez papierowy ręcznik. Czasem nie zwracał sobie głowy ręcznikiem, bo kawa smakowała i tak. Im prościej, tym lepiej.

Woda zawrzała. Przez chwilę patrzył, jak się gotuje, potem zakręcił gaz i zaczekał, aż osiądą fusy. Ręcznik sobie darował. Nalał kawy do plastikowego kubka, kubek postawił na stole. Właśnie usiadł, gdy w kieszeni znowu zawibrowała komórka.

- Możesz rozmawiać? - spytał Cole.

Pike widział z kuchni drzwi do sypialni dziewczyny. Były zamknięte.

-Mogę.

-Dziś rano było u mnie dwóch agentów z Departamentu Sprawiedliwości, Donald Pitman i Kevin Blanchette. Przynieśli twój rewolwer. W torebce na dowody rzeczowe.

-Dobra - powiedział Pike.

-Nie wspomnieli ani o Kingu, ani o Meeshu, ani o dziewczynie. Nie spytali, czy wiem, co jest grane ani czy cię ostatnio widziałem. Po prostu dali mi rewolwer i kazali ci powiedzieć, że się nim zajęli.

-Nie możesz dzwonić do mnie z domu.

-Dzwonię od sąsiada.

-Dobra.

-Pitman powiedział, że jeśli się odezwiesz, masz do niego przekreślić. Dać ci numer?

-Już mam.

-I że ten rewolwer to wyraz dobrej woli. Ale jeśli **nie** zadzwonisz, dobra wola się skończy.

-Rozumiem.

- Zadzwonisz?

-Nie.

-Dwie sprawy. W raporcie nie ma niczego, co łączyłoby Meesha z Los Angeles albo dawało nam jakiś punkt zaczepienia, dlatego najlepszym wyjściem jest identyfikacja tych zabitych. Zidentyfikujemy ich i dotrzemy do Meesha. Tak od tyłu, na odwrotną stronę.

-Pogadam z Budem.

-Nie mam nic do roboty. Mogę do niego zadzwonić.

Pike wypił łyk kawy i spojrzał na drzwi do sypialni Larkin.

-Bud już nad tym siedzi. Sprawdziłeś dziewczynę?

Cole się zawahał i Pike usłyszał nutkę zaskoczenia w jego głosie.

-Nie powiedziała ci?

-Czego?

-To laska z czasopism.

-Modelka?

-Nie. Jest bogata. Słynie z bogactwa. Ma teraz krótkie włosy i zupełnie jej nie skojarzyłem, bo na żywo wygląda trochę inaczej, jak każdy. Ciągłe piszą o niej w brukowcach: babka szaleje w klubach nocnych, robi dzikie awantury, i tak dalej. Na pewno ją widziałeś.

-Nie czytam brukowców.

-Jej ojciec odziedziczył imperium. Mają łańcuch hoteli w Europie, dwa samoloty, pola naftowe w Kanadzie. Jest warta pięć, sześć miliardów.

-Aha.

- Jak jest spokojna, to jest spokojna, ale lepiej miej ją na oku. To typowe złote dziecko, rozwydrzone jak jasna cholera.

Pike zerknął na drzwi.

- Na razie nie szaleje.

- Tylko cię uprzedzam.

Pike wypił trochę kawy. Już ostygła, ale było mu wszystko jedno. Pomyślał o Pitmanie i Blanchecie, którzy przyszli do Cole'a z rewolwerem. Wyraz dobrej woli. Ciekawe dlaczego to zrobili? Mało go to obchodziło. Chciał znaleźć Meesha.

-Możesz zdobyć adres domowy Buda Flynna? - spytał.

-Czyż nie jestem najlepszym detektywem w świecie?

-Muszę coś załatwić. Później. Nie mogę zabrać ze sobą Larkin, a nie chcę, żeby została tu sama. Mógłbyś z nią posiedzieć?

-Mam ponianńczyć młodą, napaloną, obrzydliwie bogatą laseczkę? Chyba sobie poradzę.

Pike rozłączył się i wybrał numer Flynna. Flynn odpowiedział po trzecim sygnale chrapliwym, zaspanym głosem. Pike zastanawiał się, czy on też siedzi przy stole i pije kawę, ale doszedł do wniosku, że jeszcze nie wstał. Była dopiero siódma czterdzieści. Pewnie poszedł późno spać.

- Jesteś zaspany. Obudziłem się?

Otworzyły się drzwi i z sypialni wyszła Larkin. Miała napuchniętą od snu twarz i wciąż była tylko w staniku i stringach. Nie robiła wrażenia rozwydrzonej.

Przyłożył palec do ust. Ciii. Dziewczyna nieprzytomnie zamrugła i poszła do łazienki.

-Dobijasz mnie, Joe - powiedział Bud. - Chryste, co się z wami dzieje?

-Nic, jesteśmy cali i zdrowi. Dlaczego wszyscy tak się denerwują?

Pike w nastroju żartobliwym.

-Bo zapadłeś się pod ziemię, dlatego! Miałeś się nią zaopiekować, zgoda, ale nie możesz tak po prostu zniknąć. Federalni...

-Ilu ludzi wie, że z nią jestem?

-Bo? O co ci chodzi?

- Ty, twoi chłopcy w tych ładnych jedwabnych garniturkach, federalni i jej rodzina? Dziś rano znowu ktoś próbował ją zabić, więc twój przeciek wciąż przecieka. Zaufanie to deficytowy towar.

Klapiąc bosymi stopami, Larkin weszła do saloniku. Pike podniósł kubek i wskazał nim w stronę kuchni: jest kawa. To, że była niemal naga, zupełnie jej nie krępowało, chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Minęła go i poszła do kuchni.

Bud wciąż mówił niepewnie i z wahaniem.

- Ja to wszystko rozumiem, ale mamy na głowie pięć trupów. Pomaga nam policja, tylko że...

Pike znowu mu przerwał.

-Zrobimy tak. Spotkamy się, ty, ona i ja. Nic nie mów jej ojcu. Ani federalnym. Ani tym w jedwabnych garniturkach. Przyjedź sam i coś wymyślimy. Możesz?

-Gdzie?

Larkin wróciła z rondelkiem. Jej skonsternowana mina mówiła: Co to, do diabła, jest? Pike podniósł palec, każąc jej zaczekać i spojrzął na zegarek. Za trzysta ósma.

-Gdzie teraz jesteś?

-W domu. W Cheviot Hills.

-O dwunastej przy metrze w Universal City. Wyrobisz się?

-Tak.

-Czym przyjedziesz?

-Brazowym explorerem.

- Stań na północnym parkingu. Jak najdalej od metra. Zaczekaj w samochodzie, zadzwonię.

Pike zamknął komórkę. Larkin wzięła to za znak, że może się odezwać i pokazała mu rondelkę.

-Co to jest?

-Kawa.

-To jakiś szlam. Coś tam pływa.

Pike odstawił kubek, podszedł do sofy i włożył koszulę.

- Spakuj się. Jedziemy pogadać z Budem.
- Larkin opuściła ronderek, patrzyła na niego, jakby była kompletnie ubrana i jakby nagle się czegoś przestraszyła.
- Myślałam, że jesteśmy tu bezpieczni.
- I jesteśmy, ale jeśli coś się stanie, rzeczy mogą nam się przydać.
- Co się może stać?
- Wychodząc z domu, zawsze zabieramy torby. Tak jest i tak będzie.
- Nie chcę siedzieć przez cały dzień skulona w samochodzie. Nie możemy zostać tutaj?
- Ubierz się. Musimy się spieszyć.
- Mówiłeś, że o dwunastej. W Universal będziemy za dwadzieścia minut.
- Chodźmy. Pośpiesz się.
- Gniewnie tupiąc nogami, poszła do kuchni i wrzuciła ronderek do zlewu.
- Twoja kawa jest do dupy!
- Wpadniemy do Starbucksa.
- Nie robiła wrażenie dzikiej i rozwydrzonej, nawet kiedy czymś rzucała.

## 11

Nie zawiózł jej do Universal City ani nie zaczekał do dwunastej. Tuż przed wyjściem dostał od Cole'a domowy adres Buda.

Cheviot Hills to luksusowa dzielnica położona na falujących wzgórzach na południe od hrabstwa Hillcrest w śródmieściu Los Angeles. Są tam piękne domy z nienagannie utrzymanymi trawnikami i podwórzami, chociaż te większe stoją bliżej parku. Te dalej na południe i bliżej autostrady 1-10 są mniejsze, lecz policjantów nie stać na nie i tak. W czasach,

kiedy służył z Budem, Flynnowie mieszkali w bliźniaku w Atwater Village.

Teraz Bud miał mały, dwupoziomowy domek niedaleko autostrady. Na podjeździe parkował brązowy ford explorer i wyglądało na to, że od rana nikt nim nie jeździł. Domek stał na szczycie wzgórza z łagodnie opadającym podjazdem i trawnikiem prażącym się w ostrym letnim słońcu. Wiele sąsiednich domów nie zmieniło się *od lat trzydziestych*, kiedy je zbudowano, dlatego było tam jak w małym, sennym miasteczku. Na samochód i ziemię prószył szkarłatny śnieg z kępy drzew różanych na skraju posesji.

Gdy minęli dom, zdenerwowana i podekscytowana Larkin obejrzała się za siebie i spytała:

-I co teraz?

-Ty zostaniesz w samochodzie. Ja porozmawiam z Budem.

-A jeśli go nie ma? Jeśli gdzieś wyszedł?

-Widziałas te różowe płatki na podjeździe? Leżą tam od rana.

-A jeśli wcale go tu nie było? Jeśli skłamał?

-Przestań wreszcie paplać, możesz?

Zaparkował w poprzek podjazdu, żeby widzieć ją w samochodzie, wysiadł i podszedł do drzwi frontowych. Stał z boku, żeby nikt nie zobaczył go z okien. Zadzwoił na prywatną komórkę Buda.

- Zastrzeżony numer - mruknął Bud. - To na pewno ty.

-Wyjrzyj na podjazd.

-Joe?

-Wyjrzyj.

Pike usłyszał jakiś stukot w słuchawce, potem ciężkie kroki w domu. Otworzyły się drzwi. Wyszedł Bud. Spojrzał na dziewczynę, ale jego jeszcze nie widział. Był już ubrany i Pike pomyślał, że w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin bardzo się postarzał. Robił wrażenie zmęczonego.



-Bud.

Bud nie okazał zaskoczenia. Łypnął na niego spode łba tak jak wtedy, kiedy Pike był jeszcze rekrutem, młodym kotem, jakby się zastanawiał, co takiego zrobił, że los przeklął go kimś, kto niszczy mu życie.

- Myślałeś, że co? Że każę otoczyć całą dzielnicę? Że na się na ciebie samoloty obserwacyjne?

Pike zakręcił w powietrzu ręką, żeby dziewczyna otworzyła okno.

-Przywitaj się z Budem! - zawołał.

Larkin pomachała mu ręką.

-Cześć, Bud!

-Chcesz z nim tu zostać? - spytał Pike. Dziewczyna pokazała mu opuszczony kciuk i pokręciła głową. Pike spojrzał na Buda, ale Bud wciąż patrzył na niego spode łba.

-Co ty wyprawiasz, Joe?

-Ładny dom. Powiodło ci się.

-Kurwa mać, co ty wyczyniasz? Wiesz, w jakie gówno mnie wpakowałeś?

-Przyjechałem pokazać ci, że jest cała i zdrowa. Możesz powiedzieć jej ojcu i Pitmanowi, że nic jej nie jest. Że nie chce wracać do domu, bo woli żyć.

Bud się wkurzył.

- Chwila, moment, do cholery! Nie chodzi tylko o nią. W dwa dni zabiłeś pięciu ludzi. Myślisz, że Pitman zadzwoni na komendę, powie: Spoko, chłopcy, nasz cywil zastrześlił tych facetów, żeby chronić świadka, i że ci z wydziału za bójstw to kupią? Musisz pomóc nam to wyjaśnić.

Kupią czy nie, Pike miał to gdzieś. Bardziej interesowało go, dlaczego Bud nie wspomniał, że Pitman zwrócił rewolwer. Może o tym nie wiedział, ale jeśli nie wiedział, dlaczego Pitman to przed nim zataił?

- Czego ten Pitman chce?

-Przesłuchać ciebie, federalnych, dwóch z komendy głównej i tych z programu świadków. Przesłucha was, ciebie i Larkin, i miejscowi gliniarze dadzą wam spokój.

-Odpada.

-Zagroził, że jeśli się nie zgłosisz, każe cię aresztować za uprowadzenie.

Pike'owi drgnęły kąciki ust i Bud się zaczerwienił.

-Wiem, że pieprzy, ale zniknąłeś i nikt nie wie, co jest grane. Federalni twierdzą, że zdołają ją ochronić. Uważają, że wszystko przeze mnie i wmawiają to jej ojcu. Barkley chce mnie wyrzucić.

-W takim razie powiedz mi, Bud: Larkin będzie bezpieczniejsza z tobą czy ze mną?

-Przekazałem tym z Departamentu Sprawiedliwości moje akta osobowe. Przekazałem im akta osobowe moich ludzi, ich billingi, rozliczenia wydatków, rachunki za hotel, wszystko. Barkley pozwolił Pitmanowi prześwietlić swego adwokata, cały personel, udostępnił mu ich e-maile i numery telefonów. Zatkamy ten przeciek.

-A czy ktoś prześwietlił Pitmana?

Bud zamrugał, jakby nagle powiał suchy wiatr, w końcu pokręcił głową.

-Nie upilnuję jej, nie dam rady. Nie mogę cię nawet kryć. Wiem, nie tak się umawialiśmy, ale teraz sam już nie wiem.

-Ten przeciek jest bez znaczenia.

Bud wreszcie na niego spojrział. Oczy miał twarde jak kamyki osadzone pod osłabionymi przez wiek powiekami.

-Joe. Co ty robisz?

-Szukam Meesha.

-Nie, nie tylko szukasz. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Prosisz o pomoc, ale ja nie chcę nic wiedzieć, nic.

-Mam tylko dwa tropy: tych w kostnicy i Kingów. Jeśli Kingowie robili z Meeshem interesy, pewnie wiedzą, gdzie go szukać. Może uda mi się znaleźć go przez nich.



-Przepadli jak kamień w wodę.

-Federalni muszą coś wiedzieć. W tym mi pomożesz?

-Pitman kazał obserwować ich dom i biuro przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Założyli im podsłuch. Ktoś od niego obserwuje nawet ich jacht. Jeśli Kingowie choćby pierdną, FBI go dorwie. Spróbujesz się do nich zbliżyć, i dorwie ciebie.

-W takim razie pozostają tylko ci, których zabiłem. Co o nich wiesz?

Budowi pociemniała twarz, ale zerknął na dziewczynę i zwiłzył wargi.

- Muszę wziąć kluczyki. Są w korytarzu. Mogę?

Pike kiwnął głową.

Bud zajrzał za drzwi i ze stojącej w korytarzy niebieskiej miseczki wziął kluczyki. Poszli do samochodu. Bud otworzył bagażnik i Pike zobaczył skórzaną walizeczkę, którą widział na pustyni. Bud wyjął z niej trzy zdjęcia z kamer bezpieczeństwa zrobione podczas napadu na dom Barkleyów. Pike już je widział, też na pustyni.

Bud podał mu je i postukał palcem w to na wierzchu.

-Ten był u nich w domu. Zastrześliś go w Malibu. Tylko on z piątki zabitych był u Barkleyów.

-Jak się nazywa?

-Nie wiem. Ale ten...

Bud przełożył zdjęcia i pokazał Pike'owi inne, fotografię mężczyzny o wydatnych kościach policzkowych, ze szramą na ustach.

-To jest psychol, który skatował gosposię. Znasz kogoś z Malibu albo Eagle Rock?

-Kto to jest?

-Nie wiem. Nie udało nam się zidentyfikować żadnego z tych, których wysłałeś do kostnicy. Live Scan szukał, szukał, i dupa. Przy trupach nie znaleziono dokumentów, nie ma ich w bazie danych. Zdjęcia możesz sobie wziąć.

Pike patrzył na nie i myślał: nie zidentyfikowano? Ani jednego? Bez sensu. Człowiek wynajęty do mokrej roboty niemal zawsze jest notowany. Komputerowy system Live Scan przetwarzał odciski palców, nadawał im cyfrową formę i momentalnie porównywał z odciskami w bazie danych Kalifornijskiego Departamentu Sprawiedliwości i Centrum Informacji Kryminalnej FBI, a bazy te były naprawdę olbrzymie. Jeśli kogoś kiedyś aresztowano, jeśli służył w wojsku, jego odciski palców musiały tam być.

-Coś tu nie gra - powiedział.

-Nie gra, ale ci z kostnicy są czyści.

-Żadnych dokumentów czy portfeli?

-Ani skrawka rzeczy osobistej, dosłownie nic. Aresztowałeś wielu ludzi, Joe. Pamiętasz chociaż jednego bandziora bystrego na tyle, żeby przed skokiem tak dokładnie przewietrzyć sobie kieszenie?

Pike pokręcił głową.

- Ja też nie. No, to teraz masz.

Bud zamknął bagażnik i spojrzał na dziewczynę.

- Chyba powinienem cię przeprosić, że wpakowałem cię w to gówno, ale nie przeproszę. W każdej chwili możesz przekażać ją Pitmanowi. Chcesz się w tym babrać, to się babraj.

Bud wciąż patrzył na Larkin i Pike zastanawiał się, o czym teraz myśli. Potem się odwrócił i kiedy światło padło na niego pod innym kątem, Pike doszedł do wniosku, że Bud jest twardy jak kiedyś.

- Wierzę, że jej nie zawiedziesz - rzucił Bud i odszedł.

Pike odprowadził go wzrokiem, wrócił do samochodu i natychmiast odjechał.

-Miły facet - powiedziała Larkin.

-Był dobrym policjantem.

- To samo powiedział ojcu o tobie, że byłeś dobrym policjantem. Najlepszym „kotem”, z którym kiedykolwiek pracował, tak powiedział.

Pike milczał. Myślał o pięciu czystych, bezimiennych, nigdy nienotowanych zabójcach. Mógłby znaleźć przez nich Meesha i chyba wiedział już, jak to zrobić.

***PIERWSZY MIESIĄC PRÓBNY***  
***SALA ODPRAW***  
***DYŻUR POPOŁUDNIOWY: 14.48***

Mundur był sztywny i czyściutki, kanty spodni zaprasowane i proste jak linijka. Stalowo-miedziana odznaka błyszcziała niczym lustro, czarna skórzana kabura i wypucowane buty lśniły jak w piechocie morskiej, a ciemne okulary zwisały z kieszeni dokładnie tak, jak powinny. Jego strój, ekwipunek i wygląd był w każdym punkcie zgodny z regulaminem, tak jak lubił.

On, Charlie Grissom i Paul „Torba” Hernandez siedzieli w pierwszym rzędzie sali odpraw. Ponieważ był to ich pierwszy dzień pracy po ukończeniu Akademii Policyjnej w Los Angeles, po raz pierwszy przypięli do piersi odznakę i włożyli do kabury nabitą broń. Tego dnia rozpoczynali okres próbny i takich jak oni nazywano tu rekrutami, trepami albo kotami.

Pike i pozostali siedzieli sztywno wyprostowani ze wzrokiem wbitym w szefa popołudniowej zmiany, sierżanta Kelly'ego Levendorfa. Garbienie się, rozwalanie na krześle czy opieranie o stół było zabronione. Jako nowicjusze musieli siedzieć w pierwszym rzędzie i patrzeć tylko przed siebie. Nie mogli się oglądać, nie mogli nawet zerknąć na siedzących z tyłu policjantów. Nie mogli uczestniczyć w rozmowach czy kłótniach podczas odprawy ani reagować na zaczepki i docinki starszych kolegów, nawet te najbardziej zjadliwe. Jeszcze na to nie zasłużyli. Chociaż ukończyli akademię, przez cały rok mieli pracować na „uliczny atest” pod okiem

doświadczonych policjantów zwanych prowadzącymi. Prowadzący byli ich nauczycielami, opiekunami i bogami.

Podczas tej pierwszej odprawy czekały ich dwie rzeczy. Mieli poznać swoich prowadzących, z czego Pike bardzo się cieszył, i przedstawić się kolegom, co napawało go przerażeniem. Nie lubił mówić, zwłaszcza o sobie.

Levendorf rozdzielił samochody, po czym przejechał się dosłownie po wszystkim, poczynając od stopnia napięcia działalności przestępczej i przebywających w ich rejonie podejrzanych, kończąc na ogłoszeniach urodzinowych i terminach najbliższych imprez organizowanych przez tych, którzy przechodzili na emeryturę. Większość ogłoszeń odczytał z grubego notesu na trzy kółka. Potem zamknął notes i powiódł wzrokiem po sali.

- Dobra, jest tu kilku nowych, więc niech się przedstawią. Posterunkowy Grissom, ma pan sześćdziesiąt jeden sekund.

Zaczyna się, pomyślał Pike.

W akademii każdemu rekrutowi dawano dokładnie sześćdziesiąt jeden sekund na kilka słów o sobie. Nowy miał mówić krótko i treściwie, tak jak podczas rozmowy z przełożonym, dyspozytorem czy zwykłym obywatelem.

Grissom dziarsko zerwał się z krzesła i pełen entuzjazmu stanął twarzą do starszych kolegów. Niski, przysadzisty, o delikatnych blond włosach robił wrażenie takiego, co to chce się wszystkim przypodobać.

- Nazywam się Charlie Grissom - zaczął. - Ukończyłem historię na Uniwersytecie Stanowym w San Diego. Mój ojciec był tam policjantem, dlatego się tam urodziłem. Lubię surfować, łowić ryby i nurkować. Szukam kumpli do nurkowania, dlatego proszę o kontakt zainteresowanych. Jestem kawalerem, ale od roku mam dziewczynę. Policjantem chciałem być od zawsze. Ojciec chciał, żebym został w San Diego, ale ja wolałem służyć z najlepszymi. Dlatego przyjechałem tutaj.

Policjanci ryknęli z aprobatą, ale zaraz potem przez cichnący gwar przebił się chrapliwy głos kogoś siedzącego tuż za Pikiem.

- Włazi w dupę aż miło.

Grissom zaczerwienił się i usiadł.

- Posterunkowy Hernandez - powiedział Levendorf. - Sześćdziesiąt jeden sekund. Proszę.

Hernandez zerknął na Pike'a, a ten niezauważalnie kiwnął głową, dodając mu odwagi. Mieszkali razem w akademiku. Hernandez stanął twarzą do zebranych.

- Nazywam się Paul Hernandez. Mój dziadek, ojciec i dwóch wujków służyło w policji w Los Angeles. Należę do trzeciej generacji...

Tłum policjantów zaczął wiwatować i klaskać, wreszcie Levendorf uciszył ich i kazał Hernandezowi mówić dalej.

- Przez dwa lata grałem w baseball w reprezentacji Kalifornijskiego Uniwersytetu Stanowego, ale nabawiłem się kontuzji. Lubię baseball i kibicuję Dodgersom. Jestem żo naty. W czerwcu urodzi się nasze pierwsze dziecko. Zostałem policjantem, bo mam policyjną rodzinę i zawsze szanowałem ten zawód. Tak mnie wychowano. Mam to we krwi.

Starsi nagrodzili go burzą oklasków i Hernandez usiadł.

Levedorf znowu ich uciszył i spojrzał na Pike'a.

- Posterunkowy Pike. Sześćdziesiąt sekund. Proszę.

Wszyscy mówili prawie to samo, o swoim wykształceniu i rodzinie, tymczasem Pike nie ukończył żadnego college'u i nie chciał mówić o bliskich. Uważał, że to bez sensu, to nie ich sprawa. Dla niego liczyło się tylko to, jak ktoś radził sobie w chwili próby, czy umiał podjąć właściwą decyzję. Wstał i odwrócił się do siedzących. Zobaczył ich pierwszy raz. Miał przed sobą ludzi o różnym przekroju wiekowym i rasowym. Wielu uśmiechało na luzie; inni byli surowi i poważni, jeszcze inni znudzeni. Pike wyłowił wzrokiem po-



licjantów z dwoma paskami na rękawie. Cywile brali ich za kaprali, tymczasem byli to ich prowadzący. Jeden z nich miał zostać jego opiekunem.

- Nazywam się Joe Pike. Jestem kawalerem. Zaliczyłem dwie tury bojowe w piechocie morskiej...

Zagłuszyły go oklaski i okrzyki: „Semper fi”; wielu policjantów z Los Angeles służyło przedtem w piechocie.

Levendorf uciszył ich gestem ręki, spojrział na Pike'a i kiwnął głową.

- Zostałem policjantem, ponieważ kredo każe nam służyć i bronić. Chcę to robić.

Ten i ów zaklaskał, Pike usiadł.

- Prawdziwy Clint Eastwood - rzucił ktoś z tyłu. - Nie lubi gadać.

Levendorf zmarszczył brwi.

- Posterunkowy Pike, tę część odprawy nazywamy „Sześćdziesiąt jeden sekund”, więc zostało panu jeszcze czterdzieści. Może pan coś doda, bardziej nas oświeci? Może coś o rodzinie czy hobby?

Pike wstał i znowu spojrział na salę.

- Jestem zwiadowcą i snajperem pierwszego stopnia. Służyłem w rozpoznaniu, głównie w zwiadzie dalekiego zasięgu, w bojowych specgrupach operacyjno-likwidacyjnych i grupach likwidacyjnych celów priorytetowych. Mam czarny pas taekwondo, kung fu, wing chun, judo i ubawami. Lubię biegać i ćwiczyć na siłowni. Lubię czytać.

Umilkł. Tamci gapili się na niego i nie wiedział, czy ma usiąść, czy stać dalej, więc i on na nich patrzył. Nikt nawet nie zaklaskał.

W końcu jeden z prowadzących, starszy Murzyn o szpakowatych włosach, odchrząknął i powiedział:

- Dzięki Bogu, że lubi czytać. Myślałem, że to jakiś mięczak.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Levendorf zakończył odprawę i wszyscy ruszyli do drzwi.

Wszyscy oprócz Pike'a i nowych. Oni zostali, żeby poznać swoich prowadzących.

Przez tłum przebiło się ich trzech. Krepy, szpakowaty Murzyn, który zażartował z Pike'a, podszedł do Grissoma. Drugi był Azjata o twarzy jak oszlifowany diament. Wyciągnął rękę do Hernandeza. Pike spojrzał na tego trzeciego. Niższy od niego, o krótko ostrzyżonych kasztanowych włosach i cienkich, surowych ustach chyba dobijał czterdziestki, ale mógł być starszy. Na rękawie miał trzy belki, co oznaczało, że służy w policji co najmniej od piętnastu lat.

Podszedł do niego i wyciągnął rękę.

-Miło mi - rzucił. - Bud Flynn.

-Joe Pike.

-Będę waszym prowadzącym podczas dwóch pierwszych okresów próbnych. Potem, jeśli nie zrezygnujecie albo nie wylecicie, dostaniecie innego, ale przez dwa miesiące należycie do mnie.

-Tak jest.

-Macie zwracać się do mnie panie sierzancie, chyba że rozkażę inaczej, a ja będę się do was zwracał posterunkowy, posterunkowy Pike albo Pike. Jasne?

-Tak jest.

-Macie torbę?

-Tak jest. Tutaj.

-Weźcie ją i chodźcie.

Pike zarzucił torbę na ramię i wyszli na parking. Było gorąco i mgliście od wiszącego nad miastem smogu. Flynn podszedł do poobijanego chevroleta caprice, który musiał mieć na liczniku grubo ponad trzysta tysięcy kilometrów. Wskazał go ręką i powiedział:

-To jest nasz posterunek. Nazywa się dwa-a-cztery--cztery i kiedy nauczę was obsługiwać radiostację, wy też będziecie się tak nazywali. I co o nim myślicie, Pike?

-Jest w porządku.

-Jest do dupy. Taki rżęch wszędzie indziej poszedłby do kasacji. Ale to jest Los Angeles. Nasza rada miejska skne-rzy jak wszyscy diabli i nie chce dać nam pieniędzy ani na ludzi, ani na odpowiedni sprzęt. To zła wiadomość, ale są i dobre. Wiecie jakie?

-Nie wiem, panie sierżancie.

-Takie, że jesteśmy policjantami z Los Angeles. Co znaczy, że rżęch, nie rżęch, będziemy nim jeździć i służyć tak, jak służą policjanci we wszystkich większych amerykańskich miastach.

Pike zaczynał go lubić. Podobał mu się jego sposób bycia, jego zawodowa duma i to, że jest dumny z pracy w oddziale interwencyjnym.

Flynn rzucił swoją torbę na tylne siedzenie, spojrzał na Pike'a i wziął się pod boki.

- Najpierw obejrzymy wóz i załadujemy graty, ale za nim zaczniemy, chcę sprawdzić, czy nadajemy na tych samych falach.

Czekał na jakąś reakcję, więc Pike kiwnął głową.

-Szanuję wasze doświadczenie wojskowe, ale mam je gdzieś. Połowa naszych ludzi służyła w piechocie morskiej, a druga połowa rzyga, słysząc, co mówi pierwsza. To jest amerykańskie miasto, a nie strefa wojenna.

-Tak jest, rozumiem.

-Nie wkurza was, że to mówię?

-Nie, panie sierżancie.

Flynn zmrużył oczy, jakby mu nie wierzył.

- Jeśli was wkurza, umiecie to ukryć. To dobrze. Do brze, bo tam, na ulicy, nie możecie pokazać nikomu, co naprawdę czujecie. Cokolwiek myślicie o tych wszystkich szumowinach, mętach, degeneratach, zboczeńcach i zwykłych ludziach, z którymi mamy do czynienia, o przestępstwach czy ich ofiarach, zatrzymacie to dla siebie. Od tej chwili jesteście policjantem, a policjant Pike ma służyć

pomocą wszystkim obywatelom miasta bez względu na to, kim są. Jasne?

- Tak jest.

Flynn otworzył bagażnik. Bagażnik był brudny, pusty i miał podartą wykładzinę. Flynn wskazał go i rzekł:

-To jest bagażnik. Ja siedzę za kierownicą, więc moja torba stoi po lewej stronie. Wy jesteście pasażerem, więc wasza stoi po prawej. Tak to u nas robimy.

-Tak jest.

- Włóżcie torbę, ale nie przestawajcie słuchać.

Pike zdjął z ramienia torbę, a Flynn mówił dalej:

-W akademii nauczyliście się przepisów i procedur, ale ja udzielię wam lekcji najważniejszej, a właściwie dwóch. Lekcja pierwsza: zobaczycie ludzi w najgorszym wydaniu, do cna przesiąkniętych najbardziej perfidnym złem, a ja nauczę was czytać w nich jak w otwartej księdze. Nauczycie się odróżniać kłamstwo od prawdy nawet wtedy, kiedy wszyscy będą łgali jak z nut, nauczycie się nie mylić się nawet wtedy, kiedy wszyscy będą w błędzie. Dzięki temu potraficie wymierzać sprawiedliwość bezstronnie i bez uprzedzeń, na co zasługują wszyscy obywatele naszego miasta. Jasne?

-Tak jest.

-Jakieś pytania?

-Tak jest. Chciałem spytać o tę drugą lekcję.

-Jaką lekcję?

-Pierwsza była o czytaniu w ludziach jak w otwartej księdze. A druga?

Flynn uniósł brwi, jakby za chwilę miał przekazać mu najcenniejszą mądrość.

- Nauczycie się odpędzać od siebie nienawiść. Tam, na ulicy, spotkacie wrednych, żalonych sukinsynów, ale lu dzie jako ludzie nie są tacy źli. Nauczę was o tym pamiętać, bo jeśli ich znienawidzicie, znienawidzicie i siebie samego. A do tego nie możemy dopuścić, prawda?

- Tak jest.

Flynn sprawdził, czy Pike dobrze postawił torbę, mruknął, że dobrze i zamknął bagażnik. Spojrzał na niego, jakby się nad czymś zastanawiał i Pike pomyślał, że znowu próbuje go rozgryźć.

-Mam pytanie. Na odprawie zacytowaliście nasze credo, służyć i bronić. To jak to z wami jest: chcecie służyć czy bronić?

-Niektórzy nie potrafią obronić się sami. Trzeba im pomóc.

-I będzie im pomagał posterunkowy Pike, snajper i karateka, tak?

Pike kiwnął głową.

-Lubicie się bić?

-Ani lubię, ani nie lubię. Ale jeśli będzie trzeba, na pewno sobie poradzę.

Flynn zagryzł wargę i Pike pomyślał, że to nie koniec przesłuchania.

-Policjant nie wdaje się w bójki, nie taka jest jego rola. Nie zawsze ma wybór, ale jeśli zacznie się wdawać w bójkę za bójką, ktoś skopie mu w końcu tyłek. Skopano wam kiedyś tyłek?

-Tak jest.

Pike nie zamierzał wspominać o ojcu.

Wciąż zagryzając wargę, Flynn świdrował go wzrokiem.

- Jeśli wdamy się w bójkę, to znaczy, że zawiedliśmy. Pociągniemy za spust, zawiedliśmy jeszcze bardziej. Zgadza się z tym?

-Nie.

-A ja tak. Dlaczego się nie zgadzacie?

-Bo jeśli pociągniemy za spust, to znaczy, że nie mieliśmy wyboru.

Flynn mruknął coś pod nosem, ale tym razem Pike nie wiedział, czy pochwalił jego odpowiedź, czy nie.

- Więc dlaczego chcecie bronić ludzi? Skopano wam tylek tyle razy, że próbujecie to sobie zrekompensować?

Pike wiedział, że Flynn go sprawdza, że sonduje go i bada jego reakcje. Dlatego spojrzął na niego pustymi, niebieskimi oczami i odparł:

-Nie. Po prostu nie lubię tych, którzy znęcają się nad słabszymi.

-I chcecie dać im za to popalić, tak?

-Tak jest.

-Zgoda, ale zawsze w granicach prawa.

Flynn zamilkł, patrzył na Pike'a przez chwilę i kurze łapki w kącikach jego łagodnych oczu podjechały do góry.

- Jako prowadzący przeczytałem twoje akta, synu. I myślę, że będzie z ciebie dobry policjant.

Pike kiwnął głową.

-Niewiele mówisz, co?

-Chyba tak.

-To dobrze. Będę mówił za nas obu. A teraz wsiadaj. Jedźmy służyć i bronić.

Przez pierwszą godzinę niewielu ich obronili. Każdy radiowóz patrolował ściśle określony sektor, ale Flynn postanowił zacząć od wycieczki po całym rejonie. Przy okazji nauczył Pike'a obsługiwać radiostację, kilka razy pozwolił mu pogadać z dyspozytorką, pokazał miejsca, gdzie lubił wystawać podejrzan typy i lumpy wszelkiej maści.

W drugiej godzinie objazdu pozwolił mu wypisać dwa mandaty.

Po drugim mandacie - Pike wystawił go urażonej i poirytowanej staruszce, która przeszła przez ulicę na czerwonym świetle - posłał mu szeroki uśmiech i spytał:

-I jak ci się podoba?

-Jak na razie mało się dzieje.

-Dobrze sobie z nią poradziłeś. Nie przyłożyłeś jej.

-Może następnym razem.

Flynn roześmiał się i zameldował dyspozytorce, że mogą już odbierać wezwania. W ciągu kolejnych dwóch godzin Pike spisał zeznania rozsłochanej nastolatki, której skradziono samochód (należał do jej brata i powtarzała, że brat ją za to zabije), interweniował w sklepie zoologicznym na wezwanie właściciela, którego odwiedził klient w stanie upojenia alkoholowego (wszedł do sklepu, wypuścił z klatek wszystkie psy i koty, po czym spokojnie wyszedł), potem w sklepie spożywczym (typowa kradzież sklepową; złodziej zdążył uciec), spisał zeznanie właściciela mieszkania, który po powrocie z pracy stwierdził, że się do niego włamano (włamywacza oczywiście już tam nie było), zeznanie właściciela skradzionego roweru (żadnych podejrzanych), skradzionego motocykla (również żadnych podejrzanych) oraz zeznanie kobiety, która twierdziła, że jej wiekowy sąsiad zmarł w mieszkaniu na górze (okazało się, że wyjechał z jej córką do letniego domku nad Big Bear Lake).

Nie zatrzymał ani jednego podejrzanego czy sprawcy, bo ci albo uciekli z miejsca przestępstwa, albo nigdy ich tam nie było, mimo to pod czujnym okiem Flynnna skrzętnie spisywał zeznania, wypełniał odpowiednie formularze i rozmawiał z poszkodowanymi.

Właśnie jechali na wschód Bulwarem Beverly, gdy znowu odezwała się dyspozytorka:

- Dwa-a-cztery-cztery, awantura domowa przy Harell dwa-siedem-dwa-jeden. Kobieta wzywa pomocy. Dacie radę?

Pike chciał jechać, ale milczał. Decyzja należała do Flynnna. Flynn zerknął na niego kątem oka i natychmiast go wyczuł. Wziął mikrofon.

-Dwa-a-cztery-cztery, udaję się na miejsce zdarzenia.

-Przyjęłam, czekajcie.

Wezwania do awantur domowych były najgorsze. Powtarzano im to bez końca w akademii; w ciągu tych kilku

godzin Flynn też zdążył o tym wspomnieć. Jadąc na takie wezwanie, trafiało się prosto w kaprawe oko huraganu emocji. Policjantów traktowano wtedy jak zbawców i mścicieli, i prawie zawsze jak ostatnią deskę ratunku.

- Najwięcej awantur jest właśnie teraz, po południu i wieczorem - powiedział Flynn. - Do końca służby będzie my mieli jeszcze trzy albo cztery wezwania. W piątki zdarza się dużo więcej, bo ludzie buzują się przez cały tydzień i wreszcie nie wytrzymują.

Pike milczał. Znał takie awantury z pierwszej ręki. Jego ojciec nigdy nie czekał do piątku. Nadawał się do tego każdy wieczór.

-Kiedy tam przyjedziemy - ciągnął Flynn - gadanie zostaw mnie. Patrz, jak to robię i ucz się. Miej oczy szeroko otwarte. Na takich wezwaniach nigdy nic nie wiadomo. Obserwujesz faceta, a baba strzela ci w plecy. Kobieta jest zwykle biedna i przerażona, ale kiedy uspokoisz jej starego, może zmienić się w potwora. Raz tak miałem. Skuliśmy gościa i żona poczuła się bezpieczna. Odrąbała mu stopę toporkiem do mięsa.

-Rozumiem - powiedział Pike.

Nie przejął się wezwaniem. Doszedł do wniosku, że tego rodzaju interwencja musi być bardzo podobna do oczyszczania domu w strefie wojennej: na wszystko uważasz, wszystko obserwujesz, stoisz plecami do ściany i zakładasz, że wszyscy chcą cię zabić. Wtedy nic ci nie będzie.

Podjechali pod mały blok na południe od Tempie, prawie w samym środku ich sektora. Nad blokiem górowały nieruchome palmy. Ich liście mieniły się w gasnącym świetle dnia, barwiąc ściany tysiącem kolorów. Dyspozytorka wprowadziła ich w sytuację: na policję zadzwoniła niejaka Esther Villalobos ze skargą, że jej sąsiedzi kłócili się przez pół dnia i że kłótnia przerodziła się w coś, co pani Wlalobos opisała jako głośny trzask, po którym sąsiadka, młoda, biała



kobieta Candace Stanik, kilka razy krzyknęła: „Ratunku!” i zaczęła wzywać pomocy. Esther Villalobos dodała, że z sąsiadką pomieszkuje bezrobotny biały o imieniu Dave. Policja nigdy dotąd tam nie interweniowała.

Później Pike i Flynn mieli się dowiedzieć o wiele więcej, ale jadąc na miejsce zdarzenia, wiedzieli tylko tyle.

Zaparkowali „na drugiego” i wysiedli. Wysiadając, Pike odruchowo zlustrował wzrokiem okolice: samochody, pogłębiające się cienie między domami, dachy - haust przeszczeni i koloru, który widział i wyczuwał. Czysto. To dobrze.

-Gotowy? - spytał Flynn.

-Tak jest.

-To zobaczmy, co się tam dzieje.

Poszli prosto do mieszkania Candace Stanik.

Esther Villalobos mieszkała na paterze. Candace Stanik po sąsiedzku, drzwi w drzwi. Zamierzali zajrzeć do Ester Villalobos tylko wtedy, gdyby nie mogli dostać się do mieszkania pani Stanik albo gdyby jej nie zastali.

Flynn stanął pod drzwiami, dając Pike'owi znak, żeby był cicho. W oknach paliło się światło. Pike nie słyszał żadnych głosów, ale wyraźnie słyszał czyjś szloch. Flynn spojrzał na niego i pytająco uniósł brwi. Pike kiwnął głową. W dziwnym wieczornym świetle Flynn był cały zielony.

- Stań tutaj - szepnął, wskazując futrynę. - Kiedy wejdziesz, wchodź za mną i nie spuszczaaj mnie z oczu. Może face ta już nie ma. Może się pogodzili i są teraz tiu-tiu-tiu, jak dwa gołąbki. Rozumiesz?

Pike bez słowa skinął głową.

- Wyjmij broń tylko wtedy, kiedy ja to zrobię. Nie chcemy zaogniać sytuacji. Chcemy ją rozładować. Jasne?

Pike znowu kiwnął głową.

Flynn zapukał do drzwi.

- Policja.

Zapukał jeszcze raz.

- Proszę otworzyć.

Szloch ustał i w mieszkaniu coś zaszurało. Zza drzwi dobiegł głos młodej kobiety:

- Nic mi nie jest, wszystko w porządku.

Flynn zapukał po raz trzeci.

- Proszę otworzyć. Nie odejdziemy, dopóki pani nie zobaczymy.

Podniósł rękę, żeby zapukać po raz czwarty, ale drzwi się otworzyły i przez wąziutką szparę wyjrzała Candace Stanik. Mimo ograniczonego pola widzenia Pike dostrzegł, że kobieta ma złamany nos i podbite, mocno podpuchnięte prawe oko. Opuchlizna była niemal fioletowa i wiedział, że za kilka minut oko zupełnie się zamknie. Widywał takie oczy wiele razy. U siebie. Głównie jako dziecko. Głównie dzięki ojcu.

Flynn przytrzymał drzwi.

-Odsuń się, skarbie. Pozwól mi wejść i rozejrzeć się.

-Już go nie ma. Poszedł do znajomej.

Mówiąc łagodnym, lecz stanowczym głosem, Flynn umiał przekazać tyle emocji. Pike go za to podziwiał.

- Pani Stanik? Tak się pani nazywa? Candace Stanik?

Ona natomiast miała głos cichy, lecz spięty. Pike jej nie słuchał. Wsłuchiwał się w to, co było za nią, wypatrywał pozostałych lokatorów. Zza drzwi bił ostry zapach eteru, co znaczyło, że ktoś oczyszczał tam kokę. -Tak. Poszedł do...

- Wpuść nas, skarbie. Nie możemy odejść, dopóki się nie rozejrzymy, więc wpuść nas.

Flynn delikatnie napał na drzwi i kobieta się cofnęła. Pike ostrożnie wszedł do środka i natychmiast stanął z boku, jak najdalej od Flynn. Stojąc blisko siebie, stanowili jeden duży cel, osobno dwa mniejsze i trudniejsze do zdjęcia. Przywarł plecami do ściany.

W mieszkaniu było jak w piecu. Zaczął się pocić. Byli

w ciasnym saloniku. Kiedy Flynn podszedł do kobiety, Pike odnotował w pamięci kilka szczegółów: wejście do garderoby po lewej, mała kuchnia za salonikiem, wnęka jadalna. Do wnęki prowadziło krótkie odgałęzienie korytarza. Mieszkanie robiło wrażenie schludnego i zadbanego, nie licząc przewróconego na bok stolika do kawy i obryzanej krwią podłogi. Candace Stanik była w ciąży. W siódmym albo ósmym miesiącu, chociaż Pike mało wiedział o ciąży i w ogóle o kobietach. Podkoszulek na jej wydatnym brzuchu był zakrwawiony, podobnie jak nogi i bosa stopy. Na podłodze leżał cienki kuchenny ręcznik z lodem, który prawdopodobnie przykładała sobie do oka. Miała złamany nos, rozcięte w dwóch miejscach usta i podtrzymywała brzuch, jakby dostała skurczów.

- Karetka i wsparcie - rzucił przez ramię Flynn.

Pike wcisnął przycisk nadajnika i wywołał centralę. Flynn chciał wziąć kobietę za rękę, ale ta wyszarpnęła się i krzyknęła:

- Aresztujcie go! Musicie go aresztować. Poszedł do tej kurwy...

Candace Stanik była coraz bardziej wzburzona i Flynn próbował ją wyciszyć, niżając głos i zarażając ją spokojem.

- Najpierw zajmijmy się dzieckiem, dobrze, skarbie? Najważniejsze jest teraz dziecko.

Znowu wziął ją za rękę i tym razem jej nie zabrała, choć gniewnie wykrzywiła twarz.

-On ucieknie...

-Ciii... Nigdzie nie ucieknie.

Flynn był dokładnie taki, jak trzeba, był jak silny, niosący pocieszenie ojciec. Zaufasz mu i nic ci nie będzie.

Zaopiekuje się tobą, tylko mu pozwól. Objął kobietę ramieniem, które strzegło i łagodziło ból.

- Usiądź, skarbie - szepnął. - Trzeba przyłożyć lód do nosa. Zajmę się tobą...

Dał znak Pike'owi. Byli w mieszkaniu niecałą minutę.

- U mnie wszystko w porządku. Rozejrzysz się?

Pike kiwnął głową.

-Tylko uważaj.

Minął ich bez większych obaw. Zajrzał do kuchni, wszedł do korytarza. Drzwi do łazienki były otwarte: skorupa zaszniętego mydła na umywalce, maleńka wanna i muszla klozetowa. Spojrzał na drzwi do sypialni. Były uchylone, w środku paliło się światło. Pamiętał, że ma nie wyjmować broni, dopóki nie zrobi tego Flynn, mimo to wyjął rewolwer i pchnął drzwi. Niczym miny, na podłodze walały się torby, reklamówki, brudne ubrania i kartonowe pudła. Na podwójnym łóżku leżała zmięta, szara od brudu pościel. Po lewej stronie łóżka stała na wpół otwarta szafa. Były też dwa okna, ale obydwa były zamknięte, tak jak wszystkie pozostałe.

Wyteżył słuch, lecz usłyszał tylko głos kobiety, która znowu wsiadła na swego partnera, prosząc Flynną, żeby dorwał sukkinsyna, bo on i ta jego dziwka zamierzali wyjechać do Las Vegas.

Chciał wrócić do saloniku, lecz coś ciągnęło go do szafy. Poruszał się szybko i bezszelestnie, tak jak w lesie, kiedy jako mały chłopiec ukrywał się przed ojcem. Najważniejsza była cisza. Cisza była wszystkim. A szybkość życia. Przyklęknął na jedno kolano, uniósł kciukiem materac i zajrzał pod łóżko. Nikogo. Znowu spojrzął na szafę.

Nie wierzył, żeby ktoś mógł się tam schować, ale musiał to sprawdzić. Kobieta mówiła coraz głośniejsze i natarcywiej i chciał pomóc Flynnowi.

Drzwiczki były uchylone na trzynaście, piętnaście centymetrów. W sypialni paliło się światło, ale w szafie było ciemno choć oko wykol. Stanął z boku i gwałtownie otworzył ją na oścież. Pusto.

Byli w mieszkaniu od niecałych dwóch minut.

W tej samej chwili z saloniku dobiegł głośny trzask, ciężki tupot i czyjś chrapliwy głos:

- Zabij go!

Pike przeskoczył przez łóżko, wypadł na korytarz i przystanął w drzwiach. Drzwiczki do garderoby były szeroko otwarte. Przyjaciel Candace Stanik, którego później zidentyfikowano jako Davida Lee Elisha, stał za Flynnem, dusząc go przedramieniem i przytrzymując jego rękę, żeby nie mógł dobyć broni. Drugi mężczyzna - później zidentyfikowany jako Kurt Fabrocini, więzień, który przed południem wyszedł na warunkowe zwolnienie - dźgał Flynna w pierś nożem myśliwskim. Candace Stanik leżała zwinęta w kłębek na podłodze. Badania miały wykazać, że zarówno Elish, jak i Fabrocini mieli we krwi tyle alkoholu i kokainy, że można by nią zabić słonia.

- Zabij go - sapał z wysiłkiem Elish. - Zabij.

Pike bez wahania podniósł rewolwer i strzelił Fabrociniemu w głowę. Zastrzeliłby i Elisha, ale ten stał pod złym kątem. Zaatakował, zanim Fabrocini zdążył upaść.

Po prostu staranował ich i powalił, Flynną i Elisha. Dokładnie wiedział, co trzeba robić i jak. Zaparł się mocno nogami i przygniótł ich do podłogi. Przesunął się w bok i ominąwszy Flynną, rękojeścią rewolweru grzmotnął Elisha w twarz. Elish próbował wstać, miał dzikie, rozbiegane oczy. Pike przyłożył mu jeszcze raz i ćpun znieruchomiał. Pike przewrócił go na brzuch, przygniótł kolaniem do podłogi, wykręcił ręce i założył kajdanki.

Dopiero wtedy zajął się Flynnem przerażony, że ten zaraz wykrwawi się na śmierć.

- Panie sierżancie...

Flynn podniósł wzrok i pomacał palcami po wystrzępionej koszuli. Był blady i miał szeroko otwarte, błyszczące oczy.

- Pieprzona kamizelka. Ta pieprzona kamizelka zatrzymała nóż.

Pike myślał, że Flynn się śmieje, **ale** wtedy zobaczył łzy w jego oczach.

Zwolniono ich trzy godziny później. Przyjechali ci z dochodzeniówki, szef popołudniowej zmiany, dwóch kapitanów i dwóch detektywów z komendy głównej policji w Los Angeles. Rozdzielono ich, przesłuchano i wypuszczono.

Flynn usiadł za kierownicą. Odpalił silnik, ale nie ruszył. Pike wiedział, że jest w szoku, lecz uznał, że *to* od niego zależy, czy pogadają o tym, czy nie. Ostatecznie był tylko „kodem”.

W końcu Flynn spojrzał na niego, poruszając głową tak, jakby ważyła tonę.

-Wszystko w porządku?

-Tak jest.

Flynn znowu zamilkł, ale patrzył na Pike'a tak, że ten poczuł się w końcu nieswojo.

-Posłuchaj, chcę pogadać o tym, co się tam stało. Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

-Nie musi mi pan dziękować.

-Wiem, ale dziękuję. Doceniam to, co zrobiłeś. Zobaczyłeś tych dwóch, zobaczyłeś nóż i podjąłeś szybką decyzję. Nie mówię, że postąpiłeś źle. Chcę tylko, żebyś się nad tym zastanowił. Czasem musimy zabijać, ale nie od tego jesteśmy.

-Wiem, panie sierżancie.

-To była moja wina. Nie zajrzałem do garderoby, chociaż widziałem te cholerne drzwi.

-Sprawdzaliśmy lokal. To niczyja wina.

-Jesteś świeżym rekrutem. Pierwszy dzień pracy i uratowałeś mi tyłek.

Flynn patrzył na niego zwężonymi oczami, jakby próbował zobaczyć coś niewyraźnego i odległego i Pike zastanawiał się, co tam widzi.

Nagle położył rękę na jego ręce.

- Jesteś spokojny jak las. A ja trzęsę się jak liść...

Pike to czuł: ręka Flynnna leciutko wibrowała, tak jak powietrze wibruje od brzęczenia pszczoł próbujących wydostać się z ula.

Nagle zabrał ją zażenowany, jakby czytał w jego myślach. Strzelaniny z udziałem policjantów zdarzały się sporadycznie, ale Pike przywykł do nich, odkąd opuścił rodzinny dom, a kiedy wracał tam myślami - robił to rzadko i niechętnie - zawsze dochodził do wniosku, że w domu było jeszcze gorzej: napady wściekłości ojca, pięści, pas i podkute buty, grad dziwnie bezbolesnych ciosów, jego krzyk, przeraźliwy krzyk matki. Walka? Walka to nic. Pamiętał, jak w przyplywie swoistej intelektualnej akceptacji pogodził się z tym, że musi zabijać, żeby ktoś nie zabił jego. Tak jak wtedy, kiedy już jako nastolatek omal nie udusił ojca. Ojciec zaczął się go bać i przestał ich bić. Proste. Teraz najbardziej zależało mu na tym, żeby przestrzegać obowiązujących w policji zasad. I dokładnie ich przestrzegał. Oddał celny strzał. Flynn przeżył. On też. Proste.

Dotknął jego ręki. Chciał mu pomóc.

- Wszystko w porządku. Jest dobrze.

Flynn wytarł twarz i szybko zamrugał.

- Patrzę na ciebie, a ty siedzisz tu jakby nigdy nic. Parę godzin temu zabiłeś człowieka, a masz zupełnie puste oczy. Pike zawstydział się i zamknął w sobie. Zawstydział się i Flynn, jakby nagle zdał sobie sprawę, że mówi bzdury. Roześmiał się sztucznie.

- Gotowy? Czeka nas od groma papierkowej roboty. To jest najgorsze. Zastrzelisz kogoś i musisz wypełnić stos tych przeklętych formularzy.

Pike włożył okulary, żeby ukryć oczy. Flynn roześmiał się jeszcze głośniejszym i jeszcze bardziej nerwowo.

-Jest ciemno. Będziesz nosił je w nocy?

-Tak - odparł Pike.

-Jak chcesz. Posterunkowy Pike i sierżant Flynn. Koniec z tym. Mam na imię Bud.

Pike kiwnął głową, ale Bud wciąż się trząsał i przez ten sztuczny uśmiech wyglądał jeszcze smutniej.

Pike wolałby, żeby do tego nie doszło. Żałował, że przyjęli wezwanie i że dzień skończył się tak, jak się skończył. Zawiódł swego prowadzącego i robiło mu się niedobrze, kiedy o tym pomyślał. Poprzysiął sobie jeszcze bardziej się starać. Chciał być dobrym, prawym policjantem, chciał służyć i bronić.

## 12

Jechali w kierunku Glendale i gmachu Naukowego Wydziału Śledczego policji w Los Angeles, kiedy zapiszczała komórka. Zerknął na numer. Ronnie.

-Mów.

-Czternaście minut temu włamali się do sklepu. W biały dzień. Bardzo chcą cię dorwać.

-Kto to? - spytała siedząca obok Larkin. Pike podniósł palec, by nie przeszkadzała.

-Ochrona przyjechała?

-Na światłach. Światła, syreny, czerwony alarm, i tak dalej. Zawiadomili policję. Właśnie jadę tam z Dennym. Chciałeś interwencji, masz interwencję.

-Złóżcie zeznania. Jeśli są jakieś szkody, niech ci od ubezpieczeń je wycenia. Jeśli trzeba będzie coś naprawić, wezwij jakiegoś specę.

-Rozumiem. Chcesz, żeby było o tym głośno.

-Bardzo.

Pike schował komórkę i Larkin dała mu kuksańca w ramię.

- Nie znoszę, kiedy mnie ignorujesz. Zadałam ci pytanie, a ty pokazałeś mi palec.

Teraz z kolei ona pokazała palec jemu, tyle że nie wskazujący.



-Pogadamy z kimś w Glandale, a potem pojedziemy tam, gdzie miałaś wypadek. Na spotkanie z Elvisem.

-Nie możemy po prostu wrócić do domu?

-Próbują cię zabić.

-To dlaczego się gdzieś nie ukryjemy?

-Bo mogą cię znaleźć.

-Znasz odpowiedź na każde pytanie?

-Na każde.

Znowu dała mu kuksańca, ale tym razem to zignorował. Kątem oka zobaczył, że z ponurą miną opadła na fotel.

Cieszył się ciszą. Minęli przełęcz Sepulveda i wjechali do doliny San Fernando. W dolinie było o wiele cieplej i czuł to mimo włączonej klimatyzacji. Obserwował termometr na desce rozdzielczej. Na odcinku Cheviot Hills-Van Nuys temperatura wzrosła o dziewięć stopni.

Larkin milczała dokładnie dziewięć minut.

Potem spytała:

- Chciałbyś zobaczyć, jak się masturbuję?

Nie spojrział na nią ani nie odpowiedział, chociaż zastanawiał się, co jej odbiło. Prawdopodobnie chciała go zaszokować. Kuracja wstrząsowa bywa skuteczna, ale na niego nie działała. Wstrząs to pojęcie względne.

- Mogłabym zrobić to tutaj, w samochodzie. Teraz. Chciałbyś?

Przesunęła rękami po brzuchu i położyła je na wgórku łonowym.

- Spytam twego przyjaciela - szepnęła. - Założę się, że zechce popatrzeć.

Pike zerknął na nią i przeniósł wzrok z powrotem na drogę.

- W dniu kiedy przyjechałem do Afryki Środkowej, widziałem pewną kobietę. Tego ranka wymordowano jej rodzinę, ledwie dwie godziny przed naszym przyjazdem. Obcinała sobie palce u lewej ręki, jeden po drugim. Po palcu za męża i dzieci. Zaczęła od kciuka.

Spojrzał na nią i dodał:

- Tak ich opłakiwała.

Larkin złożyła ręce na kolanach. Popatrzyła na niego i odwróciła głowę. Nie ma to jak cisza. Jechali przez stojący w dolinie upał.

13

### *Tajna misja Johna Chena*

Desperacja jest matką zmyślnej innowacji, a John Chen był zdesperowany. Ta sama desperacja jest również matką kłamstwa, kręactwa, podstępu, oszustwa i mistrzowskiego aktorstwa, a więc tego wszystkiego, co John doskonale opanovał, bo - cóż, nie bójmy się prawdy - był najinteligentniejszym, najbardziej błyskotliwym starszym technikiem kryminalnym w Naukowym Wydziale Śledczym policji Los Angeles. W ciągu ostatnich kilku lat rozpracował więcej spraw (rzecz niezbędna do awansu, czytaj: kasy), zaliczył więcej czasu ekranowego w lokalnym dzienniku telewizyjnym (bez tego ani rusz, bo nie mógłby wyrwać żadnego towaru, a ważąc pięćdziesiąt osiem kilo, mając sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wielkie jak wole jabłko Adama, musiał korzystać ze wszystkiego, co mogło mu pomóc) i dostał więcej podwyżek (bez podwyżek nie wyleasingowałby nowiutkiego porszaka - „To nie dźwignia zmiany biegów, kochanie, po prostu cieszę się, że cię widzę”) niż jakkolwiek inny szczur laboratoryjny. No i jaką dostał nagrodę za to, że jako gwiazdor amerykańskiej kryminalistyki rozślawił ich wydział?

Jeszcze więcej pracy.

Jeszcze więcej spraw.

Mniej czasu na rozkoszowanie się owocami swoich wysiłków.

Czyli bzykaniem.

Bzykanie było dla niego wszystkim. Otwarcie to przyznawał, mówił to każdemu, kto zechciał go wysłuchać, w tym młodym kobietom, jego znajomym, i pewnie dlatego nie chciały się z nim umawiać. Miał szmergla na punkcie bzykania, lecz pobzykać nie mógł - koszmar ten prześladował go przez całe życie, zwłaszcza że był święcie przekonany, że każdy normalny Kalifornijczyk już od okresu dojrzewania czerpie tę rozkosz pełnymi garściami jak ze szwedzkiego stołu. Każdy oprócz niego.

Ale teraz mógł to wreszcie nadrobić.

Poderwał dziewczynę. No dobra, tak naprawdę to nie była jego dziewczyną. Dobrze o tym wiedział, nie zamierzał się oszukiwać. Ronda Milbank była sekretarką. Mieszkała w Highland Park, miała dwoje dzieci i lubiła zaglądać do kieliszka. Co dwa tygodnie mówiła mężowi, że idzie z koleżankami do kina, po czym szła do baru z nadzieją, że ktoś postawi jej drinka. John natychmiast wkroczył do akcji. „Witaj, księżniczko. Co pijesz?”. Piła dżin z sokiem limonowym; widać lubiła cukier.

Nie, tak szczerze, to tego nie powiedział, za bardzo się bał. Ale usiadł obok niej i po chwili do niego zagadała. Dwa tygodnie później, czyli poprzedniego dnia, spotkał ją znowu, w tej samej knajpie. Postawił jej dżin, potem drugi, a jeszcze potem - sam wypił w tym czasie trzy czy cztery drinki - spytał, czy mogliby, no wiesz, czy mogliby się kiedyś... spotkać. A ona na to, że jasne, że jutro między jedenastą i dwunastą, bo mąż będzie wtedy w pracy, a dzieci w szkole.

Trafiona, zaliczona!

Ale wtedy pojawił się problem. Tak jak powiedział kiedyś Jack Webb - oto miasto: Los Angeles. Tysiąc dwieście cztery kilometry kwadratowe powierzchni, miliony mieszkańców, tabuny bandziorów, z których każdy popełnia ja-

kies przestępstwo, dziewięć tysięcy najlepszych policjantów w kraju, którzy łapią tych łajdaków i wsadzają ich za kratki, setki miejsc zbrodni, każdego dnia coraz więcej, więcej co godzinę, niekończące się tsunami dowodów rzeczowych, które trzeba zabezpieczyć, opisać, skatalogować, zbadać i przeanalizować w wiecznie niedofinansowanym, wiecznie cierpiącym na braki kadrowe, wiecznie zawałonym robotą, lecz cieszącym się światową sławą...

Naukowym Wydziale Śledczym.

Dlatego Chen z góry znał odpowiedź, nie musiał o nic pytać. „Ależ oczywiście, John. Musisz zrobić sobie przerwę na małe bzykanko, proszę cię bardzo”. Jasne, a świstak siedzi i zawija.

Oto jak John Chen to wszystko zorganizował: z samego rana świsnął malutki kawałek szkliwa nazębnego z zestawu porównawczego. Potem zaczekał do przerwy na drugie śniadanie, kiedy to technicy laboratoryjni, naukowcy i kryminolodzy (zbyt zajęci, żeby opuścić miejsce pracy) zasiadali między próbkami spermy i krwi, by obżerać się pączkami i cheetosami. Dokładnie kwadrans po dziesiątej przeszedł tuż obok szefowej i odgryzając kęs słodkiej bułeczki z nadzieniem malinowym, takiej z supermarketu, przeraźliwie krzyknął:

- Ahhhhhh!

Skoczył w bok, chwycił się na szczękę, zaczął kręcić się jak bąk i przestał dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że patrzą na niego wszyscy pracownicy laboratorium.

Wtedy otworzył dłoń, pokazał im szkliwo i wrzasnął:

-Niech to szlag! Złamałem ząb! Muszę iść do dentysty!

Harriet, szefowa, spojrzała na szkliwo.

-Malutki jakiś. Może się tylko ukruszył?

-Chryste, boli jak jasna cholera! Nerw jest na wierzchu!

-Pokaż.

John zasłonił usta ręką i cofnął się o krok.

- Lodu! - krzyknął. - Dajcie mi lód i aspirynę! Muszę do dentysty!

Nie omieszkał przy tym zauważyć, że Harriet zdążyła już zmarszczyć brwi i zerknąć na zegarek. Wolałaby pewnie, żeby tam zdechł, niż narobił zaległości.

- Przestań. Miałam złamany ząb. Ból zaraz minie. Za kilka minut nic nie będziesz czuł.

Widzicie teraz, co z niej za babsztyl?

-Ten ząb jest złamany, zniszczony! Poszedł w drzazgi! Muszę do dentysty!

-A jeśli cię nie przyjmie? Może najpierw zadzwonisz?

-To mój kuzyn! Posłuchaj, im szybciej to załatwię, tym szybciej wrócę. Zadzwonię do niego z samochodu. Jeśli zaraz wyjdę, o wpół do drugiej będę już z powrotem.

Czmychnąwszy od Rondy przed powrotem jej męża i dzieci.

Harriet znowu zmarszczyła brwi, znowu spojrzała na zegarek, lecz w końcu dała za wygraną.

- Dobrze, ale nie bierz swego samochodu. Weź furgonetkę. Zaraz po wizycie u dentysty mogę cię gdzieś wysłać.

Takiego wała, pomyślał Chen.

Żeby uprawdopodobnić historię z zębem, chwycił kubek lodu, wziął kluczyki, zestaw do zbierania dowodów rzeczowych i popędził do wyjścia. Za drzwiami przystanął i upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, wyrzucił kubek. Pokazać się Rondzie w rozklekotanej furgonetce? Wykluczone. Przed wyjściem do pracy specjalnie umył swego nowiutkiego boxtera i maszyną, ten magnes na dupcie, lśniła teraz i błyszczała! Zamierzał zajechać przed jej dom z fasonem!

Właśnie doszedł do pierwszego rzędu samochodów na parkingu, gdy zobaczył, że zza drzwi obserwuje go Harriet. A to suka.

Furgonetki stały razem, więc skręcił w tamtą stronę. Przystanął przy pierwszej, chwycił się za szczękę jak w paroksy-

zmie bólu i pomachał jej ręką. Harriet nie odmachnęła. Ruszył przed siebie, zerkając na nią kątem oka. Bździągwa jakby korzenie tam zapuściła. Znalazł swoją furgonetkę, schował się za nią i policzył do stu. Kiedy wyjrzał, Harriet już nie było, więc radośnie przeszył pięścią powietrze. Miał wreszcie dostać nagrodę za całą tę harówkę, poświęcenie i wygłupy w lokalnej telewizji. Miał wreszcie stracić piętno odmieńca i dziwaka. John Chen - mistrz nad mistrze -jechał pobzykać.

Odwrócił się, żeby pobiec do swego samochodu, gdy wtem...

...drogę zaszedł mu ktoś, kogo jeszcze chwilę przedtem tam nie było.

John wystraszył się tak bardzo, że krzyknął i tym razem wcale nie musiał udawać.

- Aaaa!

Odskoczył do tyłu i byłby upadł, gdyby nie chwyciły go i nie podtrzymały silne jak imadło ręce.

- Spokojnie - powiedział cicho Pike. - Zrobisz sobie krzywdę.

Chen nie znosił, kiedy Pike to robił, kiedy wyrastał przed nim jak spod ziemi niczym upiorny psychol z dziury w smogu. Bo robili tak tylko kompletnie porąbani psychole, tylko oni podkradali się tak i straszili ludzi, dlatego bał się go już od pierwszego spotkania. Spojrzał wtedy na niego i od razu wiedział, że to jeden z tych przystojnych twarzdzieli, jak ci z reklam piwa w telewizji, z tych złośliwych, obdarzonych podwójnym chromosomem typów, którzy lubią demaskować innych. To prawda, kiedyś dostał od niego cynk, dzięki czemu rozwiązał ważną sprawę i kupił sobie porszaka, mimo to wciąż się przy nim denerwował.

- Przestraszyłeś mnie - powiedział. - Skąd się tu wzięłeś?

Lekkim ruchem głowy Pike wskazał zielonego lexusa w sąsiednim rzędzie.

Chen natychmiast się wyprostował, żeby zrobić wrażenie

wyższego. Na przednim siedzeniu siedziała wystrzałowa dziewczyna o czarnych, sterczących na wszystkie strony włosach i najbardziej lubieżnych ustach, jakie kiedykolwiek widział. Pomachała mu ręką i omal nie zrobił tego w majtki. Co za laska. Czysty seks!

-O kurde, ale towar. Daje dupy?

-John, musisz *coś* dla mnie zrobić.

Chen przypomniał sobie o Rondzie, tym jednogodzinnym okienku ostatniej szansy. Zaczął się powoli cofać. -Jasne, ale wiesz, muszę lecieć. Jestem umówiony...

- To bardzo pilne.

Chen znieruchomiał przekonany, że jeśli zrobi jeszcze jeden krok, Pike zatłucze go na śmierć. Zdołał tylko potulnie zapisać:

-Ale...

- To duża sprawa, John. Mógłbyś znowu trafić do gazet.

Ronda zniknęła jak dym na wietrze i Chen przestał nagle czuć się taki mały. Pike i jego kumpel Cole nie łgali i zawsze dotrzymywali słowa, czego dowodem było nowiutkie porsche. Jeszcze jedna głośna sprawa i mógłby rzucić tę pieprzoną robotę. Założyć prywatne laboratorium i porządnie zarobić. Kto wie, może udałoby mu się nawet zdobyć Świętego Graala wszystkich stróżów prawa w Los Angeles: załapać się na stanowisko konsultanta technicznego serialu telewizyjnego! Przesiąść się na carrerę.

Znowu spojrzął na dziewczynę.

-Ja ją gdzieś widziałem... Gra w pornosach?

Pike odwrócił mu palcem głowę. A to kutas.

-Słyszałeś o tych dwóch zabitych w Malibu?

-Szeryf się tym zajmuje. Ich laboratorium.

-A o tych trzech z Eagle Rock?

Chen zaczął się zastanawiać, do czego Pike zmierza.

-Jasne. Nimi zajmujemy się my, ale nie ja. Bo?

-Bo chcę znać ich nazwiska.

Chenowi ulżyło. Mało brakowało i znowu przypomniaby mu się Ronda. Myślał, że chodzi o coś trudniejszego.

-Spoko. Po południu zadzwonię do koronera. On na pewno je zna.

-Nie, John, nie zna. Nie ma ich w żadnej bazie danych. Live Scan niczego nie znalazł.

-Musieli ich obszukać i...

-Zwłoki były czyste.

Oczywiście wyobraźni Chen zobaczył, jak nagłówki gazet rozmywają się i znikają.

-To czego ode mnie chcesz?

-Sprawdź ich broń. Broń i łuski.

Chen wiedział, o co Pike go prosi, i wcale mu się to nie podobało. Policja i zespół techników, którzy badali miejsce przestępstwa, musieli zabrać stamtąd znaną przy zwłokach broń i łuski. Każda broń ma numer seryjny oraz unikalne cechy charakterystyczne, dzięki którym można - choć nie zawsze - dotrzeć do jej właściciela. Ale sprawdzić to? Teraz? Odpada, marzenie świętej głowy. Wydział zatrudniał tylko dwóch rzeczoznawców od broni palnej i opóźnienia sięgały tysięcy sztuk. Nawał pracy był tak duży, że procesy sądowe rozpoczynały się często, zanim rzeczoznawcy skończyli swoją robotę. Bywało, że aby przeskoczyć kolejkę i przyspieszyć badania, sędziowie wydawali specjalny nakaz.

Chen zszedł z obłoków na ziemię.

-Nie wiem, bracie, są koszmarnie opóźnienia...

-Poprzednim razem jakoś sobie poradziłeś.

-Tak, ale samo badanie wcale nie znaczy, że dostaniesz konkretne nazwisko. Większość pistoletów i rewolwerów jest kradziona albo kupiona na ulicy, więc...

-Jeszcze jedno... Pike  
podał mu datę.

- Tego dnia rano doszło do wypadku samochodowego. Policja odholowała samochód, srebrzystego mercedesa, któ-



rego właścicielem jest niejaki King, George King. Przeszukiwali ten wóz przez całą dobę. Chcę wiedzieć, co znaleźli. Chen próbował, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć ani tamtego dnia, ani samochodu, ani nikogo, kto by o tym samochodzie wspominał.

-Czy w tym mercu popełniono jakieś przestępstwo?

-Nie, brał udział w wypadku.

-I nasi badali wóz po zwykłym wypadku?

-Chcę wiedzieć, co znaleźli. Kiedy się dowiesz, zadzwoń do Elvisa. Mnie nie będzie.

Chen znowu zerknął na dziewczynę i pomyślał, że dobrze wie dlaczego.

-Co będę z tego miał?

-Okaze się, że kule ze zwłok z Malibu pasują do kul z Eagle Rock. To ten sam strzelec, John. Szeryf i policja jeszcze tego nie wiedzą. Ani oni, ani prasa.

Chen wytrzeszczył oczy.

- Jesteś pewien?

Pike'owi drgnęły kąciaki ust.

Chenowi mocniej zabiło serce, waliło jak młotem. Nie pracował nad sprawą zabójstw z Eagle Rock, ale był w laboratorium, kiedy przywieziono dowody rzeczowe. Kryminolodzy, którym ją przydzielono, nie wspomnieli, że między tymi dwoma zabójstwami istnieje jakiś związek. Kule trafiły do dwóch różnych laboratoriów i jeśli policja nie dostarczy dowodów uzupełniających, mogą upłynąć miesiące, a nawet lata, zanim ktoś wszystko to sobie pokojarzy i odkryje, że związek taki jednak istnieje. Może być nawet i tak, że nie odkryje tego nikt - nigdy, chyba że jakiś superdetektyw dokona cudownego przełomu w sprawie.

- A pistolet? - spytał. - Ten od kul. Jest u nas?

- Przy okazji sprawdź i to. Porównaj numery seryjne z bazy danych z numerami seryjnymi tych, które macie. Zobacz, czy do siebie pasują.

Serce waliło Chenowi tak mocno, że aż boleśnie. Pike sugerował istnienie jakiejś zмовy, próby zatuszowania jakiegoś spisku. Lokalny dziennik? Lokalny dziennik to jeszcze nic. Gdyby dobrze to rozegrał, mógłby trafić do wiadomości krajowych. Może nawet do 60 minut! Wszystkie myśli o Rondzie odeszły w zapomnienie.

Pike ruszył w stronę lexusa.

- Sprawdź to, John. Zadzwoń do Elvsa.

Wsunął się do samochodu, jakby był zrobiony z ciepłego masła, i odjechał. Chen patrzył za nim, a raczej za dziewczyną, dając głowę, że zanim dojadą do wyjścia, laska zacznie robić mu loda. A to farciarz.

Z ponurą miną zawrócił do laboratorium. Tak histeryzował z tym dentystą, że Harriet będzie się pewnie zastanawiała, dlaczego nawet nie wsiadł do samochodu. I wtedy go olśniło: przecież sama powiedziała, że ból minie, więc po prostu powie jej, że minął. Każdy lubi słyszeć, że miał rację, poza tym zarobi dodatkowe punkty za bezinteresowny powrót do pracy i stopnieje mu liczba ujemnych za wszystkie te nagany i ochrzany!

John Chen był najlepszy w branży nie bez powodu.

Wbiegł do laboratorium i natychmiast wziął się do roboty.

Ronda jakoś to przeboleje.

## 14

Tracić czas to jak upuszczać sobie krwi i Pike boleśnie odczuwał upływ sekund. Wiedział, że dziewczyna wolałaby nie wracać do swojej dzielnicy. Tam zaczął się jej koszmar. Tam doszło do wypadku. Tam widziała Kingów i Meesha. Ale właśnie dlatego musiała tam wrócić. Zwierzęta zostawiają ślady, ludzie też. Ponieważ Meesh i Kingowie tam byli, mogli zostawić ślady. Pike zamierzał powierzyć ją opiece Cole'a

i podskoczyć do domu. Ci, którzy się do niego włamali, też zostawili ślady i wiedział, gdzie ich szukać.

Droga powrotna była uciążliwa i nużąca, bo panował duży ruch, a okolica była brzydka i ponura. Kolejowe stacje rozrządowe nad brzegiem rzeki, kilometry kabli wysokiego napięcia - zdawało się, że ta szara od brudu część miasta nigdy nie jest czysta, nawet po deszczu, i kiedy dojechali wreszcie na miejsce, okazało się, że tam, gdzie mieszkała Larkin, wcale nie jest ładniej. Wszędzie stały stare magazyny, czekając, aż powali je trzęsienie ziemi albo ktoś je wreszcie wyburzy, oraz zapyziałe składy i warsztaty, gdzie za najniższe stawki pracowali imigranci, stolarze artystyczni i kowale. Wszystko było tu przemysłowe.

Cole czekał w miejscu, gdzie doszło do wypadku, ledwie trzy skrzyżowania od domu dziewczyny. Jego żółta corvetta stała po drugiej stronie ulicy, a on w bramie, w cieniu.

-Co on tu robi? - spytała Larkin.

-Pracuje. Przyjechał wcześniej, żeby ustalić, jak to wszystko wyglądało.

-To niebezpieczne. A jeśli są tu gdzieś tamci?

-Dałby nam znak.

-Skąd wie, że ich nie ma?

Pike'owi nie chciało się nawet odpowiadać. Znowu brakowało mu ciszy.

Przy chodniku parkował rząd samochodów, ale udało mu się znaleźć miejsce kilkadziesiąt metrów za zaułkiem. Cole zaczął, aż ulicą przejedzie osiemnastokołowa ciężarówka i ruszył w ich stronę. Był w oliwkowych szortach z mnóstwem kieszeni, w koszuli w kolorowe kwiaty z krótkimi rękawami i w wypłowiałej czapeczce baseballowej Dodgersów. Tego dnia poruszał się trochę sprawniej.

Uśmiechnął się do Larkin.

-Ładnie tu. Jak w Bejrucie.

-Ładne ciuchy. Jak ubranko dwunastolatka.

Cole spojrział na Pike'a.

- Uwielbiam, jak tak mówi.

Stali dokładnie tam, gdzie Larkin wpadła na mercedesa, w miejscu, gdzie wąski zaułek łączył się z ulicą. Zaułek, a właściwie przejście między dwoma obskurnymi magazynami. Na skrzyżowaniu kłębił się tłum półnagich mężczyzn i przysadzistych kobiet w słomkowych kapeluszach, kupujących pomarańczowy napój i wodę w butelkach z furgonetki na chodniku. Pike powiódł wzrokiem po oknach i dachach okolicznych domów i spojrział na Cole'a. Chciał już jechać, ale chciał również wysłuchać jego meldunku.

-Dobra - rzucił.

-Pucha - zaczął Cole. - Rozmawiałem z właścicielami wszystkich warsztatów i sklepików dwie ulice w lewo i w prawo. O szóstej są już zamknięte i nikt ich nie pilnuje. Nie licząc tej firmy wysyłkowej... - Ruchem głowy wskazał za siebie. - Widzisz to ogrodzenie z drutem kolezastym? Tam mają stróża nocnego, ale facet niczego nie widział. Mówi, że dowiedział się o wypadku, kiedy przyszli do niego federalni.

Pike uniósł brwi i Cole kiwnął głową.

- Tak, zajmowali się tym twoi znajomi z FBI. Pytałem i o kamery, bo myślałem, że może będziemy mieli szczęście i któraś z tych na parkingu zahacza o ulicę, ale nic z tego. Są tam dwie, ale obydwie celują w parking.

-Tak po prostu pukałeś do drzwi i wypytywałeś?

-wtrąciła Larkin.

-Jasne. Tak pracują detektywi.

-W tym ubraniu?

-Niesamowite, co?

-Zdobyłeś protokół?

-Tak. - Cole wyjął z kieszeni kilka złożonych na pół kartek i wskazał nimi ulicę. - Do wypadku doszło tutaj, na tym skrzyżowaniu. Panna Barkley jechała w naszą stronę...

-

Wskazał w przeciwnym kierunku. - Do domu trzy ulice stąd. - Zerknął na Larkin. - Bardzo ładny dom. Ładnie odnowiony. - Rozłożył kartki i pokazał im policyjny szkic sytuacyjny sporządzony w dniu wypadku. Widniał na nim prostokąt symbolizujący samochód dziewczyny, kilka linii, którymi zaznaczono ślady hamowania, i tabelka z pomiarami. Pracując w policji, Pike widział sporo takich szkiców. Pod dłuższymi liniami napisano: ASTON MARTIN. Pod krótszymi: NIEZNANY. Larkin podeszła bliżej.

-Co to?

-Poprosiłem kumpla, żeby wykradł dla mnie kopię protokołu. Chciałem zobaczyć, co się stało.

-Przecież wam mówiłam.

-Wiem, ale chciałem zobaczyć protokół. Policja dołącza do nich zeznania świadków.

-Znaleźli jakichś świadków? - spytał Pike.

-To byłoby za proste. Na miejscu zdarzenia zastali tylko pannę Barkley.

Cole odwrócił się w stronę zaułka.

- Zaułek - ciągnął - łączy się z sąsiednią ulicą. Budynek po prawej jest opuszczony. Wszystkie drzwi, frontowe, boczne i od zalepcza, są zamknięte na łańcuch, a po kurzu i ślądach widać, że nie otwierano ich od lat. W tym drugim jest wytwórnia porcelanowych bibelotów i pamiątek. Ponieważ jeden jest opuszczony, a w drugim robią kopie Hollywood Bowl, można z powodzeniem założyć, że Kingowie nie przyjechali tu na sekcsparty.

- Przecież mówiłam - powiedziała Larkin. - Oni stąd wyjeżdżali.

Cole uniósł brew.

-Tak, ale dlaczego akurat stąd i akurat wtedy? Wiemy, dlaczego byłaś tu ty. Wraciałaś do domu. Ale co robili tu oni?

-Nie mam pojęcia.

- To było pytanie retoryczne.

Pike przyjrzał się ustawieniu samochodów na szkicu i wyobraził sobie stojącego skosem aston martina. Uderzył w mercedesa od strony kierowcy, tuż za tylnym kołem. Siła uderzenia obróciła mercedesa w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Aston martin też się obrócił i znie-ruchomiał z maską w stronę samochodu Kingów. Jeden reflektor został roztrzaskany, drugi oświetlał miejsce zdarzenia. Policyjny szkic zgadzał się we wszystkich szczegółach z tym, co mówiła Larkin. Zaraz po zderzeniu wysiadła, żeby pomóc Kingom, a potem wróciła do samochodu po komórkę. Wtedy Kingowie odjechali. A Meesh uciekł na piechotę.

- Którędy pobiegł Meesh?

Larkin stanęła między nimi, jakby coś tam na nią czekało, i wyciągnęła rękę.

- Tamtędy. Środkiem ulicy. Mercedes odjechał tam, w przeciwnym kierunku.

Cole wyszedł na jezdnię.

-Meesh nigdzie nie skręcił?

-Nie patrzyłam.

-Nad ranem tych samochodów nie ma i ulica jest dobrze oświetlona. Może wszedł do jakiegoś budynku.

-Nie wiem. Rozmawiałam z dziewięćset jednaście. Mercedes odjeżdżał, a ja zapisywałam na ręku numer rejestracyjny i rozmawiałam.

Cole spojrzął na Pike'a i wzruszył ramionami.

- Nie, tam nic nie ma. Przeszedłem osiem ulic w jedną stronę i osiem w drugą, aż do mostów. Dwie ulice na wschód jest rzeka, ale byłem i tam, a potem skręciłem na zachód. Ci, z którymi rozmawiałem, mówią, że w nocy nic się tu nie dzieje. Nie ma tu nawet stacji benzynowej ani budki telefonicznej. Nic, tylko sklepiki, warsztaty, place budowy i trzy czy cztery magazyny przerobione na lofty, takie jak ten, gdzie mieszka Larkin. Z lokatorami nie gadałem, ale pogadałem.

Pike chrząknął. Chciał już jechać, ale nie dawało mu spokoju coś, co powiedział Cole.

„Nad ranem tych samochodów nie ma i ulica jest dobrze oświetlona...”.

Spojrzał na robotników przed furgonetką z napojami i na rząd samochodów po obu stronach ulicy. Jeszcze raz rozłożył kartki i przyjrzał się śladom hamowania.

-Mercedes jechał, kiedy na niego wpadłaś, czy stał?

Larkin pokręciła głową.

-Nie wiem.

Cole zmarszczył brwi, bo on też o tym pomyślał.

- Na policji zeznałaś, że się cofała.

-Nie wiem, co zeznałam. Nie pamiętam nawet, że w ogóle zeznawałam. Co to za różnica?

-Jeśli tu parkowali - odparł Cole - to dlaczego? Po co? Obserwowali coś albo kogoś w zaułku? Właśnie wsiedli czy zamierzali wysiąść? Widzisz, jak jedno prowadzi do drugiego?

Pike spojrzał na ulicę i wreszcie zrozumiał, co go tak dręczyło. Nie miało to nic wspólnego z tym, dlaczego Kingowie i Meesh tu byli lub dlaczego ich tu nie było.

- Bez tych samochodów miałaś dobrą widoczność. Uderzyłaś w nich, co znaczy, że byli przed tobą. Musiałaś ich widzieć.

Larkin rozstawiła szerzej nogi i hardo wyprostowała ramiona.

- Ja nie kłamię.

Ślady hamowania potwierdzały jej wersję wydarzeń, ale Pike zastanawiał się, dlaczego nie zdołała uniknąć zderzenia. Pomyślał, że może była pijana albo naćpana i przerzucił kilka kartek. Nie. Testy wypadły negatywnie.

-Wcale tak nie twierdzą. Próbuję tylko zrozumieć.

-Ale wygląda to tak, jakbyś zarzucał mi kłamstwo. Nie widziałam ich i nic na to nie poradzę. Może bardzo szybko

wyjechali. Może patrzyłam wtedy na radio. Długo tu jeszcze zostaniemy? Boję się, chcę już iść.

Pike zerknął na Cole'a, a ten wzruszył ramionami.

-Mam wszystko, co trzeba. Mogę ją zabrać. Larkin była coraz bardziej spięta i poirytowana.

-Zaraz, czy ja coś przegapiłam?

- Cole zawiezie cię do domu - odparł Pike. - Zostanie z tobą, dopóki nie wrócę.

Ruszył w stronę lexusa, ale ona poszła za nim.

- Kiedy tak postanowiliście?

Pike uznał, że nie musi na to odpowiadać.

-Nie możesz ze mną jechać. W domu będziesz bezpieczniejsza.

-Ale ja nie chcę. Ty pojedziesz, a on rzuci się **na mnie** i zgwałci.

-Chciałabyś - mruknął Cole.

Larkin nie zareagowała. Szła krok w krok za Pikiem.

- Posłuchaj, masz mnie chronić, za to ci płacę. Pracujesz dla mnie. Ojciec dostanie szału, kiedy się dowie, że zostałam z jakimś patałachem.

Cole rozłożył ręce.

- Z patałachem?

Pike wszedł do lexusa, ale dziewczyna stanęła tak, że nie mógł zamknąć drzwiczek. Jej twarz przypominała kruchą ceramiczną maskę i Pike'owi przypomniało się nagle, jak Larkin wyglądała na pustyni, wyżywając się na ojcu. Tylko że teraz nie była zła. Teraz czuła się zdradzona.

- Przepraszam, że ci o tym nie wspomniałem - odparł łagodnie. - Nie sądziłem, że to jakiś problem.

Dziewczyna wciąż blokowała drzwiczki. Ciężko oddychała.

- Nie możesz ze mną jechać. Zobaczmy się wieczorem.

Pociągnął za klamkę i trącił ją drzwiczkami. Czas uciekał. Tratował mu plecy podkutymi buciarami, a ona nie pozwalała mu odjechać.



-Odejdź od samochodu - rzucił ostrzej.

Larkin ani drgnęła.

-Odejdź - powtórzył.

-Dać jej w łeb? - spytał Cole.

Dziewczyna cofnęła się i gdy Pike zamknął drzwiczki, syknęła:

- Głupi kutas!

Nie oglądając się za siebie, Pike odjechał w kierunku Culver City.

## 15

Zostawszy sam, poczuł się jak w upalny dzień na basenie, jakby unosił się na plecach, patrząc prosto w gorące słońce i czyste, błękitne niebo. Nie bał się tego, co może tam zastać i nawet o tym nie myślał. Ci, którzy uruchomili alarm, albo jeszcze tam byli, albo nie i musiał się z tym pogodzić.

Dwadzieścia pięć minut później zaparkował pod platanem sześć ulic od swego osiedla. Minęły go w pędzie dwie dziewczyny i chłopak na rowerze. Trzy domy dalej dwóch starszych chłopców rzucało piłką baseballową. Biegał między nimi biały pies, szczekając, ilekroć piłka przelatywała mu nad głową.

Pike wysiadł, zdjął koszulę i otworzył bagażnik. Przejrzał rzeczy od Ronniego. Wypił pół butelki wody mineralnej, wziął nóż, lornetkę Zeissa, kieszonkową berettę i pudełko nabojów do czterdziestki piątki. Niczego więcej nie potrzebował.

Wsiadł i pojechał na stację benzynową pod murem otaczającym osiedle. Zaparkował za pawilonem. Często kupował tam benzynę i znał pompierzy, dlatego nie mieli nic przeciwko temu. Do kabury nad kostką u prawej nogi schował berettę, do pochwy nad kostką nogi lewej włożył

nóż. Sprawdził, czy czterdziestkapiątka jest nabita, wetknął ją za pasek za plecami i wysiadł.

Podszedł do pawilonu i pomachał pompierzowi.

-Muszę zostawić tu samochód. Mogę?

-Jasne, stary, zostawiaj, na ile chcesz.

Pike działał szybko. Zeskoczył z muru za płaskim budynkiem naprzeciwko wielkiego basenu. Za szczelną kurtyną bananowców, strelcji i pacioreczników wokół basenu i przecinających teren ścieżek biegł dźwiękoszczelny ekran. Pike wślizgnął się w zielony gąszcz i ruszył przed siebie.

Po osiedlu wciąż kręcili się ludzie, ale on nawet nie przystanął, chociaż dwa razy musiał nadłożyć niemal dwieście metrów, żeby obejść dziewięciometrowej szerokości szparę w kurtynie zieleni. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Cieszył się wolnością człowieka niewidzialnego.

Przemykał między grupkami domów, obchodził parkingi i dotarłszy na drugą stronę osiedla, znalazł się prawie na miejscu. Okrążył domy stojące w jego grupce i przystanął pod swoim. Nie podszedł do drzwi ani nie próbował wejść do mieszkania - zajął pozycję za wielkim drzewem na rogu. Miejsce było dobre, bo roztaczał się stamtąd niczym nieprzesłonięty widok na parking i sąsiednie domy. Jeśli tamci na niego czekali, na pewno przywarowali gdzieś w pobliżu, żeby widzieć drzwi. Inaczej nie miałyby to sensu.

Przyjrzał się samochodom na parkingu, zasłonom w oknach i ścianie zieleni naprzeciwko, dokładnie takiej samej jak jego ściana. Zastygł bez ruchu i po raz pierwszy tego dnia przestał odczuwać upływ czasu. Po prostu był: bezpieczny w zielonej gęstwinie, czujny i gotowy do działania. Obserwował okolice, dopóki nie poznał wszystkich cieni między gałęziami, wszystkich plamek sączącego się między liśćmi światła, dopóki nie sprawdził, którzy lokatorzy są w domu, a którzy nie. Dwie godziny później wiedział już,

że nikt go nie obserwuje, mimo to wciąż ani drgnął. Jeśli ktoś na niego czekał, czekał w mieszkaniu.

Świat przybrał barwę złota, potem ciemnej miedzi, jeszcze później oblał się fioletem i zanurzył w mrocznej mgłę. Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały. Ludzie trzaskali furtkami, niektórzy w japonkach w drodze na basen. Pike obserwował ich, aż zrobiło się zupełnie ciemno i świat zielonego gąszczu szerniał, i wtedy wreszcie się poruszył, wstał z powolnością topiącego się lodu. Przeszedł chyłkiem pod ścianą domu, zaglądając do wszystkich okien i dostrzegł, że drugie od końca jest wyważone. Otwarcie okna uruchamiało alarm.

Zajrzał do środka, ale zobaczył tylko cienie. Nic się tam nie poruszało, z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie zdjął siatkę, otworzył okno, podciągnął się i wpełznął do mieszkania.

W pokoju było ciemno, ale zza drzwi do saloniku sączyło się światło. Wychodząc, zostawił zapaloną lampę. Wyjął pistolet i wszedł tam bezszelestnie jak duch. Na sofie nikt nie siedział, podobnie w fotelu, w którym lubił czytać. Słychać było tylko szmer sztucznego źródła w kącie, cichutkie bulgotanie wody na kamieniach w szklanym pojemniku. Wsłuchał się w to, co poza szmerem, próbując wyczuć ciszę i przestrzeń, ale nie, słyszał jedynie szum wody i szept klimatyzatora.

W mieszkaniu nie było nikogo. Zachowali ostrożność, żeby niczego się nie domyślił, ale w kuchni brakowało notesu z adresami, a telefon w sypialni leżał w zupełnie innym miejscu. Ubrania w szafie też wisiały inaczej.

Wrócił do saloniku. Telewizor stał naprzeciwko źródła, obok nagrywarki, odtwarzacza CD i całej reszty elektroniki. Kamera, którą zamontował, nagrywała obraz bezpośrednio na twardy dysk. Włączył telewizor i obejrzał nagranie. Kamera robiła zdjęcia co osiem sekund, dlatego film przypomni-

nał pokaz slajdów. Do saloniku wszedł mężczyzna z pistoletem. Długie, ciemne, proste włosy, ciemny podkoszulek, dzinsy, buty do biegania - był bez maski, bez rękawiczek i nie miał nawet poczerwionej twarzy. Biały Amerykanin albo Latynos, trudno powiedzieć. Gwałtownie przeskakiwał z miejsca na miejsce: najpierw przystanął w drzwiach, zaraz potem był już po drugiej stronie pokoju, jeszcze potem na schodach - w ciągu ośmiu sekund można obejść kawał mieszkania. W końcu otworzył drzwi i wtedy wszedł drugi mężczyzna, niższy, w ciemnej koszuli wypuszczonej na dzinsy. Włosy miał ciemne i długie jak ten pierwszy, ale miał również ciemniejszą cerę i Pike uznał, że to Latynos.

Ten pierwszy wrócił do kuchni, a drugi ukląkł pod drzwiami. Na podłodze pojawiła się mała, czarna walizeczka i mężczyzna objął rękami klamkę. Po kilku zdjęciach Pike zrozumiał, że ten z walizeczką dorabia klucze. Ten pierwszy przeszukał dom i wrócił, ten drugi sprawdził klucz.

Pike zatrzymał film. Zdjęcie pokazywało trzy czwarte twarzy i było najlepszym ujęciem pierwszego mężczyzny. Pike porównał je z fotografiami od Buda. „Ślusarza” między nimi nie znalazł, ale ten pierwszy był jednym z trzech, którzy napadli na dom Larkin. To nie on pobił gosposię, ale na pewno tam był.

Cofnął film, znalazł najlepsze ujęcie „Ślusarza”, wcisnął guzik i zamruczał laser drukarki. Wydruk powędrował do kieszeni.

Pozostałe zdjęcia pokazywały, jak tamci wychodzą z domu.

Wyłączył telewizor. Stał w pustym domu, wsłuchując się w cichy plusk wody. Był to dobry odgłos, naturalny i pokrzepiający, jak szum źródła w głębokim lesie.

Włączył komórkę i zadzwonił do Ronniego.

-Hej - rzucił Ronnie.

-Przyjedź do mnie z Dennisem. Dwóch mężczyzn. Dwadzieścia i trzydzieści lat, ciemne, długie włosy, sto siedem-

dziesiąt i sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ten niższy to prawdopodobnie Latynos.

-Są teraz u ciebie?

-Nie, ale wrócą. Dorobili klucze.

-Aha. Mamy spuścić im manto?

-Dajcie mi znać.

Pike włączył alarm, nastawił kamerę i podszedł do lodówki. Otworzył dwa piwa, wylał piwo do zlewu, butelki postawił na blacie. Kiedy tamci wychodzili, na blacie niczego nie było, więc sterczały tam teraz jak maszty statku na horyzoncie. Faceci wrócą i natychmiast zauważą, że był w domu. Pomyślał, że jeśli przyszedł raz, przyjdzie i drugi i może na niego zaczekają.

Pike chciał, żeby zaczekali.

16

### *Elvis Cole*

Larkin nie chciała z nim rozmawiać. Próbował wypytać ją o sąsiadów i właścicieli działek w pobliżu jej domu, ale równie dobrze mógłby pytać po chińsku. W zamyśleniu odęła usta i patrzyła na ulicę, jakby jego samochód był migotliwym mirażem.

-Nie mogę uwierzyć, że mnie tak zostawił. Po prostu mnie olał.

-Bezczelny typ - odparł Cole. - Łajdak.

-Wal się.

-Już drugi raz robisz aluzję do seksu, mimo to muszę odmówić.

Nie czekając na niego, przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkował. Niektórzy nie mają poczucia humoru. Postanowił dać jej trochę luzu, przestał się odzywać i je-

chali w milczeniu. Nie dziwił się, że dziewczyna ma dość odpowiadania na te same pytania i mówienia o tych samych rzeczach i nie chciał jej dobijać, bo była zdenerwowana i bez tego. Pytania i wyjaśnienia mogły zaczekać.

W drodze do Echo Park wstąpił do spożywczego w Thai Town, zakładając, że w małym tajskim sklepie nikt jej nie rozpozna. Spytał, czy chce z nim wejść i myślał, że zrobi mu awanturę, ale nie zrobiła. Jakby się trochę uspokoiła. Bez słowa oglądała dziwne etykiety i pakunki, podczas gdy on wrzucał do toreb to, po co tu przyszedł: jedzenie, mleko, dziecięcy blok rysunkowy, plastikową linijkę i dwie butelki wina śliwkowego. Odezwała się tylko raz, na widok wina.

-Ja nie piję.

-To popatrzysz na mnie. Chcesz coś? Owoce? Może *coś* na deser?

-Niczego nie chcę.

I zamilkła. Znowu zwiotczała jej twarz i poczuł się jeszcze gorzej. Gdy wsiedli do samochodu, poszperał w schowku na mapy, wyjął iPod i rzucił go jej na kolana.

-Wiesz, jak to działa?

-Zabrał mi mój.

-Tego nie zabierze.

Wzięła iPod, ale go nie włączyła.

Kiedy przyjechali do domu, poszła się kąpać. Nie powiedziała, że idzie ani nic, po prostu zniknęła w łazience i puściła wodę. Cole schował zakupy, położył na stole notatki i blok. Notatki wypełniały drugą stronę kartek z protokołu i zawierały szczegółowy opis wszystkich budynków, sklepów i warsztatów w pobliżu jej domu. Zaczął rysować plan, kwartał po kwartale, jeden kwartał na kartkę. Na każdy nanosił kwadraty symbolizujące domy i budynki. W każdy kwadrat wpisywał adres, nazwę firmy, numer telefonu i uwagi, jeśli jakieś miał.

Właśnie kończył pierwszy kwartał, gdy coś go zaniepo-

koilo. Szum wody ucichł. Ucichł już dawno, mimo to Larkin nie wyszła z łazienki.

Cole podszedł do drzwi i zapukał.

- Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała.

Poruszał klamką, ale drzwi były zamknięte. Zapukał jeszcze raz. Głośniej.

-Larkin?

-Kąpię się.

Przynajmniej nie podcięła sobie żył, zawsze to coś.

Wrócił do stołu i zabrał się do pracy. W wannie zabulgotało, potem znowu zaszumiała woda, ale pozwolił jej się moczyć. Jeśli chciała wyglądać jak suszona śliwka, jej sprawa. Jakiś czas później wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem, weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Cole skończył rysować plan jej ulicy i zajął się sąsiednimi. Był pewien, że Meesh i Kingowie nie znaleźli się tam bez powodu. Jechali dokądś albo skądś wracali i to „skądś” czy „dokądś” mieściło się w którymś z budynków na jego planie. Był przekonany, że podobnie myślą federalni, bo dwunastu z szesnastu ludzi, których on przesłuchał, przesłuchiwali również agenci Departamentu Sprawiedliwości. Pitman, Blanchette i co najmniej dwóch innych wypytywało ich o wypadek, o Kingów i Meesha.

Nie przykładał do tego wagi, dopóki nie przejrzał notatek, żeby odtworzyć czas i kolejność wydarzeń. Wtedy dostrzegł rozbieżność.

Larkin wyszła z sypialni dopiero godzinę później. Była w nowiutkich dżinsach za pięćset dolarów i w obcisłym podkoszulku Ramonesów. W rękę trzymała iPod. Bez makijażu i biżuterii wyglądała świeżo i czysto, i była na bosaka. Wyciągnęła się na sofie z nogami za podłokietnikiem, zamknęła oczy, włączyła iPod i zaczęła rytmicznie kiwać prawą stopą.

- Hej - rzucił Cole.

Otworzyła oczy.

- Ci z Departamentu Sprawiedliwości nie wiedzieli, że Meesh to Meesch, dopóki go nie zidentyfikowałam?

-Tak.

-Tak ci powiedzieli?

-Tak. Kiedy go w końcu rozpoznałam, skakali z radości.

Cole wrócił do swego planu, ale już nie pracował. Federalni przesłuchali dwunastu ludzi, całą dwunastkę nazajutrz po wypadku. Już nazajutrz. Wszyscy, cała dwunastka, powiedzieli mu, że pokazano im zdjęcia dwóch mężczyzn, a ich opisy całkowicie się z sobą zgadzały. Jakby jeszcze przed rozmową z Larkin Pitman wiedział albo podejrzewał, że to właśnie Meesh uciekł z miejsca wypadku i jakby skłamał, że tego nie wie.

Dwadzieścia minut później Cole dostrzegł jakiś ruch i podniósł głowę. Dziewczyna wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Już zmierzchało i Cole miał zaraz opuścić żaluzje.

- Jeśli jesteś głodna, zrobię kolację. Chcę tylko to skończyć.

Nie słyszała go. Popatrzyła na ulicę, stanęła bokiem i spojrzała w drugą stronę.

Cole rzucił w nią kawałkiem zmiętego papieru. Kiedy się odwróciła, dotknął ucha, żeby zdjęła słuchawki.

-Mówiłeś coś?

-Jeśli jesteś głodna, zrobię kolację.

-Nie zaczekamy na niego?

„Na niego”.

-Może późno wrócić.

-Nie, nie jestem głodna.

Wróciła na sofę i znowu się położyła, z tym że nie kiwała już nogą. Cole zajął się planem.

- On naprawdę był w Afryce?

Podniósł wzrok. Wciąż leżała na sofie, ale teraz patrzyła na niego. Zdziwił się, że Pike powiedział jej o Afryce. Nigdy



o tym nie wspominał, niechętnie mówił o tym nawet wtedy, kiedy jeszcze tam jeździł. Mówił: „Przez jakiś czas mnie nie będzie”, coś w tym stylu, on na to, dobra, i Pike zniknął. Parę tygodni później dzwonił i pytał, czy wszystko w porządku. On na to, że w porządku, a Pike: „Jakby co, to jestem już w domu”.

Długo nie odpowiadał i Larkin opatrzenie to rozumiała. Roześmiała się cynicznie i mruknęła:

- Tak myślałam.

Cole złożył kartki i odchylił się do tyłu. Odwalił kupę roboty i miał teraz więcej pytań niż odpowiedzi.

-Co ci powiedział?

-Że widział, jak jakaś kobieta obcinała sobie palce. Obrzydliwość, jak on mógł? Chciał mi zaszpanować? Próbował mnie nastraszyć? Ohyda.

- Co z kolacją? Zmieniłaś zdanie? Już skończyłem.

-Nie.

Objęła się wpół i wbiła wzrok w sufit.

-On jest żonaty?

-Nie.

-A był?

-Podkochujesz się w nim? No proszę, Larkin podkochuje się w Joem.

-Pytałam, ale nie odpowiedział. On tak zawsze. Pytam go o coś i wiem, że mnie słyszy, ale kompletnie mnie olewa. Nie lubię, kiedy ktoś mnie olewa. To niegrzeczne.

-Bardzo.

-To dlaczego to robi?

-Pytałem go, ale mnie olał.

-Larkin nawet się nie uśmiechnęła.

-A więc on ciągle milczy, a ty ciągle żartujesz, tak?

-Może uważa, że to nie twoja sprawa i dlatego milczy.

- Nie może ze mną porozmawiać ze zwykłej uprzejmości? Jestem skazana na niemowę. Na niemowę, który ni-

gdy się nie śmieje. Który się nawet nie uśmiecha. I zamiast twarzy ma drewnianą maskę.

-Poważnie? Przy mnie ryczy ze śmiechu, nie sposób go uciszyć.

-To mało zabawne. Jesteś jednym z tych, którzy uważają się za zabawnych, ale nimi nie są. Nudzę się, a on przywozi mnie gdzieś, gdzie nie ma telewizora.

-Fakt, życie bez telewizora to piekło.

- Wiedziałam, że to powiesz. Jesteś jego przyjacielem. Cole parsknął śmiechem.

-Przywykłaś do tego, że wszyscy próbują ci zaimponować. Że próbują cię rozbawić, zabawić, zwrócić twoją uwagę, że chcą ci się przypodobać. Ale nie myśl, że robią to dlatego, że jesteś interesująca. Bo nie jesteś. To on jest jednym z najbardziej interesujących ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałaś i spotkasz. Ale jemu nie chce się po prostu cię zabawiać, więc cię nie zabawia.

-Dlatego się nudzę.

-Poczytaj coś. Czyżby piękne, bogate laski nie umiały czytać?

Larkin wykrzywiła usta.

-Dużo mówisz. Czy to znaczy, że próbujesz mnie zabawić?

-To znaczy, że próbuję zabawić samego siebie. Bo ty jesteś trochę nudna.

Larkin wstała i znowu podeszła do okna.

-Powinien już chyba wrócić.

-Jeszcze wcześniej.

Usiadła na sofie, ale tym razem podciągnęła i skrzyżowała nogi. Cole widział, że coś ją dręczy. Miała zmarszczone brwi, jakby myślała, że on coś przed nią ukrywa.

-A więc to prawda? Był w Afryce?

-Wiele razy. Zjeździł cały świat.

-Ale dlaczego?

-Obciął jej palce? To nie on.

-Nie, dlaczego został najemnikiem? Zrozumiałabym, gdyby wzięli go do wojska, i w ogóle, ale tak? To chore, żeby brać kasę za udawanie żołnierza.

-On nie udaje. Jest zawodowcem.

-To obrzydliwe. Ci, co lubią takie rzeczy, są kompletnie porąbani.

-To zależy, co robią i dlaczego.

- Usprawiedliwiasz go. Pewnie jesteś porąbany tak jak on. Jej pewność siebie spodobała się Cole'owi tak bardzo, że aż się uśmiechnął.

-Ta kobieta z Afryki... Mówił ci, co tam robił?

-Zwariowałeś.

-Dalej chcesz wiedzieć?

Spojrzała na niego, jakby wyczuła jakiś podstęp, ale gdy w końcu kiwnęła głową, opowiedział jej, jak było. Tylko tę jedną historię. Znał ich dużo więcej.

- W Afryce Środkowej, głównie w Ugandzie, graso wała banda zwana Armią Bożego Oporu. Porywali dziewczęta. Pojawiali się jak spod ziemi, wpadali do wioski, strzelali do wszystkich z karabinów maszynowych, plądrowali domy i chwyтали nastoletnie dziewczęta. Nie jedną czy dwie, ale wszystkie. Uprawdzili setki dziewcząt. Robili z nich niewolnice, gwałcili je, i tak dalej. To Trzeci Świat, Larkin. Nie to, co tutaj. Tak jak tutaj nie ma prawie nigdzie. Rozumiesz?

Kiwnęła głową, ale wyczuł, że nie rozumie i że nie może zrozumieć. Zamiast policji tamci mieli watażków. Nie mieli ani republikanów, ani demokratów - mieli plemiona. W Rwandzie jedno plemię upatrzyło sobie drugie i w ciągu trzech miesięcy wycięło w pień milion ludzi. Jak może to zrozumieć Amerykanka?

- Mieszkańcy tych wiosek to głównie rolnicy, zwykli chłopi. Mają tylko po kilka sztuk bydła, ale czasem skrzykują się i zrzucają na różne cele. I kiedyś wykombinowali,

że dobrze by było zrzucić się na zawodowców, żeby wreszcie przegnali tych kidnaperów. I tak trafił tam Joe. Przyjechali po południu, on i pięciu innych; tak, było ich chyba sześciu. Tego samego dnia rano ci z Bożego Oporu napadli na sąsiednią wioskę i znowu uprowadzili dziewczęta. Zamordowali męża tej kobiety i jej synów. Wtedy obcięła sobie palce. To była pierwsza rzecz, jaką Joe zobaczył po przyjeździe.

Larkin patrzyła na niego tak, jakby spodziewała się ciągu dalszego, ale kiedy Cole zamilkł, zwilżyła usta.

- I co zrobił?

Cole wiedział co, ale postanowił to uprościć.

- Swoje. Napady ustały.

Larkin spojrzała w okno, ale na dworze już pociemniało i w szybach odbijało się światło z pokoju.

- Zgłodniałem - powiedział Cole. - Zjesz coś?

Chciał iść do kuchni. Chciał napić się wina i zacząć go tować, ale ona wciąż spoglądała w okno i oblizywała usta.

-Często to robił?

-Zjeździł cały świat.

-Dlaczego?

-Dlaczego brał tę robotę?

Larkin kiwnęła głową.

-Bo jest idealistą.

W końcu na niego spojrzała.

-Dalej uważam, że to upiorne. Nie robiłby tego, gdyby nie lubił.

-Pewnie nie. Ale chyba lubi to inaczej, niż myślisz.

Chodź, zjedzmy coś.

Odwróciła się do okna.

- Zaczekam na niego.

Cole wszedł do kuchni, ale nie zaczął gotować. Myślał o Pitmanie. Pitman sprzedał Larkin i jej rodzinie wersję wydarzeń, która nie odpowiadała faktom ani teraz, ani -

co bardzo prawdopodobne - nigdy przedtem. Cole przy-  
łapał go na kłamstwie i zastanawiał się, czy agent skłamał  
tylko raz.

17

### *John Chen*

Wydział badania broni palnej nazywano zbrojownią. Wchodziło się tam i nie widziało, nic, tylko broń. Na wszystkich ścianach, od podłogi po sufit, wisiały szafki z setkami pistoletów i rewolwerów. Pistolety i rewolwery sterczały z nich jak kolce gigantycznego jeża albo drzewa, rzędy pistoletów i rewolwerów nadzianych lufą na drewniany pali, rewolwer obok rewolweru, pistolet obok pistoletu - przechowywano je tak, bo przez te straszliwe opóźnienia nie można było przechowywać ich inaczej - każdy z zawieszka na spuście, każda zawieszka z marką i numerem seryjnym. Wszystkie kiedyś skonfiskowano, wszystkich użyto - na pewno lub prawdopodobnie - do popełnienia przestępstwa. Było to żniwo krwi i goryczy.

John rozejrzył się po korytarzu, przeklinając wrodzonego pecha. Nie znosił zostawać po godzinach, ale eksperci, ci od palnej, byli tak obłożeni pracą, mieli tak duże opóźnienia, że ta suka Harriet ciągle ich poganiała, dlatego ciągle siedziała w zbrojowni i dlatego on, Chen, musiał zjechać, aż wreszcie pójdzie do domu, ale Harriet wychodziła z pracy dużo później niż pozostali, bo ona też była zawalona robotą i miała opóźnienia. Żeby było jeszcze gorzej - a gorzej było zawsze i wiedział już, że taki jego los - Pike buzował się pewnie i doprowadzał do morderczego szafu, bo Chen nie zadzwonił do niego w sprawie tych pistoletów. Wyobraził sobie rozwścieczonego Pike'a i żołądek podje-

chał mu do gardła. Pike był potworem, zabijał z zimną krwią i skrzyłby mu kark jak zapałkę...

...i jeśli skreśli, to tylko przez nią, przez Harriet Munson. Przez tę wredną sukę.

Nie dalej jak poprzedniego dnia był pewny, że zdąży wszystko załatwić, że jeszcze trochę i kupi sobie lepszy cipkowóz, ale nie. Zaraz po odjeździe Pike'a popędził do laboratorium, by heroicznie obwieścić, że wraca do pracy. Zamierzał przekabacić jednego z rzeczoznawców, żeby, pomijając kolejkę, zbadał broń i łuski z Eagle Rock, ale nie zdążył. Wpadł do laboratorium, zaczął opowiadać o złamanym zębie i bohaterskiej walce z bólem, i co ta suka zrobiła? Wysłała go w teren - natychmiast, od razu, z mety, nie pozwoliła mu się nawet wysikać. Zabójstwo podczas awantury domowej w Pacoima - Jezu Chryste! A potem, jakby tego było mało, kazała mu jechać do Atwater, bo znaleziono tam trupa z czaszką wgniecioną jak przejrzały melon, bezdomnego znad rzeki, którego ani chybi załatwił równie bezdomny koleś, pewnie za to, że tamten odbił mu dupę, ukradł prochy albo wlaź na jego teren. Czy tak nagradza się kogoś, kto mimo złamanego zęba przyszedł do pracy? Ostatecznie Harriet nie wiedziała, że udawał! Do domu wrócił dopiero o północy, a potem, nazajutrz - to znaczy dzisiaj - ta kłępa przez cały dzień siedziała w zbrojowni. Snuła się tam jak duch świąt Bożego Narodzenia, a on przez cały dzień umierał ze strachu, bo Pike na pewno krążył w pobliżu, na pewno niecierpliwie czekał i był coraz bardziej zły - na niego.

Nerwy zżerały go prawie do wieczora, bo wtedy Harriet wreszcie poszła do domu i wreszcie otworzyła się przed nim szansa. Teraz wystarczyło tylko namówić tę babę - tę drugą, ekspertkę od broni - żeby pominęła kolejkę i zbadała dowody rzeczowe z Eagle Rock, i miałby Pike'a z głowy.

Przyszedł przygotowany.

Tego dnia dyżur miała wysoka, chuda jędra o pożółkłych zębach i blisko osadzonych oczach. Nazywała się Christine LaMolla. Chen był przekonany, że LaMolla jest lesbijką.

Prześlizgnął się korytarzem, sprawdził, czy nikt nie nadchodzi i wcisnął guzik dzwonka; ponieważ w zbrojowni było pełno broni, drzwi zawsze zamykano. Kiedy kliknął elektryczny zamek, pchnął je i wszedł do środka.

LaMolla oderwała wzrok od monitora i bez uśmiechu spojrzała na jego rękę. Lesbijki nigdy się nie uśmiechają.

Podał jej kubek; kilka minut wcześniej podskoczył do najbliższego Starbucksa i kupił największy. Nawet lesbijki lubią gorącą czekoladę.

Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

-Dla ciebie.

-O nic nie prosiłam.

Chen uśmiechnął się jeszcze szerzej, za nich dwoje.

- Wiem, że dużo pracujecie. Pomyślałem, że czekolada dobrze ci robi.

LaMolla zerknęła na kubek, jakby przyprawił czekoladę kwasem. Kiedyś zaprosił ją na randkę, ale z miejsca odmówiła. Stara lesba.

Teraz patrzyła na niego z taką samą podejrzliwością jak wtedy. Kubka nie tknęła.

- Czego ty chcesz, John?

-Strzelanina w Eagle Rock. Muszę obejrzeć tę broń.

Tak po prostu, jakby nigdy nic. On, pan Nonszalancki.

LaMolla jeszcze bardziej zmrużyła oczy.

-Nie zajmowałeś się tą sprawą.

- Nie, ale natrafiłem na coś w innej i myślę, że jest między nimi związek.

LaMolla przeszła go wzrokiem i wreszcie wzięła kubek. Powąchała czekoladę - ale jej nie spróbowała - i podeszła do drzwi. Trzasnęła zasuwą i oparła się o nie, odcinając mu drogę ucieczki.

John pomyślał - nagle i z odrobiną, może nawet więcej niż odrobiną nadziei - że może jednak LaMolla nie jest lesbijką, że może wszystko się odmieni i już zawsze będzie miał szczęście. Posłał jej uśmiech...

...ale wtedy LaMolla wrzuciła kubek do kosza na śmieci i skrzyżowała ręce.

- Co się tu, kurwa, dzieje?

Chen nie wiedział, co powiedzieć, nie był nawet pewny, o co jej chodzi.

-Tu? Gdzie?

-Z tym Eagle Rock.

Jej blisko osadzone oczy wyglądały jak ślepiec drapieżnego ptaka. John był zbity z tropu i próbował to ukryć, robiąc minę... kogoś zbitego z tropu.

- A tak, Eagle Rock. Muszę obejrzeć tę broń. To nic takiego.

Znowu przeszła go wrokiem i aż się skurczył. Wiedział, że jeśli będzie patrzyła tak dalej, jego tik odpali jak piła elektryczna i będzie po ptakach. Wzruszył ramionami. Potrząsnął głową. Cały cyrk, żeby zrobić z siebie niewiniątko.

-Kurczę, chcę tylko obejrzeć tę broń. Co się dzieje?

-Właśnie o to pytam.

-Co znaczy, pytam? Jezu Chryste, pokażesz mi te spluwy czy nie?

LaMolla powoli pokręciła głową.

-Federalni je zabrali.

Chen zamrugał.

-Federalni?

- Uhm. Trzy półautomaty i rewolwer z Eagle Rock. Ale wiesz, co jest naprawdę dziwne? Dwa dni temu zabrali sam rewolwer. Przyszli wieczorem i wzięli tylko rewolwer, colta pythona trzysta pięćdziesiąt siedem. A wczoraj rano wrócili po resztę.

Chen zamrugał jeszcze szybciej. Szanse na karierę za bulgotały, zawirowały i spłynęły do ścieku. Niczym błys-



kawica na dalekim horyzoncie mignęła wizja niedoszłego bzykanka z Ronda. Ale wizja dobierającego mu się do tyłka Pike'a zniknąć nie chciała. Pike'a się nie zawodziło. Pike'owi się nie odmawiało. Pike umiał się zemścić.

- Przecież to są dowody rzeczowe policji! - wypalił. - Federalni nie mogą ich zabierać. To są nasze dowody!

- Mogą, jeśli pozwoli im komenda główna.

- I komenda pozwoliła?

LaMolla powoli skinęła głową, wciąż obserwując go malutkimi oczkami.

- Wiem tylko tyle, że Harriet miała telefon; nie chciała powiedzieć nic więcej. Już tę broń skatalogowałam i wciąż nęłam do ewidencji, ale ci z piątego piętra kazali ją wydać.

Piąte piętro komendy głównej policji Los Angeles to ośrodek władzy, królestwo zastępców komendanta.

- No więc ją wydaliśmy. Przyszli, wzięli i poszli.

John zaczynał się gorączkować. Rozpaczliwie myślał, próbując wymyślić coś, co udobruchałoby Pike'a i nagle wymyślił.

- A łuski? Zabrali łuski?

Zebrane na miejscu przestępstwa łuski badano i porównywano, podobnie jak broń.

Ale LaMolla znowu pokręciła głową, świdrując go oczami, jakby wciąż czegoś w nim szukała.

- Wzięli wszystko. Nawet łuski.

Chen zastanawiał się, dlaczego ta lesba tak na niego patrzy i nagle ożyła w nim odrobina ponurej nadziei.

- I żadnej, no, wiesz... nie schowałaś? Nie zatrzymałaś dla siebie? Ani jednej?

LaMolla westchnęła, ciężko i powoli.

- Zatrzymałam dwie, ale sprawdzili listę dowodów rzeczowych. Obejrzelili wszystkie, więc musiałam je oddać. Ale wiesz, co jest najdziwniejsze?

Chen nie wiedział.

- Nie potwierdzili odbioru.

Ilekcroć dowody rzeczowe przenoszono lub przekazywano innemu wydziałowi czy agencji, odbiorca musiał pokwitować odbiór. Była to standardowa procedura. Dzięki niej zawsze wiedzano, gdzie jest jaki dowód. Dzięki niej nie można ich było sfałszować. Ani zgubić. Ani wykraść.

- Przecież musieli!

LaMolla uniosła brew.

-Nie, John, nie musieli. A zaraz po nich przychodzisz tu ty i pytasz o tę samą broń. I o łuski. Co jest grane?

-Nie wiem.

LaMolla najwyraźniej mu nie uwierzyła, bo powiedziała tylko:

- Hmm.

Pike sugerował istnienie jakiegoś spisku, ale Chen myślał wtedy, że chodzi o paru skorumpowanych gliniarzy. Teraz wyglądało na to, że w sprawę w miesza li się federalni i ci z komendy głównej, chociaż nikt nie wiedział, po co ani d laczego i chociaż robili rzeczy, których żadna legalnie działająca agencja nigdy by nie zrobiła. System ewidencji dowodów rzeczowych był święty i nienaruszalny, a tu dowody wzięły i zniknęły.

Johna ogarnął strach, strach prawdziwy i niemający nic wspólnego z tym poprzednim, przesadnym i melodramatycznym.

Nie była tego warta żadna carrera. Żadna praca w telewizji ani nawet najbardziej wystrzałowa laska, która dałaby się na to złapać. Pocz uł się nagle jak w potrzasku, jak w klaustrofobicznym koszmarze, w którym główną rolę odgrywał maniaka lny morderca (Pike), organizacje federalne (gdzie ro iło się od znanych zabójców) oraz tajemnicze siły z komendy głównej policji w Los Angeles (które wciąż ukrywały prawdę o prawdziwych zabójcach Czarnej Dalii) -żadnemu z tych ludzi nie można było zaufać, a każdy mógł

jednym ruchem palca zniszczyć mu karierę albo odebrać życie. Zaszło mu w ustach. Zatrzęsły mu się ręce. Ożył nerwowy tik pod lewym okiem, bo oto ujrzał swoją przyszłość: LaMolla donosi Harriet, że pytał o broń z Eagle Rock, Harriet pędzi z tym do komendy głównej i nagle śledztwo skupia się na nim. Albo dzieje się coś jeszcze gorszego.

Chciał coś powiedzieć, ale język przyrósł mu do podniebienia. Zebrał trochę śliny.

- Chyba nie... Chris, chyba nie powiesz o tym...

Harriet

nie musi o tym...

Wciąż patrząc na niego tymi spokojnymi, drapieżnymi oczami, LaMolla rozłożyła ręce niczym Mojżesz nad brzegiem Morza Czerwonego.

- To jest zbrojownia. Zbrojownia jest moja. Te wszystkie pistolety i rewolwery też są moje. Dowody rzeczowe? To są moje dowody rzeczowe. Nie lubię, jak ktoś mi je zabiera. I nie podoba mi się, że wiesz na ten temat coś, czego ja nie wiem.

Opuściła ręce i stanęła z boku.

- Zmiataj. I nie wracaj bez konkretów.

Minał ją i wypadł na korytarz. Pobiegł prosto do samochodu, wskoczył do środka i zamknął drzwiczki. Odpalił silnik, ale zamiast ruszyć, zacisnął ręce na kolanach, trzęsąc się ze strachu. Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie, tak jak wtedy, kiedy był wysokim, nedorobionym dzieciakiem, z którego nabijały się inne dzieciaki. Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie, a cios mógł paść z każdej strony. Tak jak wtedy, kiedy był mały. Bo wystarczyło, że gdzieś szedł, do szatni w szkole czy na drugą stronę parkingu, a ktoś rzucał w niego grudą ziemi. Ot, tak po prostu, nie wiadomo kto, nie wiadomo dlaczego ani skąd: trach, prosto w głowę, i już. Tak było zawsze. Zawsze.

Wyjął komórkę. Drżały mu ręce i z trudem przesunął spis numerów w książce telefonicznej, ale Pike kazał mu za-

dzwonić do Elvisa Cole'a. Broń zginęła i Pike pomyśli na pewno, że to jego wina. Mało tego, pomyśli, że wyszał to wszystko z palca i wpadnie w morderczy szal. Ale Cole był jego przyjacielem i Chen łudził się nadzieją, że nie pozwoli go zabić. To była jego jedyna szansa. Jego ostatnia deska ratunku. Wszyscy wiedzieli, że Joe Pike to potwór.

## 18

Gdy zajechał przed dom, było już cicho, a nad koroną stadionu Dodgersów wisiała fioletowa poświata. Było cieplej niż poprzedniego wieczoru, ale przy samochodzie pod uliczną latarnią stało tych samych pięciu mężczyzn, a na gankach sąsiednich domów siedziały te same rodziny, słuchając głosu Vina Scully'ego komentującego przebieg gry, o której przed kilku laty wielu z nich nic jeszcze nie wiedziało. Nigdzie nie dostrzegł żółtej corvetty, ale Cole zaparkował na pewno na sąsiedniej ulicy. Dom, oświetlony przez latarnie i żółto-brunatne okna, wyglądał jak ciemny prostokąt na tle głębokiej czerni.

Zostawił samochód na podjeździe i ruszył w stronę ganku. Mężczyźni spojrzeli na niego, lecz nie było to spojrzenie groźne czy zaczepne.

Na ganku, osłoniętym przed światłem latarni, było jak w jaskini. Otworzyły się drzwi i w progu stanął Cole. Pike poczuł zapach mięty i curry i zastanowiło go, dlaczego Cole wyszedł mu na spotkanie.

- No i? - Zniżył głos, żeby nie słyszeli go ci na ulicy.

Pike opisał mu dwóch mężczyzn, którzy przeszukali jego dom, i pokazał mu zdjęcia. Cole uchylił drzwi, żeby lepiej widzieć i znowu je zamknął. Tym razem Pike zdążył dostrzec Larkin, która stała w kuchni z iPodem na szyi. Kazał jej się go pozbyć na pustyni.

-Skąd ona ma iPoda?

-To mój. Zrobiłem curry, pewnie jesteś głodny. My już jedliśmy.

Pike schował zdjęcia. Curry. Brzmiało nieźle. Ale wtedy Cole odszedł od drzwi i jeszcze bardziej zniżył głos.

- Dzwonił John Chen. Rozmawiałeś z nim?

-Wczoraj.

Cole zerknął na drzwi, jakby podejrzewał, że Larkin stoi tam z uchem przy szparze.

-Federalni zabrali dowody rzeczowe z Eagle Rock. Broń, łuski, wszystko.

-Pitman?

-Chen wie tylko, że federalni.

-Zdażył coś sprawdzić?

-Nie, byli szybsi. A teraz najdziwniejsze: nie pokwitowali odbioru. Chen twierdzi, że zadzwonił do nich ktoś z komendy głównej i kazał im to wydać. Bez żadnych pytań.

Pike uniósł brew.

-Bez żadnych pytań.

-Ci z wydziału zabójstw nie ustąpiłoby tylko dlatego, że Pitman jest z Departamentu Sprawiedliwości. Odpada: mają pięć niezidentyfikowanych trupów. Ktoś musiał przystawić im pistolet do głowy; żart niezamierzony.

Pike się z nim zgodził. Pitman poszedł na całość, żeby zdobyć bezwartościowe dowody rzeczowe. Sensowniej by było poczekać, aż policja je zbada. Gdyby niczego nie znaleźli, broń nie miałaby żadnego znaczenia. A gdyby na coś natrafili, Pitman mógłby to wykorzystać. To, że skonfiskował rewolwer i pistolety, zwróciło uwagę policji na śledztwo, które chciał utrzymać w tajemnicy.

-Boi się - powiedział Pike.

-Tak. Chce, żeby policja trzymała się od tej broni z daleka, to jedyny powód. Albo poza śledztwem w sprawie Kingów ukrywa coś jeszcze.

-Na przykład?

-Nie wiem. Ale wiem, że kłamie.

Pike próbował wyczytać coś z jego twarzy. Nawet po ciemku, w głębokim cieniu, widział, że Cole jest zaniepokojony.

-To zabawne, że zwrócił mój rewolwer.

-Próbuje cię kupić. Poza tym twoim rewolwerem nie napyta sobie biedy. Twój rewolwer może napytać biedy tylko tobie. Pewnie kazał go przystrzelać i jeśli szykuje jakiegoś haka, sprawdzi, czy pasują do niego kule z tych ciał.

-Haka?

Cole znowu zerknął na drzwi i podszedł jeszcze bliżej.

- Okłamał Larkin i jej ojca. Pamiętasz, co im powie dział? Że dowiedzieli się o Meeshu dopiero wtedy, kiedy go zidentyfikowała.

Pike kiwnął głową. Tak powiedział mu Bud i ona.

- Zanim ją przesłuchali - ciągnął Cole - obeszlą całą ulicę i nie pytali tylko o Kingów. Pytali o Meesha. Nie wspominali o nim z nazwiska, ale już wtedy podejrzewali, że to on uciekł z miejsca wypadku.

Pike spojrział na mężczyzn pod latarnią. Wsłuchał się w ich poważne głosy i zrozumiał, że Cole wyszedł na ganek tylko po to, żeby mogli porozmawiać bez Larkin.

-Skąd wiesz?

-Od sześciu czy siedmiu osób, z którymi gadałem. Agenci z Departamentu Sprawiedliwości, tak mówili. Jeden czarny, drugi biały, pokazywali im zdjęcia dwóch mężczyzn. Prosiłem, żeby ich opisali i jestem pewien, że to King i Meesh.

-Pitman i Blanchette wypytywali o nich przed rozmową z Larkin?

-Tak. Nie byłem tego pewien, ale przejrzałem notatki, sprawdziłem czas i teraz już jestem. Wiedzieli, że Meesh był z Kingiem. Wiedzieli, że to on, zanim Larkin go zidentyfikowała.

Pike wziął głęboki oddech, zastanawiając się, dlaczego Pitman i Blanchette wprowadzili ją w błąd. Musiała dużo dla nich znaczyć, ale jeśli wiedzieli o Meeshu, może nie była ich jedynym świadkiem. Może pozostałych zabito. Bardzo mu się to nie podobało, ale nie miało żadnego wpływu na jego misję. Znaleźć Meesha. Wyeliminować zagrożenie. Ochronić dziewczynę. Z Pitmanem i Blanchette'em mógł rozprawić się później.

Ruchem głowy wskazał drzwi.

-Ona wie?

-Pomyślałem, że nie warto jej straszyć policją, boi się i bez tego. Dowiemy się, dlaczego Pitman skłamał, może wtedy.

-Dobra. Pojedźmy tam jutro, na jej ulicę. Chciałem poszukać śladów Meesha, ale Pitman jest ważniejszy.

- Nie spodoba jej się to. Była zła, że ją zostawiłeś.

Pike spojrzął na drzwi. Zastanawiał się, czy Larkin wciąż jest w kuchni. Czy wciąż słucha iPod'a.

- Powiedziałeś jej o Afryce - dodał Cole.

Pike zerknął na jego twarz. Cole się uśmiechał.

- Jak już mówisz jej o Afryce, mów o zebrach i lwach. A nie o kobietach obcinających sobie palce.

Pike nie wspominał mu, że chciała się przy nim masturbować. Nie dlatego, że Cole by się zawstydził, tylko dlatego, że jemu byłoby wstyd za nią.

- Ładnie pachnie. Curry?

Cole uśmiechnął się szerzej i otworzył drzwi. Larkin leżała na sofie ze słuchawkami na uszach. Miała zamknięte oczy, ale spojrzała na nich, kiedy weszli.

- Jak leci? - spytał Pike.

Nie usiadła ani się nie odezwała. Podniosła rękę, zrobiła nią w powietrzu coś na kształt fali i znowu zamknęła oczy. Stopą wybijała rytm. Była ciągle wkurzona.

Cole wyszedł kilka minut później i Pike zajrzał do kuchni. Na kuchence stało curry z warzyw z ryżem. Zjadł je prosto z garnka. Na zimno. Kiedy skończył, nalał do kubka wina śliwkowego, wypił i otworzył butelkę wody mineralnej. Właśnie pił wodę, kiedy w drzwiach stanęła Larkin.

- Idę spać.

Kiwnął głową. Chciał coś powiedzieć, ale wciąż się zastanawiał, dlaczego Pitman postawił ją w takiej sytuacji. Meesh był mordercą, lecz jego ściganiem i oskarżeniem zajmowały się sądy stanowe w Kolorado. Dla Pitmana Meesh był niczym więcej jak patentem na dorwanie Kingów. To na nich polował, ale polował pod zarzutem prania brudnych pieniędzy. A więc chodziło o kasę. Narazał życie Larkin dla kasy i jakimś sposobem zdołał wciągnąć w tę grę miejscową policję. Jak na funkcjonariusza federalnego średniego szczebla, prowadzącego śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy, miał cholernie duże wpływy. Pike zastanawiał się, czy wie o tym Bud.

Larkin odwróciła się bez słowa i poszła do siebie. Pike się ogolił, wymył zęby i wyczyścił je dokładnie nicią dentystryczną. Potem wziął prysznic. Zabrał do kabiny brudne ubranie i wyprał je mydłem pod bieżącą wodą. Wykręcił, rozwiesił i włożył świeże. Umył okulary, włożył je i przejrzał się w lustrze. Miał za długie włosy. Prawie trzy centymetry, bo dotykały już uszu. Zawsze nosił krótkie. Niedługo będzie musiał obciąć.

W domu zapadła cisza, w której pustka zdawała się jeszcze głębsza. Sprawdził okna i drzwi, zgasił światło i usiadł w fotelu. Przez chwilę siedział tam po ciemku, potem przeniósł się na sofę.

Położył pistolet na podłodze, żeby mieć go pod ręką, wyciągnął się i zamknął oczy. Sofa wciąż była ciepła, a jej ciało pozostawiło miękkie wgłębienie.



## *Larkin Barkley*

Obudził ją Jethro Tuli. Wychynęła ze snu, kiedy lew zniknął w suchej trawie i zdjęła słuchawki, myśląc: nic dziwnego, że w latach sześćdziesiątych wszyscy byli ciągle nawaleni, skoro ówczesne zespoły śpiewały o chorobach. Ale potem, wciąż bardziej we śnie niż na jawie, znowu dostrzegła lwa, jego zrytą bliznami głowę w gęstej trawie, zakrwawiony pysk, potężne mięśnie barków, które w ostatnich chwilach mglistego snu naprężyły się, napięły i znikły.

Leżała, budząc się powoli w ciemności, a obudzwszy się, poczuła, że chce jej się pić i siusiu.

W domu było ciemno, więc pomyślała, że Pike śpi albo stoi gdzieś w ten upiorny sposób, więc poszła prosto do łazienki. Zanim zapaliła światło, zamknęła drzwi. Na rurce prysznicza wisiało jego ubranie, ale nie zaprzętała tym sobie głowy. Zrobiła siusiu i napiła się wody z kranu, chwytając ją w dłonie. Potem zgasiła światło, otworzyła drzwi i wtedy to usłyszała.

Z saloniku dobiegało ciche, rozpaczliwe pojękiwanie i szelest materiału trącego o materiał. Zawahała się, wyężyła słuch i gdy oczy przywykły do ciemności, ostrożnie ruszyła w tamtą stronę.

Spał na sofie. Miał stężałe ciało i sztywno wyprostowane ręce, szarpał się i drżał. Nawet po ciemku zobaczyła, że rzuca głową z boku na bok i ma spocone czoło, że zza mocno zacisniętych zębów wydobywają się sykliwe pomruki.

Coś mu się śni, pomyślała. O Chryste. Ma koszmary.

Obudzić go? Nie pamiętała, czy można budzić kogoś, komu śni się coś złego. Może nie powinna.

Nie wiedząc, co robić, podeszła bliżej. Poruszał nogami, jakby biegł, ale biegł po klejącej się ziemi, jak to w kosz-

marnym śnie. Ręce zacisnęły mu się niczym szpony, zatrzęsły się i zadygotały, oczy poruszyły się gwałtownie pod powiekami. Pomyślała: rany, to chyba koszmar koszmarów. Wyglądało tak, jakby walczył o życie.

I wtedy przemówił. Nic z tego nie zrozumiała, ale była pewna, że te jęki i pochrząkiwania to słowa.

-Ta...

Tak to zabrzmiało. „Ta”. „Ta” albo „Da”.

Nachyliła się, żeby lepiej słyszeć, ale usłyszała tylko bełkotliwe mamrotanie.

Powoli, stopniowo zaczął się uspokajać. Przestał się szarpać. Rozluźnił ręce. Przestał rzucać głową.

Pochyliła się jeszcze bardziej i wtedy wymamrotał:

-Ta... Ta...

Tata?

Czekała, ale zamilkł i pomyślała, że to niemożliwe. We śnie ludzie wygadują różne bzdury. Ktoś taki jak on też mógł mieć koszmary, ale na pewno nie o swoim tacie. Trudno było sobie wyobrazić, że on był kiedyś dzieckiem.

Patrzyła na niego. Już się uspokoił, oddychał równo i spokojnie, ale twarz miał wciąż boleśnie wykrzywioną. Nie, nie boleśnie. Wykrzywioną ze strachu. Śniło mu się coś złego. W złych snach boją się nawet tacy jak on.

Chciała go dotknąć. Chciała wyciągnąć rękę, tak jak chce się wyciągnąć rękę do wielkiego zwierzęcia za kratami w zoo.

Stała przy nim jeszcze chwilę, a potem po cichu wróciła do siebie.

**Dzień trzeci**

**KASA**

Wyszła z pokoju, kiedy czyścił pistolet przy stole. On wstał trzy godziny wcześniej. Było dziesięć po ósmej.

Jak co rano miała podpuchnięte, wyblakłe oczy, ale tego dnia nie była naga. Miała na sobie obszerny podkoszulek, którym owinęła uda. Zmarszczyła nos.

- Jezu. Czuć to aż w sypialni. Wąchasz, żeby się naćpać?

Pike rozłożył pistolet na części. Lufa, przetyczka sprężyny powrotnej i prowadnica, blokada suwadła, suwadło, metalowy szkielet i magazynek leżały na papierowej torbie z tajskiego sklepu, którą zostawił Cole. Czyścił lufę silnym preparatem do usuwania resztek spalonego prochu. Preparat pachniał przejrzałymi brzoskwiniami i zapach ten bardzo się jej nie podobał. Narzekała nań od pierwszej nocy. A on czyścił broń codziennie.

- Jest kawa - rzucił.

Na stole leżała komórka. Czekał na Cole'a, bo mieli spotkać się pod jej domem. No i musiał zadzwonić do Buda. Chciał powiedzieć mu o Pitmanie, żeby Bud się dowiedział, co Pitman zrobił z pistoletami. Bud wciąż miał dojścia do odpowiednich ludzi. Nawet tych z komendy głównej.

-W nocy coś ci się śniło - powiedziała. - Miałeś koszmary.

-Nie pamiętam.

-Okropne. Chciałam cię obudzić, ale nie wiedziałam, czy...

-Nie szkodzi.

Nigdy nie pamiętał, co mu się śniło. Kiedy się budził, nie mógł już zasnąć.

- Muszę sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Zacznijmy od początku...

Przewróciła oczami i skrzyżowała ręce.

-Tylko nie od początku. Początek był potworny. Środek i to, gdzie teraz jesteśmy, też nie są lepsze.

-Ile dni po wypadku przyszli do ciebie Pitman i Blanche?

-Trzy.

-Nie nazajutrz czy dwa dni po?

-Czy my już tego nie przerabialiśmy?

-Jest wiele niejasności.

-Wiesz, jak trudno jest znaleźć wolne pięć minut w kalendarzu mojego ojca? Czy jego adwokata? Ludzie nie wpadają do nas tak z ulicy. Nie da rady. Najpierw trzeba się umówić. A oni przyszli na trzeci dzień.

Pike skończył czyścić lufę i sięgnął po metalowy szkielet. Czekaając, aż preparat w lufie rozpuści zapieczone drobinę prochu, zajął się pozostałymi częściami.

-Aha. A więc przyszli i zaczęli wypytywać o pasażera Kingów?

-Tak. O wypadek, jak to się stało, i tak dalej. I o to, kto był z Kingami w samochodzie. Prowadzili śledztwo w ich sprawie.

-I nie wiedzieli, że to był Meesh?

-Wiedzieli tylko to, co było w protokóle. Chcieli zidentyfikować tego pasażera. Chryste, nie wypłam nawet kawy.

-Jadę do ciebie, żeby porozmawiać z ludźmi, których znalazł Elvis. Potem jestem umówiony z Budem.

Nie odpowiedziała. Chwilę powstała, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem poszła do kuchni.

Skończył czyścić szkielet pistoletu. Nasączył szmatkę preparatem i zabrał się do suwadła, wcierając płyn w każde wyżłobienie i wcięcie, polewając nim obficie zamek.

Wróciła z kubkiem kawy. Bez słowa usiadła przy stole naprzeciwko niego. Podniósł wzrok i zobaczył, że go obserwuje. Miała poważną minę.

-Chcesz mi pomóc? - spytał.

-Nie znoszę broni.

Starł z suwadła nadmiar preparatu i znowu zajął się lufą. Wziął wycior, wsunął go do otworu wylotowego, przeciągnął do komory, a potem odwrotnie, od komory do otworu wylotowego. Potem wyczyścił przewód lufy czystym bawełnianym przecierakiem zanurzonym w preparacie.

-Musimy porozmawiać - powiedziała Larkin.

-Dobra.

-Nie podobało mi się, że mnie wczoraj zostawiłeś. Gdybyś powiedział, co chcesz zrobić, nie miałabym pretensji, ale nie powiedziałeś. Ty ze mną nawet nie rozmawiasz. Zgoda, nie lubisz gadać. Mogę to zrozumieć. Elvis mówi, że z nim też niechętnie rozmawiasz. Dobrze. Ale jestem już dorosła. Ci ludzie próbują zabić mnie, a nie kogoś innego. Nie potrzebuję niańki i nie chcę, żeby traktowano mnie jak dziecko. To kwestia zaufania. Właśnie to chcę powiedzieć, że mamy problem braku zaufania i musimy go jakoś rozwiązać. Siedzimy w tym parszywym domku i albo jest tu bezpiecznie, albo nie. Jeśli uważasz, że nie jest, jedźmy gdzie indziej. Proponowałam Paryż, ale nie, wolisz zostać w Echo Park. Świetnie. Mieszkamy tu od dwóch dni i jak dotąd mnie nie znaleźli, więc chyba to bezpieczne miejsce. Dobrze, fajnie, bardzo ci dziękuję. Ale nie podoba mi się tu, tak samo jak nie podoba mi się to, że muszę przez cały dzień siedzieć w samochodzie tylko dlatego, że masz mnie za idiotkę. Nie jestem idiotką. Nie wiem, jak ci ludzie ciągle mnie znajdują, ale to nie moja wina. Nie chcę jechać na

spotkanie z Budem i nie chcę czekać w samochodzie, kiedy ty i Elvis będziecie z kimś gadać. Nudzę się i zaczyna mnie to męczyć. Wolę zostać tutaj, sama. Pike odłożył lufę.

-Dobra.

-To znaczy, że mogę zostać?

-Powiedziałem, że jestem umówiony z Budem. Ja. Nie „my”. Przepraszam za wczoraj. To było nietaktowne.

Larkin otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Trzymając kubek obiema rękami, wypła łyk kawy.

Lufa do suwadła, pod lufę prowadnica, do prowadnicy sprężyna powrotna - Pike potrafił złożyć pistolet w ciągu kilku sekund. Umiał złożyć go i rozłożyć z zawiązanymi oczami, po ciemku, chwając się na nogach z braku snu, pod ciężkim ostrzałem przeciwnika. Składanie i rozkładanie broni było łatwe. W przeciwieństwie do rozmowy z Larkin.

W końcu się odezwała.

-Dobrze. Dzięki. Super.

-Super - powtórzył.

Komórka zawibrowała i głośno zabzyczała na stole. Zerknął na ekranik, myśląc, że to Cole, ale to nie był Cole.

Przytknął telefon do ucha.

- Mamy towarzystwo. - Dzwonił Ronnie.

Dziewczyna obserwowała go uważnie, ale niczego po sobie nie pokazał. Polowali na niego z taką samą zawziętością, z jaką on polował na nich. I tak jak on wracał do jej dzielnicy, żeby poszukać ich śladów, tak oni wracali do jego osiedla, żeby poszukać tam jego. Nie mieli wyboru. Myśliwy zawsze idzie po tropach.

- Ilu? - spytał.

- Tym razem jeden. Nie wiem, czy to ten, o którym mówiłeś, ale to możliwe. Niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, dość długie, ciemne włosy.

-Gdzie jest?

-W środku. Przed chwilą wszedł tam, jakby mieszkał u ciebie od lat. Mam mu się przedstawić?

Pike przygiął się obserwującej go Larkin. Gdyby dowiedziała się, co chce zrobić, wpadłaby w panikę albo zasy-pała go pytaniami, a on zużył już czas przeznaczony na ga-daninę.

-Nie, wpadnę tam i zamienię z nim kilka słów. Już jadę. Jeśli wyjdzie, dzwoń.

-Dobra.

Odłożył komórkę, wsunął magazynek do rękojeści, trzasnął suwadłem, pchnął w dół skrzydełko bezpiecznika. Jeśli w ogóle znał uczucie błogości, to ogarnęło go ono właśnie teraz, chociaż zachował kamienną twarz. Miał ich. Znalazł nić, która mogła doprowadzić go do Meesha. Znajdzie Meesha, a potem oczyści przedpole. Te sukinsyny próbowali ją wykończyć, akurat ją, dziewczynę, której miał strzec, wykończyć ją całą bandą, tymczasem to on wykończy ich, ale nie dlatego, że tak było sprawiedliwie. Dlatego, że chciał ich ukarać. Sprawiedliwość to kara.

-Dobrze - powiedział. - Więc co zamierzasz robić, kiedy mnie nie będzie?

-Kto to był?

-Ronnie. Znalazł kogoś, kto może nam pomóc, więc chcę z nim pogadać. Poradzisz sobie sama?

-Uhm.

Pike wstał, schował do kieszeni komórkę i przypiął do paska kaburę z pistoletem. Żeby ją zasłonić - kaburę i tatusze - włożył koszulę z długimi rękawami.

-Przywieźć ci coś?

-Może trochę owoców.

-Jakich?

-Truskawek. I bananów.

- To trochę potrwa. Na pewno sobie poradzisz?



Wciąż na niego patrzyła. Miał nadzieję, że naszły ją wątpliwości i zmieniła zdanie.

-Jak długo cię nie będzie?

-Prawie przez cały dzień. Mogę poprosić Elvisa, żeby tu wpadł.

-Nie, nie trzeba.

-Na pewno?

-Tak.

-Dobra. To na razie.

Był zawiedziony, ale trzymał fason. Zostawiał ją samą i miał co do tego mieszane uczucia, ale wmówił sobie, że bardziej chodzi o to, żeby ją chronić, niż tylko o to, żeby przeżyła. Nie chciał, żeby znowu poczuła się porzucona. Skoro chciała, żeby jej zaufał, skoro tego potrzebowała, to jej zaufa. Decyzji tej miał wkrótce pożałować.

## 20

Jechał na południe w niemrawym porannym ruchu, kierując się w stronę autostrady do Santa Monica. Nie spieszyło mu się. Wiedział, że jeśli tamten wyjdzie z mieszkania, Ronnie nie spuści go z oczu. Z samochodu zadzwonił do Cole'a. Cole chciał przyjechać, ale on uznał, że pilniejsza jest sprawa Pitmana i kazał mu ją ciągnąć, tak jak się umówili. Korciło go, żeby przekreślić do Buda, ale w ciągu najbliższych kilku godzin wszystko mogło się zmienić, więc postanowił zaczekać. Powiedział Cole'owi o dziewczynie.

-Mam ją obserwować?

-Nie, ale wpadnij tam.

-Niczego by się nie domyśliła.

-Wiem, ale nie. Ona nie chce. Może tylko tam wpadnij. Nie wiem, jak długo mi to zajmie. Po prostu wpadnij. Nie zostawaj.

- Dobra. Podrzucę jej coś do jedzenia.
- Truskawki.
- Co?
- Ona chce truskawek. I bananów.
- Dobra, mogą być i banany.
- Sprawdź, czy wszystko gra i daj mi znać.
- Joe. Ty się o nią martwisz?
- Po prostu robię swoje.
- Jasne.
- Jeśli poprosi, żebyś został, to zostań.

Cole parsknął śmiechem, więc Pike się rozłączył. Zjechał już z autostrady, a ponieważ Ronnie wciąż nie dzwonił, on zadzwonił do niego.

- Za pięć minut będę na miejscu. Ciągłe tam jest?
- Nie. Wszedł i zaraz wyszedł. Założę się, że wpadł do ciebie na kupę. Teraz siedzi w krzakach.

- Tylko jeden?
- Tak.
- Gdzie w krzakach?

-Za parkingiem stoją dwa kubły na śmieci, tak? Jest w krzakach za nimi, widzi stamtąd drzwi. Siedzi tam od jakichś dwudziestu minut.

-Czym przyjechał?

-Nie mam pojęcia. Przyszedł na piechotę, więc pewnie zaparkował za bramą, ale nie wiem gdzie. Albo ktoś go podrzucił.

Pike przemyślał to, skręcając w stronę bramy. Skoro tamten zajął pozycję przed domem, on mógł zaparkować na terenie osiedla. Dzięki temu miałby łatwiejszy dostęp do samochodu, co mogło okazać się ważne.

- Jak jest ubrany?
- W wypuszczonej na spodnie zieloną koszulę z krótkimi rękawami, wiesz, w takie wąskie paski. I w dzinsy.
- Możesz stamtąd odejść, nie rzucając się w oczy?

-Bez problemu.

-Zadzwoń, kiedy będę na miejscu.

Pike wjechał na osiedle, ale zaraz za bramą skręcił na parking za pierwszym skupiskiem domów. Wsiadł i nie próbując się nawet ukrywać, ruszył przed siebie. Dokładnie wiedział, gdzie tamten jest i co widzi, dlatego zupełnie się nim nie przejmował. Kiedy doszedł do grupki domów sąsiadującej z jego domem, przystanął za dużą plumerią i znowu zanurkował w gęsty, zielony świat. Idąc wzdłuż muru, doszedł do swojego domu i ostrożnie wyjrzał zza rogu. Dokładnie naprzeciwko był jego parking i metalowe kubły. Uważnie przyjrzał się rosnącym za nimi oleandrom. Czatujący tam mężczyzna miał wąskie pole widzenia, bo z obydwu stron ograniczały je kubły, ale wybrał bardzo dobre miejsce. Zza zielonej kurtyny liści nie było go widać. Pike dwa razy zmienił pozycję, zanim znalazł odpowiednią. Wciąż go nie widział, lecz doszedł do wniosku, że z czasem zobaczy. Obserwował oleandry przez dwadzieścia minut, zanim poruszyła się za nimi wąska smuga światła.

Wybrał numer Ronniego, osłonił telefon ręką i szepnął:

-Mam go. Podziękuj ode mnie Dennisowi. Tobie też wielkie dzięki.

-Zdejmujemy go?

Ronnie tym żył, ale Pike wołał zostać sam. Gdyby potrzebował pomocy, na pewno by go poprosił, ale nie chciał, bo tak było lepiej dla Ronniego.

- Do widzenia, Ron.

Schował komórkę. Nie widział, jak Ronnie odchodzi, ale niczego innego się nie spodziewał. Siedział bez ruchu na twardej ziemi, obserwując grę światła i koloru na zwartej ścianie oleandrów, która była ścianą złożoną z wielu ścian, w tym ze spalonej przez słońce ściany zewnętrznej, szarozielonej, wyblakłej i poprzecinanej szparami, przez które widać było ciemniejsze liście i mglisty zarys gałęzi za szparami

*jeszcze* węższymi i drobniejszymi. Jasne na ciemnym, ciemne na jeszcze ciemniejszym - za ścianą zewnętrzną była druga, wewnętrzna, i obserwując migoczące na niej punkciki światła, dostrzegł wreszcie jakiś ruch, zobaczył cień, którego zieloność nie pasowała do zieloności otoczenia, najpierw tylko fragment cienia, potem drugi, trochę innego koloru, i w końcu dostrzegł wzór we wzorze, w końcu wypatrzył przyczajonego za liśćmi mężczyznę. Zakołysała się gałąź, co znaczyło, że mężczyzna jest zniecierpliwiony i zdruzgotany. Chwilę później zadrżała inna. Tamten miał pewnie dość siedzenia za krzakami i nie zamierzał przedkładać obowiązku nad wygodę. Brak dyscypliny - Pike poczytał to za słabość. Mógłby zabić go lub obezwładnić już teraz, lecz mieszkali tu niewinni ludzie, dlatego postanowił zaczekać.

Czekał czterdzieści minut i przez cały ten czas wiedział, że mężczyzna wyjdzie w końcu z kryjówki. Coraz bardziej się tam wiercił, coraz częściej potrącał gałęzie i liście. Cóż za przerażający brak dyscypliny.

Trzy godziny i dwanaście minut po tym, jak Pike zajął pozycję, mężczyzna przykucnął, ostrożnie wyjrzał, żeby się upewnić, czy nikt go nie widzi, po czym chyłkiem wyszedł zza kublów. Otrzeptał ubranie, przeszedł przez parking i skręcił w stronę bramy. Idąc, wyjął komórkę z kieszeni, ale Pike nie wiedział, czy dzwoni, czy odbiera telefon. Może nie zrezygnował. Może ktoś kazał mu odejść.

Pike wysłizgnał się z ukrycia i pobiegł do samochodu. Tylną bramą wyjechał na ulicę, szybko okrążył osiedle i skręcił w stronę bramy głównej. Zaparkował przy chodniku dwie ulice przed nią kilka sekund po tym, jak przez furtkę w murze wyszedł mężczyzna w zielonej koszuli. Żeby wejść na teren osiedla, trzeba było mieć elektroniczny klucz, ale wyjść można bez niczego.

Mężczyzna zdążył włożyć ciemne okulary i Pike nie widział, czy jest to jeden z tych ze zdjęć. Śniada cera, szerokie

bary, pociągła twarz - niemal na pewno był Latynosem. Kiedy szedł, podwijała mu się koszula, odsłaniając pistolet za paskiem. Przystanął przy zakurzonej toyocie corolli. Chwilę później odjechał.

Corolla - model z początku lat dziewięćdziesiątych - była ciemnobrązowa; miała niepasujące do siebie koła i bagażnik upstrzony plamami rdzy. Pike zapisał numer rejestracyjny. Trzymał się trzy, cztery samochody za nią, przyspieszając tylko przed skrzyżowaniami albo kiedy ruch małał i tamten odszukiwał do przodu.

W Centinela wjechali na 1-10 i zjechali z niej w Fairfax. Corolla zatankowała na stacji benzynowej i niespiesznie ruszyła dalej. Na Santa Monica Boulevard skręciła na zachód. Ominęła dołem West Hollywood, potem Hollywood i znaleźli się w obskurnej dzielnicy wypożyczalni filmów porno, małych sklepików i darmowych przychodni lekarskich. Corolla wjechała na parking przed piętrowym motelem Tropikalne Wybrzeża. Z dachu motelu wyrastała plastikowa palma ze strzałkami wskazującymi w dół, na pień, gdzie wisiała tabliczka z napisem WOLNE POKOJE. Palma i strzałki były obwiedzione neonami, ale ich rurki popękały i wyblakły, pewnie już przed laty. W oknie recepcji widniał mały napis: WYNAJMUJEMY NA GODZINY.

Pike podjechał kawałek dalej, zaparkował pod jakąś speluną, gdzie roił się od ćpunów, i wrócił na parking. Motel miał kształt litery „L” z zewnętrznymi schodami na rogu. Na parkingu było pusto, nie licząc corolli, dwóch innych samochodów i zielonego roweru przywiązanego łańcuchem do metalowego słupka. Klimatyzatory sterczały z okien jak wrzody, ale większość była wyłączona.

Kiedy dobiegł do recepcji, facet w zielonej koszuli własnie wysiadał. Pike próbował zajrzeć, czy ktoś jest w recepcji, ale okna były czarne od brudu. Drzwi wychodziły na parking, lecz były zamknięte, a w oknie tuż obok był klimatyzator.

Mężczyzna w zielonej koszuli nie zawracał sobie głowy zamykaniem samochodu. W automacie pod ścianą kupił colę i podszedł do drzwi na parterze. Staął bokiem do parkingu i zaczął szukać kluczy.

Pike zaszedł go od tyłu. Biegając zygzakiem, trzymając się martwej strefy, pędził tak szybko, że w jednej chwili był pod recepcją, a już w następnej tuż za nim. Zobaczył, jak klucz wchodzi do zamka, otwierają się drzwi...

Zgiął lewą rękę, zarzucił mężczyźnię na szyję i gwałtownie podciągnął. Jeszcze bardziej zacisnął uchwyt i prawie miażdżąc mu gardło, schował się za nim jak za tarczą, wyszarpnął zza pasa pistolet i wepchnął go do pokoju.

Myślał, że ktoś tam będzie, ale nie dostrzegł nikogo. Ot, pojedynczy pokój z łazienką.

Wciąż przytrzymując szarpiącego się Latynosa, zamknął nogą drzwi. Rolety były podniesione, widział więc, że na parkingu ani przed recepcją nikogo nie ma.

Latynos szarpał się i wrywał, ale nie mógł złapać równowagi, bo Pike wysunął do przodu ugięte kolano i niemal położył go na sobie. Latynos charczał. Wymachiwał rękami, próbował zadawać ciosy do tyłu, wbijał mu palce w ramię. Był silny i w dobrej formie. Przebił paznokciami skórę.

Pike podniósł wolną rękę i napał nią na jego kark, tak że grdyka mężczyzny jeszcze mocniej wbiła się w zgięcie łokcia. Klasyczna dźwignia. Pike założył ją i zacisnął. Czekał.

Latynos szarpał się coraz wolniej.

Przestał wierzgać.

Jego ciało zwiotczało.

21

Dźwignia odcięła dopływ krwi do mózgu i zasnął niczym laptop, któremu padła bateria. Był to skuteczny sposób na obezwładnienie przeciwnika, chociaż bywało, że

przeciwnik już się potem nie budził. Pike przysiadł na brzegu łóżka. Musiał sprawdzić, jak będzie z tym.

Latynos nie spał długo. Już po chwili zatrzepotał powiekami i podniósł głowę. Miał minę boksera po lekkim wstrząśnięciu mózgu i zeszywniał, gdy uświadomił sobie, że nie może się poruszyć. Pike przywiązał go do krzesła taśmą klejącą. Okleił mu również ręce, uda i kostki u nóg.

Siedział dokładnie naprzeciwko, ledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego. W rękę trzymał starego browninga kalibru 9 mm. Znalazł przy nim browninga, komórkę, kluczyki samochodowe, klucze do pokoju, paczkę marlboro, zapalniczkę gazową, zegarek marki Seiko oraz dwanaście dolarów i sześćdziesiąt centów. Latynos nie miał przy sobie portfela, karty kredytowej ani żadnych innych dokumentów.

Pike obserwował jego oczy, niespokojne, lecz pewne siebie. Mężczyzna miał szeroką, kanciastą twarz z małymi bliznami na łukach brwiowych i grzbiecie nosa.

- Wiesz, kim jestem?

Latynos zerknął na drzwi. Może myślał, że ktoś przyjdzie mu z pomocą.

-Wiesz, kim jestem? - powtórzył Pike.

Latynos odpowiedział po hiszpańsku:

-Wal się.

Pistolet zatoczył w powietrzu krótki łuk. Mignęło, błysnęło i głowa Latynosa odskoczyła na bok. Pike zrobił to tak szybko, że ten zorientował się, co się stało, dopiero wtedy, kiedy z rozciętego policzka na koszulę pociekła krew. Pike nie chciał pozbawiać go przytomności.

Kiedy mężczyzna ponownie skupił wzrok, Pike wyciągnął lewą rękę. Tym razem powoli, jakby chciał pogłaskać go po policzku. Wbił kciuk w nerw w miejscu, gdzie kość zuchwy łączy się z łukiem jarzmowym. Latynos próbował odchylić się do tyłu, ale był unieruchomiony, przywiązany do krzesła. Pike długo nie zwalniał ucisku.

Kiedy go wreszcie zwolnił, mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze, jakby wynurzył się z wody. Poruszał szczęką, patrząc na niego jak ktoś, kto jest gotów zabić.

Pike nawet nie mrugnął.

- Zrobię to jeszcze raz - powiedział.

Schował pistolet do kieszeni i podszedł do okna. Pokój był mały i obskurny, stały w nim tylko dwa łóżka, toaletka, biurko i wystrzępiony fotel. Pike opuścił roletę, ale roleta była prawie przezroczysta i widział przez nią parking. Przed recepcją stał brzuchaty mężczyzna, pałac papierosa i nad słuchując, czy nie dzwoni telefon. Pike przeszukał już corollę, teraz sprawdzał pokój.

Szuflady toaletki i biurka były puste, za to w szafie znalazł cztery torby podróżne: dwie płócienne, jedną z niebieskiego nylonu z logo Nike'a i czarny plecak. We wszystkich były męskie ubrania, papierosy i przybory toaletowe, w plecaku jeszcze koperta, a w niej dwa tysiące sześćset dolarów. Obok koperty leżała kartka z kolonotatnika z jakimiś zapiskami i numerami i zdjęcie Larkin Conner Barkley. Zdjęcia nie wycięto z czasopisma. Była to zwyczajna fotografia, uśmiechnięty portret.

W każdej torbie i w plecaku był również amerykański paszport i bilet powrotny z Los Angeles do Quito w Ekwadorze. Paszporty należały do mężczyzn, z których jeden, niejaki Rulon Martinez, siedział teraz na krześle. Rulon Martinez. Pike wątpił, żeby było to jego prawdziwe nazwisko.

Na zdjęciach rozpoznał dwóch pozostałych, ale trzeciego nie znał. Tych dwóch było w domu Barkleyów. Ten z bliźną na ustach pobił ich gospozię. Według paszportu nazywał się Jesus Leone. A ten drugi - Walter Bloch. Pike pomyślał, że to dziwne. Niemieckie nazwisko. Natomiast trzeci, którego Pike nie znał, nazywał się Ramon Alteiri. Wszyscy byli mieszkańcami Los Angeles i obywatelami Stanów Zjednoczonych. Pike uważnie obejrzał paszporty.



Jeśli były podrobione, zrobiono to bardzo dobrze. Czarny plecak ze zdjęciem Larkin należał do tego z blizną.

Pike wytrząsnął z plecaka ubranie i przybory toaletowe i wrzucił tam paszporty, bilety, browninga oraz inne rzeczy, które chciał zatrzymać, ale zdjęcie Larkin zostawił.

Usiadł na łóżku i pokazał je temu na krześle. Nic nie powiedział, po prostu trzymał tak, żeby Latynos je widział. Potem odłożył na bok.

- Mówię po hiszpańsku, ale wolę po angielsku. Pasuje ci? Latynos uśmiechnął się złośliwie, jakby było mu wszystko jedno.

- Lepiej stąd zwiewaj, skurwysynu. Nie wiesz, w co się pakujesz.

Pike ucisnął palcem wskazującym miękką tkanę pod jego obojczykiem, gdzie dwadzieścia sześć włókien nerwowych krzyżuje się ze sobą, tworząc splot ramienny. Nerw nadobojczykowy, który przekazuje informacje do rdzenia kręgowego, biegnie w tym miejscu tuż pod skórą, w płytkim wyźłobieniu w kości. Kiedy Pike go ucisnął, splot ramienny wysłał do mózgu sygnał bólu podobny do tego, jaki wysyła kanał zębowy, gdy dentysta otwiera go bez znieczulenia.

Latynos wydał wysoki, buczący jęk. Próbował zerwać taśmę i przewrócić krzesło, ale Pike nadepnął mu na nogę. Mężczyzna napiął wszystkie mięśnie, na szyję wystąpiły mu wijące się jak węże żyły, z oczu popłynęły łzy, rozcieńczając krew na policzku. Przeszedł na hiszpański i zaczął błagać, żeby Pike przestał, lecz na próżno.

Pike wiedział, że kiedy zwolni ucisk, ból nie minie i będzie dręczył Latynosa ze zjadliwością mrówczego jadu, dlatego żeby go złagodzić, zabrał palec i dotknął innego miejsca, tym razem na szyi. Mężczyzna opadł na krzesło jak sflaczały balon, a jego twarz przybrała barwę moczącego się w wodzie mięsa.

- *Dim mak*. To po chińsku. Znaczy: „dotyk śmierci”.

*Dim mak* to ciemna strona akupunktury. Jej jasna strona leczy, ciemna może zabić.

-Szukam Alexa Meesha.

-Nie znam.

Pike podniósł palec. Latynos szarpnął się do tyłu tak mocno, że zachwiało się krzesło, lecz Pike przytrzymał je nogą.

-Nie znam go! Czego ty chcesz?

-Alexa Meesha.

-Nie znam!

-Nie znasz Meesha?

Mężczyzna pokręcił głową tak gwałtownie, że rozbryzgnęła mu się krew na policzku.

- Nie, nie, nie! Nie znam!

Był zbyt przerażony, żeby kłamać, ale Pike chciał to sprawdzić. Pokazał mu paszport.

-Jak się nazywasz? Ale tak naprawdę.

-Jorge Petrada.

-Dlaczego obserwowałeś mój dom?

-Szukałem tej dziewczyny.

Nawet nie mrugnął. Pike uznał, że mówi prawdę. Jorge nie znał Alexa Meesha.

-To Meesh kazał ci ją znaleźć?

-Nie znam żadnego Meesha, nie wiem.

-Kto kazał ci jej szukać?

-Luis. Luis kazał.

-Kto to jest Luis?

Jorge zerknął na paszporty, więc Pike pokazał mu paszport tego z blizną. Tego od zdjęcia.

-*Si*. Luis.

-Jest waszym szefem?

-*Si*.

Luis nie wyglądał na szefa. Szefowie nikogo nie porwali ani nie wdawali się w strzelaniny. Szefowie rozkazywali, a ich rozkazy wykonywali inni.

Pike spojrział na zegarek i podszedł do okna - czas mi-  
jał i w każdej chwili mogli wrócić tu koledzy Luisa. Recep-  
cjonista wciąż palił papierosa, ale teraz rozmawiał przez ko-  
mórkę i z czegoś się śmiał. Pike usiadł na łóżku.

-Skąd wiedziałeś, gdzie jej szukać?

-Od Luisa. Luis podał adres.

-Skąd znaleźcie nasz adres w Eagle Rock i w Malibu?

-Nie znam tego... Eagle Rock. Nie wiem co to.

-Próbowaliście ją zabić w Eagle Rock i w Malibu. Próbo-  
waliście w jej domu. Kto wam powiedział, gdzie jej  
szukać?

-Nie, nie, nie. Ja tu teraz przyjechałem. Jestem tylko  
dwa dni. O tamtym nic nie wiem.

Pike wyjął z plecaka bilety i sprawdził daty. I tym razem  
Jorge nie skłamał. Przyleciał do Los Angeles z Alteilim  
ledwie przed dwoma dniami. Bloch przed dwunastoma.  
Luis siedział tu od dni szesnastu. I to on musiał wiedzieć naj-  
więcej.

Kiedy chował bilety do plecaka, zawibrowała komórka.  
Dzwonił Cole. Pike odebrał, uważnie obserwując Latynosa.

-Tak?

-Właśnie wyszedłem. Świetnie sobie radzi.

-To dobrze.

-Podrzuciłem jej trochę jedzenia i czasopisma. I ekspres  
do kawy, żeby nie musiała pić tej twojej lury.

-Prosiła o truskawki. O truskawki i banany.

-Tak, to też.

-Dobra.

-Stało się coś? Wszystko w porządku?

-Tak.

-Dobrze. W razie czego dzwoń.

Pike zamknął klapy komórki. Wciąż patrzył na Jorge, a  
Jorge był wciąż przerażony.

-Kto to jest Donald Pitman?

-Nie wiem.

-Słyszałeś to nazwisko?

-Nie. Nie wiem, kto to.

-A Bud Flynn?

-Nie.

-Dla kogo pracuje Luis?

Jorge, wyraźnie zaskoczony, wyprostował się na krześle i naparł ciałem na taśmę. Jakby nagle przybyło mu sił, pierwszy raz, odkąd zsikał się w spodnie.

-Dla Estebana Barone'a. Wszyscy dla niego pracujemy. Dlatego popełniłeś błąd, przyjacielu. Poznasz go i poznasz strach.

-Kim jest ten Barone? Gangsterem? Biznesmenem? Rozumiesz, o co pytam?

- Znasz słowo „kartel”?

-Si.

Na ustach Latynosa wykwitł okrutny uśmiech. Widać, Jorge był dumny, że należy do takiej organizacji.

- Barone, on ma dużo żołnierzy. A ty ilu masz?

Pike wyjął z kieszeni zdjęcia pięciu trupów, tych z kostnicy. Pokazał jedno po drugim, patrząc, jak tamtemu ciemnieje twarz.

- Wyrównuję szanse - powiedział.

Jorge wymamrotał coś po hiszpańsku, ale Pike tego nie zrozumiał.

Znowu podszedł do okna. Recepcjonista zniknął, ale drzwi wciąż były otwarte. Pike wolałby, żeby grubas je zamknął. Zamierzał odjechać corollą z Jorgem, lecz tymczasem wrócił do łóżka.

- Ilu was zostało?

Latynos splunął.

Tym razem Pike nie zrobił tego powoli. Wbił kciuk w *dim mak* między jego żebrami, tuż pod mięśniem piersiowym.

- *Siete!*

Pike zabrał palec.

-Czterech nocuje tutaj. Gdzie nocuje trzech pozostałych?

-Nie wiem, ja nie wiem...

Pike ponownie ucisnął *dim mak* i Jorge przeraźliwie krzyknął. Pike wzmógł ucisk i Jorge boleśnie zaszlochał. Wtedy Pike zabrał palec.

-Gdzie nocują?

-Nie wiem. Carlos, on przywiózł nas z lotniska. Nie powiedział, gdzie tamci. Przywiózł nas do Luisa i Luis powiedział, że my tu. Tamtych nawet nie widziałem!

Pike usiadł wygodnie. Carlos. Na boisko wybiegł nowy gracz.

- Kto to jest Carlos?

-Amerykanin. Czekał na lotnisku. Przywiózł nas tu i wszystko załatwił.

-Jak się nazywa?

Jorge znowu zerknął na okno i tym razem Pike poszedł za jego wzrokiem. Przez roletę widać było dachy domów i odbijające się od samochodów promienie słońca, nic więcej.

-Znam tylko imię, Carlos. Dał nam różne rzeczy. Telefony, pistolety.

-Dobrze. Gdzie są teraz twoi koledzy?

-Nie wiem. Ja robię swoje, oni swoje.

Jorge zwilżył usta. Coraz bardziej się denerwował i po raz trzeci zerknął na okno. Coś tam zobaczył?

-Wracają? Już tu są?

-Nie, nie ma, nie wracają.

Pike wyjął pistolet. Nie odrywał oczu od okna.

- Wracają wieczorem - dodał Jorge. - Dopiero wieczorem.

Za oknem przemknął cień i szybę roztrzaskały trzy kule. Roleta wydeła się jak żagiel na wietrze, ale Pike leżał już na podłodze. Z trzaskiem otworzyły się drzwi i do środka wpadł Luis - znowu wystrzelił, Pike odpowiedział ogniem i pociski rzuciły Latynosa na ścianę. Zapadła cisza. Luis osunął się na podłogę, pozostawiając na ścianie czerwoną smugę.

Pike czekał, lecz nikt już nie nabiegł. Spojrzał na Jorge, ale Jorge miał zwieszoną głowę i odstrzelone czoło. Pike podszedł do drzwi zły, że nie zdołał zapanować nad sytuacją. Luis musiał usłyszeć krzyk albo zajrzał do pokoju przez szparę w roletcie, tak czy inaczej, człowiek, który mógł być najlepszym źródłem informacji, już nie żył. Otyły recepcjonista wyszedł na dwór, a z drzwi na końcu motelu wychynał cieć. Pike odciągnął Luisa na bok i zamknął roztrzaskane drzwi.

Schował pistolet i przeszukał mu kieszenie. Znalazł komórkę, klucze, dwadzieścia cztery dolary i wyrwany kawałek gazety z numerem telefonu na marginesie. Schował to wszystko do plecaka i podszedł do okna. Grubas wrócił do recepcji. Pewnie dzwonił na policję. Był z nim cieć, który wyglądał przez otwarte drzwi.

Pike wbiegł do łazienki. Łazienka była mała i ciasna, razem z lat pięćdziesiątych, z tandetnymi kafelkami, wykruszonymi fugami i małym oknem z matową szybą nad wanną. Cieć zostawił na toalecie dwie szklanki owinięte folią. Pike zabrał je do pokoju. Odwinął jedną, zamknął na niej dłoń Jorge'a, po czym ponownie owinął ją folią. To samo zrobił z ręką Luisa i wtedy zobaczył zegarek. Luis nosił platynowego patka phillippe'a, który pasował do niego jak brylant do kupy gnoju. Pike zdjął go i odwrócił. Na werku był wygrawerowany napis: *Dla mojego uroczego George'a.*

Schował do plecaka zegarek i szklanki, wytarł powierzchnie, których dotykał, i truchając do łazienki, usłyszał w oddali wycie syren. Wybił szybę ręką pistoletu, przecisnął się na zewnątrz i zeskoczył na ziemię w wąskim zaułku. Zarzucił plecak na ramię i podbiegł w stronę ulicy. Na ulicy zwolnił i minął recepcję w chwili, gdy na parking wjeżdżał pierwszy radiowóz. Przechodnie chowali się w bramach i za pojazdami, jakby się bali, że ktoś ich postrzeli; inni uciekali do sklepów. Pike zwolnił jeszcze bardziej, tak

jak oni popatrzył na motel, a potem podszedł do swojego samochodu. Gdy odjeżdżał, na ulicy pojawił się drugi radiowóz.

I tak jak często w takich chwilach pomyślał, że policjanci to ludzie, którzy zawsze biegną ku niebezpieczeństwu. Wszyscy inni od niebezpieczeństwa uciekają.

## 22

Wjechał na parking przed centrum handlowym nieopodal parku Griffitha. W uszach dzwoniło mu od huku wystrzałów i bolały go ramiona. Postanowił, że kiedy Larkin zaśnie, on znowu schowa się w cichym, zielonym lesie. Jorge i Luis rozpląną się między drzewami jak duchy, lecz tymczasem wciąż żył strzelaniną, nadal był nakręcony. Ale to dobrze. Wiedział, że dzięki temu będzie czujny. Że nie wymięknie.

Recepcjonista opisze go jako białego mężczyznę w ciemnych okularach, brązowej koszuli i dzinsach. Jako kogoś anonimowego i nierzucającego się w oczy. Uważał i nie zostawił żadnych śladów. Nic nie wskazywało na to, że strzelanina w motelu ma coś wspólnego z Eagle Rock, Malibu czy z nim samym, ani znalezione w pokoju zwłoki, ani sam pokój - chyba że policja porówna i dopasuje kule, ale to mogło potrwać wiele tygodni. Nie było powodów, żeby to sobie skojarzyli, i raczej wątpliwe, żeby Pitman zajmował się akurat tą sprawą. Jorge i Luis to po prostu dwa niezidentyfikowane trupy w wielkim mieście. Podwójne zabójstwo z mnóstwem pytań bez odpowiedzi, najpewniej kłótnia między dilerem i ćpunami.

Nabił pistolet i przejrzał rzeczy, które zabrał z motelu. Zaczął od paszportów i planów miasta. Szukał czegoś, co mogłoby mu się przydać już teraz, zaraz, nazwiska Meesha

czy nazwy jakiegoś hotelu, ale niczego takiego nie znalazł. Postanowił przejrzeć wszystko z Cole'em, spokojniej i dokładnie, więc tymczasem schował dokumenty do plecaka.

Pobieżnie obejrzał zegarek i pistolety i zawahał się przy zdjęciu dziewczyny. Wyobraził sobie, jak Luis pokazuje je pozostałym, jak mówi, że to ta. Wyobraził sobie, jak Meesh daje zdjęcie Luisowi i mówi: zabijemy ją. Popatrzył na zdjęcie i pomyślał: nie, nie zabijecie.

Rozgarnął rzeczy. Szukał telefonów. Telefony mogły zaprowadzić go prosto do Meesha.

Ich komórki, jednorazówki na kartę, były identyczne i podobne do tej, jakiej używał on - kupione anonimowo, za gotówkę, praktycznie nie do wytropienia. Najpierw zajął się komórką Jorge: odszukał jego numer i przejrzał historię połączeń. Jorge dzwonił tylko trzy razy, trzy razy pod ten sam numer. Pewnie do Luisa - byli nowi, więc Luis dał im telefony i powiedział, macie, jestem pod tym numerem. Wcisnął przycisk ponownego wybierania. Komórka Luisa posłusznie zadzwoniła. Schował telefon Jorge do plecaka.

Luis miał na koncie dużo połączeń. Na długiej liście było również kilkanaście numerów ekwadorskich. Obok każdego widniała data i godzina. Te numery chciał rozgryźć później, z Cole'em, teraz bardziej interesowały go telefony wykonane tego dnia.

Cztery minuty przed śmiercią - wtedy Luis zadzwonił po raz ostatni. Musiał być już w motelu i pewnie chciał wezwać posiłki albo uprzedzić pozostałych. Pike ponownie przejrzał listę połączeń i okazało się, że Luis dzwonił pod ten numer codziennie, po pięć, sześć razy. Pod żaden inny nie dzwonił tak często.

Meesh?

Może Luis ich usłyszał, jego i Jorge, i zadzwonił do Meesha, żeby spytać, jak ma to rozegrać?

Pike wcisnął przycisk ponownego wybierania. Jeden



sygnał, drugi, trzeci, czwarty. Tamten spojrzy, zobaczy numer i pomyśli, że to Luis. Że dzwoni z meldunkiem. Po piątym sygnale odebrał jakiś mężczyzna.

- Dorwaliście sukinsyna?

Miał dźwięczny, głęboki głos, ale nie brzmiał jak gangster z Denver czy z Ekwadoru. Był to głos kulturalny, z lekkim, chyba francuskim akcentem.

-Halo? Przerwało nam? Słyszysz mnie?

-Alex Meesh - powiedział Pike.

-To pomyłka. Mężczyzna się rozłączył. Pike zadzwonił jeszcze raz.

-Luis? - Tamten odebrał już po pierwszym dzwonku.

-Luis i Jorge nie żyją.

Mężczyzna długo milczał. W końcu się odezwał, ostrożnie i nieufnie.

-Kto mówi?

-Sukinsyn.

-Czego chcesz? - zapytał z wahaniem.

-Ciebie - powiedział Pike i zatrasnął klapkę komórki.

## 23

### *John Chen*

Po telefonie Pike'a Chen wpadł w przerażenie. *Przerażenie* tak wielkie, że omal nie narobił w spodnie. Pike na telefonie, Pike, który nie czekając na odpowiedź, warczy:

„Za godzinę na parkingu”.

Tak. Jasne.

Chen natychmiast pobiegł do toalety. Był przekonany, że Pike chce go zabić. Pewnie myśli, że te pistolety to przez niego i zatłucze go na śmierć na oczach gapiów.

Wpadł do toalety i siedział tam ponad godzinę, pocąc się jak mysz, chodząc od ściany do ściany, to siadając na kibelek, to wstając. Próbował coś wymyślić. Początkowo chciał poprosić ochroniarzy, żeby odprowadzili go do samochodu, w końcu uznał, że wyjść z tego może tylko w jeden sposób: udając, że wszystko jest w porządku. Że może te pistolety zdobyć. Że nie ma sprawy. Musiał po prostu kłamać, i to dobrze.

Wyslizgnął się z toalety, wszedł do holu i przez szklane drzwi wyjrzał na parking. Boxtera zobaczył od razu, ale nigdzie nie widział Pike'a, jego czerwonego dzipa ani zielonego lexusa, w którym Pike dmuchał tę napaloną laskę. Wyszedł na dwór, zerknął za siebie i jeszcze raz powiódł wzrokiem po parkingu.

Ani śladu Pike'a.

Nie bardzo wiedział, co robić. Może Pike przyjechał i już odjechał. A może jeszcze nie przyjechał i John miał teraz szansę!

Puścił się biegiem w stronę swego samochodu. Nie zamierzał biec, po prostu pobiegł. Ciężko dysząc i sapiąc, oklapł już po piętnastu metrach, lecz w żyłach wciąż buzowała mu adrenalina. Wecisnął guzik na pilocie, bo jednak zdążył, bo od nikogo nie oberwał - a teraz do domu, kurwa, do domu! - i już otwierał te piękne niemieckie drzwiczki, gdy wtem...

...tuż za plecami usłyszał jego głos:

- John.

-Ach!

Skoczył w bok, ale Pike zaszedł mu drogę i przytrzymał drzwiczki.

- Wsiadaj.

Miał w ręku czarny plecak. Chen był pewien, że w plecaku jest spluwa.

Chwycił się drzwiczek, tak jak kot chwyta się pazurami narzuty na sofie, i momentalnie odpalił mu tik lewego oka.

-Proszę, nie zabijaj mnie.

Pike wskazał fotel.

-Nie wygłupiaj się. Wsiadaj.

Wepchnął go do środka, obszedł samochód i usiadł na miejscu pasażera. Chen nie odrywał oczu od plecaka.

-Wiem, jak to robicie - powiedział. - Kazesz mi jechać na odludzie. Strzelisz mi w głowę i...

-Weź głęboki oddech - przerwał mu Pike.

Ale Chen nie mógł przestać mówić. Ani zacząć myśleć, tak jak wtedy, kiedy postanowił uciec.

- Federalni je zabrali. Sprawdziłbym je, słowo honoru, że bym sprawdził, ale przyszli i zabrali. To nie moja wina, nie miałem z tym nic wspólnego...

Mówił i nagle zamilkł, bo niczym stalowe imadło, na jego ustach zacisnęła się ręka Pike'a.

- John, jesteś moim przyjacielem. Nie musisz się bać. Mogę zabrać rękę?

Chen kiwnął głową. Przyjacielem? On przyjacielem Pike'a?

Pike zabrał rękę. I podsunął mu otwarty plecak. Chen myślał, że to jakiś kawał, bo tacy jak Pike zawsze robili kawały takim jak on: zajrzysz do środka i z plecaka wyskoczy wąż.

W każdej chwili gotów się cofnąć, ostrożnie wyciągnął szyję, ale w plecaku nie było węża.

- Co to?

- Broń, o której nie wiedzą federalni, i dwa komplety odcisków palców.

Chen zajrzał do plecaka, ale niczego nie dotknął. Zobaczył dwie małe szklanki w plastikowej folii i dwie dziewiątki, zdezelowane i pokryte rdzawymi wżerami. Od razu się domyślił, że to broń uliczna, że przed laty skradziono ją, wymieniono na prochy albo sprzedano, potem znowu sprzedano albo wymieniono, że przechodziła tak od jednego bandziora do drugiego. Dostrzegł również trzy łuski.

-Skąd to masz?

-Federalni, którzy zabrali pistolety z laboratorium -znasz ich nazwiska?

Pike zignorował jego pytanie.

-Pitman. Pitman i ktoś jeszcze.

-Blanchette?

-Nie wiem. Harriet nie pamięta.

Chen zerknął na łuski. Niegdyś lśniący mosiądz był okopcony, a z plecaka zalatywało spalonym prochem. Chen znowu zaczął się bać, ale nie tego, że Pike zatłucze go na śmierć. Bał się czegoś innego, głębszego. Widział, że Pike go obserwuje. Jego twarz odbijała się w ciemnych okularach jak w dwóch czarnych stawach. To dziwne, ale potem doszedł do wniosku, że chyba się wtedy uspokoił. Siedział obok spokojnego jak woda w stawie Pike'a i ten spokój spłynął na niego.

Usiadł wygodniej.

-Kolejne spluwy i kolejne trupy?

-Dwa.

-Mają jakiś związek z tymi z Eagle Rock i Malibu?

-Tak. Jest tam teraz policja. Była strzelanina, więc wiedzą już, że pistolety zniknęły, ale nie wiedzą, kto je ma. Znajdą kule. Kule będą pasowały do jednego z tych pistoletów, do taurusa.

Chen kiwnął głową. Gdyby nie to, że skończył dyżur, pewnie by tam teraz jechał.

-Federalni zabraliby tę broń, gdyby dowiedzieli się, że ją mamy?

-Tak, ale się nie dowiedzą. Wiemy o tym tylko my, ty i ja. Musisz dokonać wyboru.

Chen nie załapał.

-Jakiego?

-Nie żyje siedmiu ludzi. Jest w to zamieszany Departament Sprawiedliwości. A my mamy tę broń. W najlepszym

wypadku grozi ci oskarżenie o utrudnianie śledztwa federalnego. W najgorszym, o współudział w zabójstwie. Chen wciąż tego nie rozumiał.

-Jak to?

-Powiesz, że nie chcesz mieć z tym nic wspólnego i odejdę.

Chena замуrowało. Ostupiał.

-Chwila. Zaczekaj. Dajesz mi wybór?

-Oczywiście. A co myślałeś?

Chen się zastanawiał, jak Pike może być taki spokojny. Jak może mieć taką obojętną twarz, a nawet głos. Przyjrzał mu się uważniej i w jego okularach znowu zobaczył siebie, swoje dwie twarze. I przypomniał mu się staw, nad którym medytowali buddyjscy mnisi z pewnego klasztoru, jego powierzchnia, płaska, monotonna i doskonała. Miał wtedy sześć lat. Zawiózł go tam wujek i ten staw go zafascynował. Jego lustrzana tafla była idealnie gładka. Nie burzył jej ani jeden liść, ani jeden owad czy pyłek, nie burzył jej najmniejszy powiew wiatru. Przypominała zwierciadło do tego stopnia, że nic nie było pod nią widać i Chen myślał, że staw ma ledwie kilka centymetrów głębokości. Kiedy wujek się odwrócił, John postanowił tam wskoczyć. Było gorąco, a on miał dopiero sześć lat. Chciał pochłapać się w chłodnej wodzie i pobiec na drugi brzeg. Przecież staw był płyciutki. I pusty jak szkło. Przygotował się do skoku, lecz tym samym momencie szkło pękło i rzucił się na niego potwór w błyszczącej zbroi. Płytki zbroi były czerwone, czarne, pomarańczowe, mieniające się i straszne. Potwór wychynał z wody z przerażającą mocą i zniknął. Kiedy Chen przestał płakać, wujek powiedział mu, że to był koi. John dobrze tę nauzkę zapamiętał, chociaż miał tylko sześć lat. W spokoju może czyhać wielka burza.

- Co jest grane? - spytał.

- Właśnie próbuję to ustalić. Myślę, że federalni skonfiskowali wasze dowody rzeczowe, żeby *coś* ukryć. Gdyby wiedzieli o tych pistoletach, skonfiskowaliby i te.

- To ma związek z Eagle Rock i Malibu, tak?

-Tak.

Chen spojrzął na broń.

-Nasi rzeczoznawcy to spece. To, co robią, to nie tylko nauka. To sztuka. Ta moja poszła już do domu.

-Jutro z samego rana.

-Nie mogę tak po prostu wejść i powiedzieć: masz tu dwie spluwy. Muszę znać numer sprawy.

-Weź numer sprawy z Eagle Rock.

-Ona wie, że federalni zabrali pistolety. To ona mi powiedziała.

- Powiedz, że je odzyskałeś. Wymyśl coś, John. To ważne.

Chen wiedział, że ważne. Ważne było wszystko, z czym przychodzili do niego Pike i Cole.

Jeszcze raz zajrzał do plecaka.

-Na tych szklankach są odciski? Mam sprawdzić te, czy te na pistoletach?

-Ci, co je zostawili, skończą u koronera, ale koroner ich nie zidentyfikuje. Zrobisz to ty.

Chen pokręcił głową.

-Mogę je zdjąć i sprawdzić, ale to ta sama baza danych. Live Scan to Live Scan. Jeśli koroner ich nie znajdzie, nie znajdę i ja.

-Tych ludzi nie ma w waszej bazie danych. Przyjechali tu z Ekwadoru.

Chen zerknął na szklanki. Standardowy skan komputerowy Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej FBI nie obejmował całego świata. Żeby przeprowadzić skan międzynarodowy, trzeba było złożyć specjalne podanie, ale nawet wtedy wymagało to zgody na skan baz danych poszczegół-

nych krajów. Baza ogólna nie istniała, więc jeśli nie wiedziało się, gdzie szukać, znajdowało się jedno wielkie gównno.

-Zrobisz to, John? - spytał Pike.

-To coś dużego, prawda?

-Bardzo. Z dnia na dzień coraz większego.

Myśląc, co musiałby zrobić - z pistoletami i szklankami - John zagryzł górną wargę. Pistolety? Był prawie pewien, że LaMolla zgodziłaby się je sprawdzić; była wciąż wściekła na federalnych, że zabrali jej ulubione zabawki i że ani Harriet, ani ci z komendy głównej nie powiedzieli jej dlaczego. Sprawdziłaby je choćby tylko po to, żeby zrobić skurwielom na złość.

- Dobra - powiedział. - Zajmę się tym.

Pike wysiadł i odszedł.

Chen patrzył za nim, myśląc, że kiedy się już go pozna, Pike wcale nie jest taki zły. Nie taki straszny, choć jednak straszny.

„John, jesteś moim przyjacielem”.

Chen wyjął szklanki. Jedną po drugiej podniósł pod światło i nawet przez folię zobaczył wyraźne odciski palców. Uśmiechnął się szeroko. Koroner miał pięciu niezidentyfikowanych sztywniaków i przybyło mu dwóch kolejnych. Wszyscy będą drapali się w głowę, myśląc, kim ci faceci są, ale i tak tego nie rozgryzą...

...chyba, że do akcji wkroczy on, John Chen.

Chen uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Spluwy mogły zaczekać, teraz była najlepsza pora na szklanki. Techników przetrzebiło, Harriet poszła do domu i nikt nie spyta go, co robi. Chen wepchnął pistolety pod fotel, zamknął samochód i wrócił do laboratorium ze szklankami.

Chciał zidentyfikować tych facetów nie tylko ze względu na siebie i na to, co będzie z tego miał, ale i ze względu na Pike'a. Nie mógł go zawieść. Joe Pike był jego przyjacielem.

Chociaż Cole podrzucił jej jedzenie, Pike wstąpił do hinduskiej restauracji z daniami na wynos w Silver Lake. Kupił potrawę ze szpinaku i sera zwaną saag paneer, warzywne jalfrezi, płaski chlebek drożdżowy naan z czosnkiem i kwartę słodkiego lassi. Lassi było gęste jak koktajl mleczny i przyprawione mango. Lubił zapach mocnych przypraw, czosnku i garam masala, kolendry i kardamonu. Ich aromat przypominał mu górskie wioski i porośnięte dzunglą doliny, gdzie pierwszy raz jadł takie potrawy. Wrócił mu apetyt. Stres powoli mijał, ustępując miejsca przyprawiającemu o młodości głodowi.

Gdy dotarł na miejsce i skręcił na podjazd, było już dobrze po zachodzie słońca. Zamknięte drzwi, na ziemi cienie od świateł w oknach - wszystko wyglądało normalnie. Wyłączył silnik i w nagłej ciszy znowu zadzwoniło mu w uszach, chociaż nie tak mocno jak przedtem. Nie zamierzał mówić jej o Luisie i Jorge, powie tylko, że zrobił postęp, żeby lepiej się poczuła.

Zamknął samochód i wszedł na ganek. Pamiętając, że ilekroć wyrastał przed nią jak spod ziemi, zawsze bardzo się bała, tym razem się zapowiedział. Zapukał i otworzył drzwi.

- To ja.

Wchodząc do środka, od razu wyczuł ciszę. Obok otwartej butelki wody na stoliku do kawy leżał iPod Cole'a. Na podłodze zobaczył jej czasopisma. Wszędzie paliło się światło, lecz nie słyszał najmniejszego szmeru. Skupił się i odfiltrował jęk klimatyzatora, myśląc, że Larkin się z nim bawi, bo nie lubiła, kiedy ją zaskakiwał, ale nie, wiedział, że coś jest nie tak. Cisza pustego domu jest jedyna w swoim rodzaju.

Postawił na podłodze torbę z jedzeniem. Wyjął pistolet i opuścił rękę.



- Larkin?

Jeden skok, i już był w jej pokoju. Znowu skok, i sprawdził drugi, potem łazienkę i kuchnię. Larkin nie było w domu. Ich rzeczy leżały tam gdzie zawsze, nie było żadnych śladów walki. Okna? Nienaruszone. Kuchenne drzwi też, mimo to otworzył je, wyjrzał na podwórze, a potem jeszcze raz przeszedł przez cały dom. Frontowe drzwi też były całe i nikt nie próbował ich wyważyć.

List? Nie znalazł żadnego.

Jej torebka i torby wciąż były w sypialni. Jeśli uciekła, musiała je zostawić.

Otworzył drzwi i wyszedł na ciemny ganek. Wyteżył słuch i wczuł się w otoczenie: srebrzysty krąg światła pod latarnią, otwarte domki ze złocistymi oknami, sąsiedzi na ganekach i w domu. Normalne życie. Tych z pistoletami tu nie było. Nikt nie wyniósł stąd szarpiącej się dziewczyny i nie wsadził jej do samochodu, nikt nie słyszał jej krzyku. Larkin po prostu uciekła.

Wyszedł na ulicę, zastanawiając się, którądy poszła i dlaczego. Miała karty kredytowe i trochę gotówki, ale nie miała telefonu, z którego mogłaby zadzwonić do znajomych czy po samochód. Pomyślał, że poszła pewnie na Bulwar Zachodzącego Słońca, żeby poszukać budki, ale właśnie wtedy roześmiała się staruszka z ganku naprzeciwko. Siedziała tam co wieczór z mężem, słuchając transmisji ze stadionu Dodgersów. Tego wieczoru z radia leciała muzyka, mimo to wyraźnie słyszał ich głosy.

Przeszedł między samochodami, przeciął srebrzysty krąg światła.

- Przepraszam państwa...

Ganek oświetlało tylko światło z pokoju. Papierosowe ogniki unosiły się w ciemności jak robaczki świętojańskie.

Starzec zaciągnął się dymem i jeden z ogników zapłonął czerwonym blaskiem. Radio ucichło.

- Dobry wieczór. - Mówił po angielsku z rosyjskim akcentem.

-Mieszkam naprzeciwko - powiedział Pike.

Staruszka machnęła papierosem.

-Wiemy. Widzieliśmy pana i tę młodą panią.

-Dzisiaj też ją państwo widzieli?

Nie odpowiedzieli, ani ona, ani on. Siedzieli w półmroku na tanich aluminiowych fotelach ogrodowych. Starzec znowu zaciągnął się dymem.

- Chyba poszła na spacer - dodał Pike. - Widzieli państwo w którą stronę?

Starzec chrząknął i znacząco zakręcił ręką.

-Słucham? - rzucił Pike.

-To pańska żona? - wtrąciła staruszka.

Pike wyczuł wagę jej pytania i postanowił odłożyć seks na półkę.

-Siostra.

-Aha - mruknął starzec.

W twarzy staruszki było coś, co mówiło, że mu nie uwierzyła i że zastanawia się nad odpowiedzią. W końcu podjęła decyzję i machnęła ręką w stronę ulicy.

-Pojechała z tymi tam.

-Z Armeńczykami - dodał jej mąż.

Staruszka kiwnęła głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

-Stali przy tym swoim samochodzie, bo oni zawsze tam stoją, i pojechała. Z nimi.

-Kiedy to było? - spytał Pike.

-Nie tak dawno. Nie więcej jak godzinę temu.

Godzinę temu. Nie więcej jak godzinę temu.

-Ci Armeńczycy, gdzie mieszkają?

Staruszka dźgnęła papierosem w bok.

- Tam, po sąsiedzku. Sami bracia i kuzyni, tak mówią. Oni wszyscy mówią, że są kuzynami, ale z nimi nigdy nic nie wiadomo.

- Armeńczycy - mruknął jej mąż.

W domu, który wskazała, nie paliło się światło, a na ulicy nie było bmw. Staruszka jakby czytała w jego myślach.

-Nikogo nie ma - dodała. - Wszyscy pojechali.

-Mówili dokąd? Słyszała pani?

Staruszka odchyliła się z fotelem do tyłu i wyciągnęła szyję w stronę otwartego okna.

- Rolo! Rolo, chodź no tu!

Zza drzwi z siatką wychynał chłopak w bluzie Lakersów. Wysoki i chudy mógł mieć czternaście, piętnaście lat.

-Tak, babciu?

-Ci Armeńczycy, gdzie oni jeżdżą?

-Nie wiem.

Poirytowany starzec gniewnie machnął ręką, jakby mówił: przestań się zgrywać.

-Armeńczycy. Ten klub, gdzie nie wolno ci chodzić.

Staruszka uniosła brew i spojrzała na Pike'a.

-On wie. Gada z nimi. Z tym młodym. Mają swój klub.

Zawstydzony Rolo opisał coś, co wyglądało na dansing w pobliskim Los Feliz. Nie pamiętał nazwy, ale dobrze go opisał: stary budynek o świeżo pobielonych ścianach na północ od bulwaru, taki z jednym wyrazem na szyldzie. Wyraz zaczynał się chyba na „Y”, chociaż Rolo nie był tego pewny.

Pike znalazł ten lokal już dwadzieścia minut później, mały klub wciśnięty między armeńską księgarnię i wietnamsko-francuską piekarnię. Duży napis na dachu głosił, że mieści się tam Club Yerevan. Obite czerwoną skórą drzwi były otwarte. Pod drzwiami, rozmawiając i paląc, stało trzech osiłków, dwóch w koszuli z krótkimi rękawami, jeden w błyszczącej skórzanej marynarce. Nad drzwiami też był napis, tyle że mniejszy: PARKOWAĆ Z TYŁU.

Pike skręcił za róg. Uliczka prowadziła na parking, któ-

rego pilnował cięć w maleńkiej budce. Cięć siedział w budce, a parkingowy parkował i chociaż było wcześniej, zaczynało już brakować miejsca. Pod drzwiami od zaplecza stała grupka ludzi.

Pike nie tracił czasu na parkowanie czy szukanie bmw. Larkin była tam albo nie i gdyby jej nie było, zamierzał natychmiast jechać dalej. Stał za piekarnią i wysiadł. Z budki wybiegł cięć, wymachując rękami.

- Tu się nie parkuje, tu nie wolno.

Pike nie zwracał na niego uwagi. Przebił się do drzwi. Tamten wciąż krzyczał i zawodził, ale on miał to gdzieś. Minał młodą kobietę sprzedającą brązowe papierosy i kilku uśmiechniętych mężczyzn, którzy nie odrywali od niej oczu. Wszedł do kiszkowatego korytarza, gdzie pod ścianami stało jeszcze więcej ludzi krzyczących coś do siebie wśród rytmicznego hip-hopu, upiornej składanki, która nie zagłuszała jednak histerycznego skowytu ciecica. Pchnął drzwi męskiej toalety, zajrzał do środka, otworzył drzwi sąsiedniej, damskiej. Ludzie gapili się na niego albo się śmiali, ale on na to nie zważał.

Korytarz skręcił, przeszedł w drugi, potem trzeci. Na końcu trzeciego było najgęściej i najgłośniejsze, bo w rytm dudniącego tam basu ryczał tłum. Ludzie szaleli, krzyczeli i wrzeszczeli, przepychali się, popychali, klaskali nad głową w dłonie i skandowali:

- Dawaj, mała! Dawaj, mała! Dawaj, mała!

Pike przebił się przez mur spoconych ciał, wlewających się do głównej sali, i wtedy ją zobaczył. Rozebrana do stánika stała na ladzie, kręcąc tyłkiem jak zawodowa striptizerka. Odwróciła się leniwie, przesunęła rękami od głowy po krocze, uśmiechnęła się lubieżnie i przykucnęła, tak że widział już tylko delfina, który skacząc po jej pośladku, robił wszystko, żeby Pike zauważył go i rozpoznał.

Zobaczyła go dopiero wtedy, kiedy podszedł do lady.

Natychmiast przestała tańczyć i znieruchomiała jak mała dziewczynka przyłapana na czymś brzydkim. Wstała i spojrziała na niego ze skruszoną, wystraszoną miną. On patrzył na nią i przez chwilę byli jedynymi gośćmi, którzy nie szaleli i nie wrzeszczeli.

Spróbował przekrzyczeć pulsujący bas.

- Złaź!

Ani drgnęła. Miała dziwnie smutną twarz. Nie krzyknął po raz drugi. Nie wiedział, czy go usłyszała.

Nie stawiała oporu, gdy ściągnął ją z lady.

Odwrócił się i tamci nie wiedzieli, co o tym myśleć, bo jedni zaczęli buczeć, inni się śmiać. Ale wtedy wyrosło przed nim dwóch kuzynów i jakiś grubas. Starszy z kuzynów zaszedł mu drogę, a grubas szarpnął go za ramię. Gdy tylko go dotknął, Pike chwycił go za kciuk, oderwał dłoń od ramienia, zmienił kierunek ruchu jego ręki, tak jak skała zmienia bieg strumienia i niczym rozbijająca się o brzeg fala grubas grzmotnął twarzą w podłogę.

Ludzie się cofnęli.

Przez cały ten czas Pike patrzył tylko na starszego kuzyna, nie odwrócił wzroku i teraz.

Otoczający ich tłum cofnął się jeszcze dalej. Nikt nawet nie drgnął. Czując, że w końcu zrozumieli, o co chodzi, Pike wyprowadził Larkin z sali.

## 25

Ci tłoczący się pod drzwiami od podwórza nie widzieli, jak tańczyła ani nie wiedzieli, co stało się w barze, mimo to Pike zaciągnął ją prosto do samochodu. Wsiadła bez słowa. Wrzucił wsteczny, szybko wyjechał na ulicę i pełnym gazem popędził w kierunku bulwaru, zastanawiając się, co zrobić z kuzynami i czy w ogóle warto wracać do domu.

Był zły, a gniew jest złym doradcą. Miał chronić Larkin. Odezwał się dopiero dwie ulice dalej.

-Powiedziałaś im, kim jesteś?

-Nie.

-Co powiedziałaś?

-Mona. -Co?

- Że tak mam na imię. Musieli się jakoś do mnie zwracać. Więc powiedziałam, że Mona.

Pike ciągle zerkał w lusterko, sprawdzając, czy nikt za nimi nie jedzie.

-Ktoś cię rozpoznał?

-Nie wiem... Skąd mam wiedzieć?

-Może widziałaś, jak na ciebie patrzyli. Może ktoś coś powiedział.

-Nie.

-Pytali cię o coś? Rzucali jakieś uwagi?

-Pytali tylko o taniec. Czy umiem tańczyć. I o moje ulubione filmy. O takie tam.

Cztery ulice dalej zaparkował przed sklepem monopolowym. Ujął jej twarz w dłonie i odwrócił jej głowę w stronę nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów.

-Jesteś pijana?

-Mówiłam ci, że nie piję. Nigdy.

-Naćpana?

-Nie ćpam.

Przyjrzał się grze światła w jej oczach i doszedł do wniosku, że nie kłamie. Zabrał ręce, ale chwyciła go za dłoń i przytrzymała. Pociągnął, próbował się wyszarpnąć, ale nie chciał zrobić jej krzywdy.

- Zdejmij te głupie okulary - powiedziała. - Wiesz, jak w nich wyglądasz? Aż ciarki przechodzą. W nocy nikt nie nosi ciemnych okularów. Chcę cię zobaczyć. Ty patrzyłeś mi w oczy, teraz ja chcę spojrzeć w twoje.

Chciała zobaczyć jego oczy już na pustyni, kiedy się poznali. Wtedy była bezczelna, teraz zła i wystraszona.

- To tylko oczy - odparł.

Rozwarł jej palce i zabrał rękę. Powoli i ostrożnie, żeby nie zrobić jej krzywdy. Nie tak jak w barze.

-Przez ciebie mogli nas zabić. Chcesz umrzeć? Dlatego to robisz?

-Nie bądź głupi...

-Powiedz, czego chcesz. Chcesz wrócić do domu, zawiozę cię do domu. Chcesz żyć, to pozwól mi to skończyć.

- Ja nie...

Chwyił ją za rękę.

- Sprzedam życie bardzo drogo, ale nie za samobójstwo. Nie zamierzam go marnować.

Spojrzała na niego, zbita z tropu.

- Nie proszę cię, żebyś...

Ścisnął jej dłoń.

- Chcesz jechać do domu, to jedźmy. Chcesz umrzeć, to wracaj do siebie i umrzyj tam, bo tu ci nie pozwolę.

Może ścisnął za mocno. Ręce miał silne, stwardniałe, sama chrząstka i kości. Na podbródku zrobił jej się dołek, oczy zaszkły łzami.

- Ja tylko jechałam samochodem!

Klepnął dłonią w kierownicę.

-Jest wszystko jedno. Powietrzu, które wdychamy, też. Wystarczy oddychać i...

-Dupek!

-Wolisz tańczyć czy żyć? Za dwadzieścia minut możesz być w domu.

-Nie wiesz, jak to jest być mną!

-A ty nie wiesz, jak to jest być mną.

Światła reflektorów i światła hamowania tańczyły na jej twarzy jak światło na wodzie, a żółte, zielone i niebieskie

neony malowały ją chaosem rozedrganych kolorów. Larkin milczała, jakby nie mogła mówić. Pike zniżył głos.

-Powiedz, że chcesz żyć.

-Chcę żyć.

-Jeszcze raz.

-Chcę żyć!

Puścił jej ręce, ale się nie poruszyła. Usiadł prosto.

-Jesteśmy prawie tacy sami.

Wybuchła śmiechem.

-Boże! O mój Boże! Może to ty się nawaliłeś?

Pike wrzucił bieg, ale nie zdjął nogi z hamulca. Ich podobieństwo zdawało się oczywiste.

- Ty chcesz, żeby cię widziano, ja chcę być niewidzialny.

To jedno i to samo.

Spojrzała na niego i też usiadła prosto.

- Idealista.

Nie zrozumiał i pokręcił głową.

- Twój przyjaciel Elvis. Powiedział, że jesteś idealistą.

Pike włączył się do ruchu.

Larkin zaczęła coś mówić, lecz zamilkła jak ktoś, kto nagle się zamyślił. Jechali bez słowa, ale raz, tylko raz, ścisnęła go za rękę, a on poklepał ją po kolanie. Też tylko raz.

## 26

Gdy po rytmie jej oddechu poznał, że zasnęła, zgasił ostatnią lampę i pokój, a wraz z pokojem cały dom pogrążył się w ciemności. Musiał wyjść i nie chciał, żeby przez drzwi wpadło światło.

Siedział po cichu i patrzył na nią. Zjedli hinduskie potrawy, które kupił, chociaż jedli niewiele. I niewiele mówili;



głównie nabijali się z muzyki na iPodzie Cole'a, a potem, wciąż w słuchawkach, Larkin usnęła.

Gdy spała, wyglądała jeszcze młodziej i była jeszcze drobniejsza, jakby częściowo wchłonęła ją sofa. Wierzył, że we śnie Larkin jest sobą, że widzi wtedy jej Prawdziwą Osobę. Wierzył, że każdy stwarza sam siebie, że buduje siebie od środka na zewnątrz, że napięcie, siła i wola tego kogoś w środku, tej wewnętrznej osoby, spaja ją z tą zewnętrzną. Ta zewnętrzna to twarz, którą pokazujesz światu, twoja maska, kamuflaż, przekaz i - być może - narzędzie. Maska czy kamuflaż istnieje dopóty, dopóki osoba wewnętrzna trzyma tę zewnętrzną, bo kiedy puści, maska spada i widać Prawdziwą Osobę. Zauważył, że sen może poluznić to, co je spaja. Że może to poluznić alkohol, narkotyki i silne emocje, że im słabsze spoiwo, tym łatwiej puszcza. A kiedy puszcza, widzi się osobę w osobie. Często myślał o tych sprawach. Cała sztuka polegała na tym, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie osoba wewnętrzna i zewnętrzna są takie same. Im bliżej tego miejsca się dotrze, tym jest się silniejszym. Uważał, że taką osobą jest Cole, że jego wnętrze i to co na zewnątrz są prawie identyczne. Podziwiał go za to. Zastanawiał się również, czy Cole osiągnął ten stan dzięki systematycznej pracy nad sobą, czy też po prostu taki już był. Tak czy inaczej, uważał, że to wielki wyczyn i próbował go naśladować. Wewnętrzna osoba Pike'a zbudowała fortecę. Forteca zdała egzamin, ale on chciał czegoś więcej. W fortecy żyje się samotnie.

Doszedł do wniosku, że Prawdziwa Osoba Larkin jest dzieckiem, co mogło być dobre albo złe. Dziecko długo nie wytrzyma. Trzymając osobę zewnętrzną, osłabnie z wysiłku i coś w nim w końcu pęknie. Zmiażdżone i rozerwane zmieni się wówczas w kogoś innego, co też może być dobre albo złe, ale na pewno przestanie być Prawdziwą Osobą. Niektórzy filozofowie uważali, że zmiana jest dobra, ale on

nie był tego pewien. Uważał, że jest to pogląd wyrachowany; zmiana bywa nieunikniona, a jeśli tak, zawsze można przedstawić ją jako coś lepszego.

Po kilku minutach usiadł przy stole, rozłożył pistolet dokładnie tak, jak zrobił to z rana i zaczął go czyścić, już drugi raz tego dnia. Nie zamierzał spać. Nie zdecydował jeszcze, czy zmieni lokal, czy nie, no i dużo zależało od Armeńczyków. Właśnie na nich czekał.

Praca po ciemku nie nastęczała mu żadnych trudności. Znowu przetarł części pistoletu preparatem, niewielką ilością, by nie obudził jej zapach. Chciał, żeby spała, kiedy wróćą kuzyni.

Usłyszał ich, gdy czyścił lufę. Podszedł do okna i zobaczył, jak wysiadają z bmw, cała piątka.

Wyślizgnął się na ganek i ruszył w stronę ulicy. Najstarszy z kuzynów wysunął się zza kierownicy. Zobaczyli go dopiero wtedy, gdy wyszedł na chodnik, a wówczas ten najmłodszy, ten, który siedział na tylnym siedzeniu, powiedział coś i wszyscy się odwrócili.

Okolica była cicha i spokojna, pora późna. Ganki świeciły pustką. Starcy i ich rodziny już spali. W parkujących przy chodniku samochodach też nie było nikogo, nie licząc jego i pięciu Armeńczyków w stożku niebieskiego światła.

Pike zatrzymał się metr przed nimi, popatrzył po ich twarzach i zatrzymał wzrok na tym najstarszym, tym, który zaszedł mu drogę w klubie.

- Rozumiem, że nie powiedziała wam, że jesteśmy małżeństwem. Rozumiem, że o tym nie wiedzieliście i dlatego ją tam zabraliście. Rozumiem, że teraz, kiedy już wiecie, sytuacja się nie powtórzy.

Najstarszy z kuzynów podniósł ręce, dając mu do zrozumienia, że żałuje, że do tego doszło.

- Absolutnie, przyjacielu. Powiedziała, że razem mieszkanie, to wszystko. Jak współlokatorzy, tak powiedziała.

On mówił, a ten młodszy mu potakiwał.

- Myśmy se tu luzowali, a ona wyszła i do nas zagadała.

Tak się zamerykanizował, że mówił jak prawdziwy hip-hopowiec, tyle że z armeńskim akcentem.

-Rozumiem - odparł Pike. - A więc nie mamy do siebie żadnych pretensji.

-Najmniejszych, bracie, jest spoko.

Pike obserwował ich twarze i mowę ciała nie po to, żeby się upewnić, czy naprawdę jest spoko, tylko po to, żeby sprawdzić, czy jej nie rozpoznali. Gdyby oni lub ktoś z klubu ją rozpoznał, gadaliby o tym przez resztę wieczoru. Uznał, że nic nie wiedzą ani nawet nie podejrzewają. Larkin była dla nich kolejną wariatką, której odbiła szajba. Doszedł do wniosku, że nic im nie grozi.

- Ten wyskok to nie pierwszy raz. Mona ma przez to kłopoty. Taki jeden ją nachodzi. Przeprowadziliśmy się, ale wie my, że jej szuka. Jak zobaczycie tu kogoś, dacie mi znać?

- Jasne - odparł najstarszy z kuzynów. - Nie ma sprawy.

Uścisnęli sobie ręce.

Odezwął się w końcu ten młodszy, ten, który przez cały czas gapił się na Pike'a z pełnym szacunku podziwem.

-Tam w klubie, jak ty to zrobiłeś? To się jakoś nazywa?

Najmłodszy Armeńczyk wybuchnął śmiechem.

-To się nazywa wpierdol, głupku!

Kuzyni też wybuchli śmiechem, ale ten najstarszy powiedział, że już późno i że pora spać.

Zaczekał, aż odejdą i ze współczuciem spojrzął na Pike'a.

- Przykro mi, że tak cierpisz, bracie. Musisz ją bardzo kochać.

Pike zostawił go w niebieskim świetle latarni i wrócił do domu. Larkin wciąż spała. Przyniósł narzutę, przykrył

ją, poszedł do kuchni i wziął butelkę wody. Wypił. Wyjął z lodówki reszkę jalfrezi, ale zjadł tyle co nic. Na stole czekał rozłożony pistolet. Lubił niezawodność stali. Lubił jej dotyk, twardość i kanciastość, przewidywalny sposób działania broni, jej dodającą pewności sobie prostotę. Kiedy składał ją i rozkładał, nie musiał myśleć.

Obserwował śpiącą dziewczynę, czekając na nowy dzień.

**Dzień czwarty**

**PATRZĄC W SŁOŃCE**

Tej nocy spał tylko kilka minut, to niespokojnie drze-  
miać, to rozmyślając i zamiast wypoczęty, wstał zdenerwo-  
wany. Polowanie nabierało rozpędu, dlatego chciał przycis-  
nąć tamtych jeszcze mocniej. Gdyby ich przycisnął, Meesh  
musiałby szybciej reagować i więcej wymagać od swoich  
ludzi. Ci zaczęliby się stawiać, Meesh wpadłby w gniew,  
a wtedy on napałby na niego jeszcze bardziej i jeszcze bar-  
dziej by przyspieszył. Nazywało się to stresowaniem prze-  
ciwnika i kiedy Meesh by ten stres odczuł, zdałby sobie  
sprawę, że nie jest już myśliwym. Musiałby pogodzić się z  
tym, że jest zwierzyną. To z kolei nazywało się łamaniem  
przeciwnika. Wtedy Meesh popełniłby błąd.

O wschodzie słońca poszedł do łazienki, żeby nie obu-  
dzić Larkin. Zadzwoił do Cole'a i powiedział mu o motelu.  
Po tonie jego głosu poznał, że Cole się zirytował.

-Ktoś cię tam rozpoznał?

-Nie.

-Na pewno?

Pike nie odpowiedział i Cole westchnął.

- Dobra, może i nie, bo gliniarze nie wyłamali mi jeszcze  
drzwi. Wezmę prysznic i wychodzę.

Kiedy Pike wrócił do pokoju, Larkin była już na nogach.

Nigdy dotąd tak wcześniej nie wstawała. Zobaczyła go i uciekła wzrokiem w bok, jakby wciąż była zażenowana swoim występem w klubie.

-Zrobiłeś kawę?

-Nie chciałem cię budzić.

-To zrobię.

Ruszyła do kuchni, ale ją zatrzymał.

- Mam tu coś. Chodź zobacz.

Wieczorem nie wspomniał jej o motelu, ale teraz zaprowadził ją do stołu, gdzie na Cole'a czekały paszporty i papiery. Otworzył paszport Luisa i pokazał jej zdjęcie. Larkin pokręciła głową.

-Jesus Leone. Kto to?

-Jeden z tych, którzy napadli na dom twego ojca. Ten, który pobił gosposię. Tak naprawdę ma na imię Luis. Nazwiska nie znam.

Jeden po drugim pokazał jej pozostałe paszporty, ale nie rozpoznała żadnego z nich. Ledwie zerknęła na zdjęcie.

- Skąd je masz?

Puścił to pytanie mimo uszu.

-Barone. Znasz to nazwisko? -Nie.

-A Carlos?

Larkin pokręciła głową i znowu wzięła do ręki paszport Luisa. Przyjrzała się zdjęciu, ale widział, że myśli o czymś innym.

- Nie dręczy cię to? No, wiesz...

-Nie.

-Nie? -Nie. Rzuciła

paszport na stół.

- To dobrze.

Cole przywiózł trzynastocalowy telewizor. Pike go o to nie prosił, ani on, ani Larkin, mimo to Cole przyjechał z małym sony.

- Stał w salonie i kurzył się. Nie wiem nawet, czy działa.

Pike wątpił, żeby Cole zapakował go do bagażnika, nie sprawdzivszy, czy warto zwracać sobie tym głowę, ale nic nie powiedział. Nie mieli kablówki, mieli za to rozkładaną antenę na telewizorze. Ustawili go w salonie, włączyli i okazało się, że działa jak trzeba. Nie odbierał kanałów kablowych, ale stacje miejscowe łapał bez problemu i miał czysty, ostry obraz.

Larkin podziękowała Cole'owi, lecz zrobiła to bez większego entuzjazmu. Od rana była przygaszona; nie chłodna, po prostu spokojna i cicha. Uśmiechnęła się nieśmiało, kiedy przyjechał, patrzyła bez słowa, jak podłączają telewizor, a potem zaległa na sofie z kubkiem kawy w ręku. Zaczęła od jakiegoś porannego programu rozrywkowego, ale ilekroć Pike na nią spoglądał, miał wrażenie, że jest trochę rozkojarzona. Jakby myślała o czymś innym.

Kiedy podłączyli telewizor, Pike pokazał Cole'owi paszporty. Cole obejrzał pod światło kartkę po kartce.

-Dobre podróbki. Świetne. Ilu ich przyjechało? Dwunastu?

-Podobno. Zostało pięciu.

Cole odłożył paszporty.

-Chyba że wezwą posiłki.

Pike pokazał mu plany miasta, bilety lotnicze i kartkę z kolonotatnika Luisa. Kartka była przetarta i wystrzępiona, bo Luis składał ją i rozkładał dziesiątki razy i jeszcze więcej razy upychał w kieszeni. Z obydwu stron pod wszystkimi możliwymi kątami pokrywały ją zupełnie nieczytelne notatki, zdania złożone najwyżej z kilku słów. Zanim Larkin wstała, Pike śleczął nad kartką prawie dwadzieścia minut, ale nie zdołał nic odczytać. Luis musiał pisać, prowadząc, pewnie z telefonem przy uchu i jedną ręką na kierownicy. Pike domyślał się tylko, że są to jakieś nazwiska i wskazówki. Numery były na pewno numerami telefonicznymi.

Cole zmarszczył czoło.

- Widać w szkole dla zbirów nie uczą kaligrafii.



Zerknął na bilety i plany miasta, położył na nich kartkę i obejrzał zegarek. Przeczytał napis na werku i uniósł brwi.

-George jak George King?

-Kosztuje sześćdziesiąt tysięcy.

-Mogę sprawdzić numer seryjny.

Położył zegarek na kartkę i zajął się komórkami. Pike spisał już z nich wszystkie połączenia przychodzące i wychodzące. Jedną oznaczył napisem: JORGE, drugą LUIS. Jorge wykonał tylko sześć telefonów, wszystkie do Luisa. Luis dzwonił czterdzieści siedem razy pod dziewiętnaście numerów. Cole zerknął na listę, potem na komórki.

- Która jest która?

Pike dotknął jednej, potem drugiej.

- Jorge. Luis.

Cole włączył je i przyjrzał się przyciskom.

-Szkoda, że nie znamy haseł. Moglibyśmy odsłuchać wiadomości. Jeśli jakieś są.

-Nie wyłączaj. Może ktoś zadzwoni.

-Chyba niepotrzebnie do niego dzwoniłeś. Facet wyrzucił komórkę i kupi sobie nową. Pewnie już wyrzucił.

-Wiedzą, że mamy te telefony, odkąd policja znalazła Luisa i Jorge. Chciałem go zdenerwować.

Cole zerknął na Larkin, żeby się upewnić, czy nie podsłuchuje i zniżył głos.

-Zabiłeś mu siedmiu ludzi. Pewnie łyka maaloX za maaloXem.

-Teraz to sprawa osobista. Tak jest lepiej.

-A jeśli uzna, że sprawa jest za bardzo osobista i że lepiej wrócić do Kolumbii?

-Pojadę za nim.

Cole znowu zerknął na dziewczynę.

-Ale nie jesteś pewien, czy ten, z którym rozmawiałeś, to Meesh, tak?

-Mówił z akcentem. Lekkim, ale wyczuwalnym. Chyba

francuskim. Może francusko-hiszpańskim. Wczoraj byłem pewny, że to on, ale dzisiaj nie jestem. -Bo?

- Bo jak mówi bandzior z Denver? W aktach nic nie piszą o akcencie, ale akta są niepełne.

Cole jeszcze raz przejrzał numery.

- Dobra, nawet jeśli wyrzucą telefony, może coś wymyśle. Mamy dziewiętnaście numerów, co znaczy, że ten tu połączył się z dziewiętnastoma telefonami, a te łączyły się na pewno z innymi. Nie wszystkie z nich są na kartę. Pogadam ze znajomą z telekomunikacji. Może uda jej się zdobyć billingi od innych dostawców. Prędzej czy później natrafi my na telefon kogoś z prawdziwym nazwiskiem.

Pike zauważył, że Larkin go obserwuje. Gospodarze programu rozmawiali o gwiazdce filmowej, która wniosła do sądu sprawę o ustalenie ojcostwa, ale ona ich nie słuchała.

-Jak tam? - rzucił.

-W porządku.

Przeniosła wzrok na ekran telewizora.

Cole zajął się biletami lotniczymi i coś tam sobie notował. Ani na planach, ani na biletach, ani wśród karteluszek nie było żadnych przełomowych informacji, takich jak choćby rachunek hotelowy podpisany przez Alexandra Meesha, ale Pike wcale się tego nie spodziewał. Wiedział, że Cole sprawdzi numery telefonów, tak jak Chen sprawdzi broń. Że prędzej czy później coś wyskoczy i Meesh znajdzie się bliżej. Pike był cierpliwy. Krok po kroku - na tym właśnie polegał pościg. Jeden krok, potem drugi. I wkrótce miało się cel na muszce.

Krok po kroku - wszystko sprowadzało się tylko do tego.

Zostawił Cole'a i poszedł sprawdzić okna. Beemka kuzynów stała na swoim miejscu, ulica i domy wyglądały tak jak zawsze. Nie pojawił się żaden nowy samochód, za krzakami nie siedział żaden obcy. Nic nie rzucało się w oczy.

Chociaż było wcześniej, temperatura szybko rosła i znowu zanosilo się na upał. Blednące niebo zasnuwała leciutka mgła. W południe przesycone ozonem powietrze będzie zżerało skórę jak niewidzialne muszki.

Odwrócił się od okna. Larkin patrzyła na ekran telewizora, ale wiedział, że znowu go obserwowała. Zdradził ją ledwo dostrzegalny ruch oczu.

-Dzisiaj włączymy klimatyzację.

-Super. Dzięki.

-Dobrze się czujesz?

-Tak, świetnie.

Zastanawiał się, dlaczego go obserwuje. To do niej nie pasowało. Nie była zła ani nie stroiła fochów. Po prostu nie patrzyła na niego, kiedy on patrzył na nią. Sprawdził, czy Cole jest wciąż zajęty i podszedł do sofy. Stanął tak blisko, że musiała na niego spojrzeć.

-Co? - spytała.

-Nie martw się.

-Czym?

-Wczorajszym. Przestań. Nic nam nie grozi, ani tobie, ani mnie.

-Wiem.

Poczuła się chyba jeszcze bardziej nieswojo, ale w tym momencie odezwał się Cole.

- Coś znalazłem.

Z kartką w ręku, odchyłał się z krzesłem do tyłu.

-Odczytałeś to?

-Tylko liczby. Zobacz.

Pike podszedł bliżej i tym razem Larkin podeszła razem z nim. Cole wygładził kartkę na stole i wskazał liczbę 18185.

-Jakby zaczął zapisywać czyjś numer i nie dokończył

-powiedział Pike; 818 było numerem kierunkowym doliny San Fernando.

-To jest numer telefonu, tylko tak wygląda. To jest

adres. - Cole położył na kartce jeden ze swoich planów i spojrzął na Larkin. - Tu jest twoja ulica. Skojarzyłem sobie ten numer, bo pod każdym adresem robiłem notatki.

-Ale ja mieszkam tu - powiedziała Larkin. - Siedemnaście dziewięćset dwadzieścia dwa. To mój dom.

-Tak, stoi trzy ulice dalej, w kwartale siedemnaście dziewięćset. Numery rosną na południe. Tu miałaś wypadek. - Cole wskazał krzyżyk na papierze i postukał palcem w sąsiadujący z nim budynek. - A tu jest działka osiemnaście sto osiemdziesiąt pięć. W zaułku, z którego tamci wyjeżdżali, kiedy na nich wpadłaś. - Adres każdego domu był wypisany małymi drukowanymi literami. 18 185 - był to numer opuszczonego magazynu na rogu zaułka i ulicy.

- Kiedy przyleciał tu Luis? - spytał Pike.

Cole sprawdził daty na bilecie.

- Cztery dni po wypadku. Cztery dni po tym, jak federalni przeczესali całą okolice. Larkin była wtedy u ojca w Beverly Hills, a o wypadku nikt już nie pamiętał. Gdyby polowali na nią, poszliby do jej mieszkania albo pojechali do Beverly Hills. Dlaczego miałyby interesować ich miejsce, gdzie rozwalila samochód?

Pike wiedział, że Cole ma rację. Luis i jego żołnierze nie mieli ku temu żadnego powodu.

-Może nie był na miejscu wypadku. Może był w tym magazynie.

-Trzeba pojechać tam jeszcze raz.

Pike włożył koszulę, Cole zebrał notatki. Zapinając koszulę, Pike spostrzegł, że Larkin znowu mu się przygląda. Właśnie się zastanawiał, czy może zostawić ją samą, ale ułatwiła mu decyzję.

- Jak chcesz, możesz zostać. Nie musisz siedzieć w samochodzie.

Zaskoczona odwróciła głowę, jakby nie wytrzymała bolesnego ciężaru jego spojrzenia. Larkin, ta z barowej lady,

nie wpadała w zakłopotanie ani nie czuła się nieswojo, podobnie Larkin w pustyni, ale ta Larkin była inna. Chciała coś powiedzieć, Pike wyraźnie to czuł, ale wciąż się wahała.

- Chciałabym pojechać. Jeśli można.

Nie wydawała poleceń. Nie rozkazywała. Prosiła.

- Jak chcesz - odparł.

Pięć minut później wyszli z domu.

## 28

Zjeżdżali za Cole'em ze wzgórz, sunąc po cichu nienaturalnie jasnymi ulicami. Larkin nie siedziała po turecku, tak jak poprzedniego dnia. Siedziała prosto, patrząc przed siebie, z nogami na podłodze. Pike tego nie skomentował. Jej sprawa. Zechce się odezwać, to się odezwie. A jak nie, to nie.

Obserwował ją kątem oka. Dwa razy chciała coś powiedzieć i dwa razy zrezygnowała. Właśnie przecinali Bulwar Zachodzącego Słońca, kiedy zadzwonił John Chen.

- Nie mogłem wcześniej.

Szeptał tak cicho, że Pike prawie go nie słyszał. Pewnie nie był sam.

-Możesz zadzwonić z lepszego miejsca?

-Robię trupa w Monterey Park. Jakiś palant napoił matkę płynem do przetykania rur. Wlał jej toto do gardła, przyduślił babę do podłogi, zaczekał, aż przestanie się rzucać i zawiadomił policję. Siedzę tu, kurwa, od szóstej. Z kibla dzwonię.

-Czego się dowiedziałeś?

-Miałeś rację z tymi odciskami.

-Zidentyfikowałeś je?

- Obydwa komplety, przez południowoamerykański In terpol. Cholera, zaczekaj... - Głos Chena stał się przytłumiony, choć głośniejszy: - Nie wiem jak długo. Carnitas mi za szkodziły. - Potem znowu przeszedł w szept: - Głupie kutasy.

-Mów, John. Czego się dowiedziałeś?

-To Jorge Manuel Petrada i Luis Alva Mendoza. Petrada urodził się w Kolumbii, ale jest notowany i w Kolumbii, i w Wenezueli, i w Ekwadorze. Mendoza urodził się w Ekwadorze, ale on też robił karierę, gdzie się dało. Obydwaj siedzieli i są poszukiwani za kilka morderstw; Mendoza za morderstwa i trzykrotny gwałt. Skąd ty wytrzasnąłeś te szklanki?

Pike pomiął to milczeniem.

-Dla kogo pracują?

-Dla faceta Estebana Barone'a. Barone jest szefem kartelu z Quito. Według tych z Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami, po tym, jak rozbito kartele z Medellin i Cali, przejął to, co po nich zostało.

-Mają w Los Angeles wspólników albo rodzinę?

-Nic tam o tym nie ma.

-A w ogóle w Stanach?

-Też nie wiadomo.

- Może należeli do jakiegoś gangu stamtąd?

Latynoskie gangi z Los Angeles, takie jak Mara 18 czy MS-13, miały liczne powiązania z gangami z Ameryki Środkowej i Południowej.

- Nie, należeli do gangu Barone'a. I nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek przedtem byli w Stanach.

Chen potwierdził to, co mówił Jorge, ale nie powiedział niczego, co naprowadziłoby Pike'a na trop Meesha.

-Sprawdziłeś te pistolety?

-Najpierw muszę się stąd wydostać, ale posłuchaj: federalni skonfiskowali również broń z Malibu. Wpadli do biura szeryfa tak jak do nas i zgarnęli co się dało, pistolety, łuski, wszystko.

-Pitman?

-Tak jak u nas, żadnych pytań. Ci z kostnicy też byli od tego Barone'a?

-Też.

-Po mojemu to jest tak: federalni już wiedzą, kim oni są. I chcą nas wyeliminować z gry.

-Pewnie tak.

-Nie kapuję. Dobra, to dilerzy, jakieś dupki z Ekwadoru. Dlaczego federalni nie chcą, żebyśmy ich zidentyfikowali? Bo co? Bo to Interpol, bo agencje międzynarodowe? Nasi często z nimi współpracują. Mój znajomek z narkotykowego spędza w Meksyku tyle czasu, że praktycznie tam mieszka.

Pike'a też to zastanawiało. Pranie brudnych pieniędzy to pranie brudnych pieniędzy bez względu na to, czy był to szmal gangsterów z Jersey, czy baronów z Ekwadoru. To, że federalni poświęcają tyle energii na sprawę Kingów, z godziny na godzinę miało mniej sensu, podobnie jak to, że odsunęli od śledztwa policję. Pike w to nie wierzył. Uważał, że Pitman prowadzi jakąś grę, że próbuje coś ukryć. Nie wiedział tylko co.

-Myślisz, że gdybym wziął odciski tych z Malibu i Eagle Rock i wrzucił je do bazy danych Interpolu, to coś by mi wyskoczyło? To byłaby bomba, bracie. Prawdziwa bomba.

-Lepiej daj temu spokój, John.

-Jak to? Czemu?

-Daj temu spokój. To może być coś większego, niż myślimy.

-Coś przede mną ukrywasz, tak?

- Bo jeszcze nie wszystko wiem. Trochę wiem, ale nie wszystko. Powiem ci, kiedy będę wiedział więcej.

Chen chrząknął, dając mu do zrozumienia, że jest gotów zaryzykować.

- Mogę cię o coś spytać? Ci faceci z Ekwadoru - co oni tu robią?

Pike odpowiedział najlepiej, jak umiał.

- Umierają.

Zamknął kłapkę telefonu i zerknął na Larkin. Znowu go obserwowała.

-Esteban Barone. Tak brzmi jego pełne nazwisko.

-I tak nic mi nie mówi.

-Ci, którzy próbują cię zabić, to jego ludzie.

-Myślałam, że Meesha.

-Barone robi z Meeshem interesy. Tak twierdzi Pitman. Meesh przyjechał tu, żeby zainwestować południowoamerykańskie pieniądze.

Larkin nie odpowiedziała. Zamyślona patrzyła na niego dokładnie tak jak rano, tylko że tym razem nie uciekła wzrokiem w bok.

- Chcę cię o coś spytać. Wczoraj powiedziałaś, że chcę być widziana. Dlaczego tak uważasz?

Pike myślał, że to oczywiste.

- Bo czujesz się niewidzialna. Jeśli nikt cię nie widzi, nie istniejesz, więc szukasz sposobu, żeby ktoś cię zobaczył.

Między jej brwiami ukazała się delikatna zmarszczka, ale Larkin nie była zła ani urażona. Robiła wrażenie smutnej.

- Chodzę na terapię, odkąd skończyłam jedenaście lat. Ty znasz mnie od trzech dni. Aż tak łatwo mnie rozgryźć?

-Tak.

- Dlaczego? Bo tańczyłam w tym klubie? Idź zobacz, co niektórzy wyczyniają w zapusty.

Pike poszukał przykładu.

- Na pustyni. Sposób, w jaki patrzyłaś na ojca. Nie pa trzymałaś po to, żeby go zobaczyć, tylko po to, żeby sprawdzić, czy cię widzi. Rozmawiał z Budem, tym adwokatem, i z mną, więc próbowałaś zwrócić jego uwagę, mówiąc coś szokującego. Chciałaś, żeby cię dostrzegł.

Larkin spojrzała w okno.

-Nie obchodzi mnie, czy dostrzeża mnie, czy nie.

-Teraz może nie, ale kiedyś tak. Gdyby było inaczej, nie zależałoby ci na tym, a przynajmniej nie tak bardzo.



Spojrzała na niego i zmarszczka prawie znikła.

-I dostrzegłeś to wszystko, obserwując mnie?

-Widząc. To nie to samo.

-Skąd masz taki dobry wzrok?

Pike nie wiedział, czy chce na to odpowiedzieć. Był skryty. Nigdy nie mówił o sobie i nie lubił tych, którzy mówili, ale uznał, że miała prawo spytać.

- Oglądaliśmy telewizję, moja mama, ojciec i ja, albo jedliśmy kolację i nagle ojcu odbijało. Coś wyprowadzało go z równowagi i zaczynał mnie bić. Albo mamę. Nauczyłem się rozpoznawać oznaki. Pochylone ramiona, zaciśnięte usta, to, ile wypił. Centymetr więcej wódki w szklance i mógł zaczynać. Drobiazgi dużo mówią. Jeśli umiesz je dostrzec, jakoś sobie poradzisz. Przegapisz coś i wylądujesz w szpitalu. Uczysz się obserwować.

Larkin milczała. Miała smutną twarz.

-Przykro mi - powiedziała.

-Zauważyłem, że między tobą i ojcem toczy się jakaś gra. Chcesz od niego czegoś, czego ci nie daje i pewnie nigdy nie dawał.

Pike zerknął w bok. Wciąż na niego patrzyła.

- Dzięki, że mnie zobaczyłeś.

Kiwnął głową.

- Bud powiedział mojemu ojcu, że mnie ochronisz. Ojciec spojrział na Gordona, jak zwykle. A Gordona obchodziło tylko, za ile. Ale Bud powiedział, że jesteś najlepszy.

I chyba miał rację.

Pike patrzył przed siebie.

-Mówił coś jeszcze?

-Bud? Tylko to, że kiedyś z tobą pracował. Że można ci zaufać. Że to załatwisz. Że za ciebie ręczy.

Pike przyjął to z kamienną twarzą i bez komentarza, ukrywając przed nią smutek tak jak niemal wszystko inne.

## Pod Łącznikiem

### 07.20

Balangi Pod Łącznikiem należały do tradycji. Knajpa mieściła się przy Bulwarze w Echo Park, w połowie drogi między Alvarado i stadionem Dodgersów, dlatego mieli do niej blisko i ci z komendy, i ci z akademii. Tu, między wyłożonymi ciemnym drewnem ścianami, na których roilo się od policyjnych i wydziałowych odznak, urządzano uroczyny i stypy, oblewano rozwody i awanse, tu żegnano odchodzących na emeryturę i emocjonowano się dającymi niezapomnianego kopa chwilami, kiedy któryś z nich wyszedł cało ze strzelaniny. Pod Łącznikiem zaczynało się karierę. I tu się ją kończyło.

O siódmej dwadzieścia rano Pike siedział przy stoliku -jako jedyny samotnie - ignorując uwagi i spojrzenia. Myślał, że będzie gorzej, było lepiej. Wybrał ten lokal na spotkanie z Budem Flynnem.

Służył w policji od trzech lat i czterech miesięcy i właśnie zmieniał pracę. Roczny staż skończył przed dwudziestoma ośmioma miesiącami. Był pierwszym i jedynym ze swego rocznika, który zabił na służbie człowieka, i wyróżnienie to wzbudzało w nim mieszane uczucia. Przed pięcioma tygodniami jako pierwszy ze swego rocznika zabił na służbie po raz drugi. Jak sam zeznał przed Komisją Kontroli Wewnętrznej, doszło do tego w motelu Islander Palms, zapluskwionej norze, gdzie broniąc pedofila Leonarda DeVille'a, nieumyślnie postrzelił Abła Wozniaka, *zasłużonego*, wielo-krotnie *odznaczonego* policjanta z dwudziestodwuletnim stażem. Abel Wozniak był jego partnerem. Wiele razy siadywali razem przy tym właśnie stoliku, ale to było kiedyś.

## Komisja Kontroli Wewnętrznej Przesłuchanie w sprawie śmierci Abła Wozniaka.

Przebieg zdarzeń (na podstawie ustaleń): 09.25: Ramona Ann

Escobar (lat 5) zostaje uprowadzona

z Echo Park Lake. 09.52: Policja otrzymuje pilny meldunek o uprowadzeniu.

Podejrzany: pedofil L. DeVille. 11.40: Policjanci Wozniak i Pike namierzają DeVille'a,

którego świadek widział z małą dziewczynką. 11.48:

Policjanci Wozniak i Pike przybywają

do motelu Islander Palms. 11.52: Policjanci Wozniak i

Pike wchodzą do pokoju DeVille'a.

Przesłuchują go. Znajdują zdjęcia Ramony Ann Escobar, jednak uprowadzonej w motelu nie ma.

**(Uwaga: wśród dowodów rzeczowych znajdują się zdjęcia, na których DeVille molestuje seksualnie uprowadzoną).**

11.55: Policjant Wozniak grozi DeVille'owi śmiercią,

jeśli ten nie powie im, gdzie jest dziewczynka.

Wozniak zadaje mu cios rękojęścią służbowego pistoletu.

**(Uwaga: w załączniku protokół z oględzin przeprowadzonych przez lekarza z oddziału urazowego).**

11.56: Policjant Pike bezskutecznie próbuje uspokoić Wozniaka.

Wozniak celuje z pistoletu w DeVille'a. Pike interweniuje.

11.57: Wozniak i Pike zaczynają się szamotać, pistolet wypala.

Policjant Wozniak umiera przed przybyciem karetki pogotowia.

**(Uwaga: wyniki oględzin lekarskich i sekcji zwłok są ze sobą zgodne)**

**(Uwaga: policjant Wozniak znał podejrzanego DeVille'a; dwa aresztowania)**

**[Jstalenia ostateczne: Przypadkowe postrzelenie. Nie postawiono zarzutów.**

O wpół do ósmej w knajpie zaroilo się od policjantów po nocnej służbie, którzy przed powrotem do domu chcieli spalić tu resztki ulicznej adrenaliny. Gapili się na niego, na gliniarza, który doprowadził do śmierci partnera, broniąc pedofila, ale on nie zwracał na nich uwagi.

Wchodząc do baru z kciukami wetkniętymi za pas, Bud wyglądał jak ponury rewolwerowiec. Jako jeden z nielicznych był w mundurze; pozostali przebrali się i wzięli prysznic na posterunku. Miał zaciśnięte zęby i jego usta wyglądały jak pozbawiona warg szczelina. Rozejrzył się po sali i Pike podniósł rękę. Nie widzieli się od wielu tygodni. Od wtedy.

Spotkali się wzrokiem i Pike skinął głową.

Wciąż z kciukami za pasem Bud ruszył w jego stronę, mówiąc tak głośno, że wszyscy podwracali głowy.

- Oto najlepszy gliniarz, jakiego kiedykolwiek wyszkoliłem. Posterunkowy Joe Pike.

Rozległ się czyjś głos:

- Chuj z nim, z tobą też.

Ten i ów się roześmiał.

Bud podszedł do stolika i usiadł. Może to słyszał, **ale nie** zareagował. Ani on, ani Pike. Jakby stali naprzeciwko **tlumu** podczas zamieszek.

-Dzięki, że przyszedłeś.

-Zdejmij te cholerne okulary. Pasują tu jak pięść do oka.

Jakby Pike wciąż był świeżym rekrutem, a Bud jego prowadzącym. Pike nie zdjął okularów.

- Rzucam pracę. Nie chciałem, żebyś dowiedział się o tym od kogoś innego.

Bud spojrział na niego tak, jakby Pike wisiał mu pieniądze, a potem ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na siedzących przy barze. Obserwował ich detektyw z rabunkowego.

- Co się gapisz? - warknął Bud.

Detektyw zajął się swoim drinkiem, a on przeniósł wzrok z powrotem na Pike'a.

-Głupie kutasy.

-Przestań.

-Nie daj się im. Wytrzymaj.

Pike rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały bar i wszystkich, którzy tam siedzieli.

- Jesteśmy Pod Łącznikiem. Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, może mi to powiedzieć prosto w oczy.

Bud wykrzywił usta w uśmiechu, lecz był to uśmiech zmęczony i zbolący.

-Tak. Cały ty. Zaprosić mnie akurat tutaj.

-Dzisiaj składam papiery. Chciałem ci to powiedzieć w cztery oczy.

Bud wziął głęboki oddech i zamyślony splótł palce. Roibił wrażenie zawiedzionego i Pike'owi zrobiło się przykro.

-Posłuchaj. Nie rób tego. Idź do miejskiej. To elitarna jednostka, najlepsza z najlepszych. Potem mógłbyś robić wszystko. Startować na detektywa albo pójść do antyterrorystów. Co byś chciał.

-Już postanowiłem, Bud. Odchodzę.

- Cholera jasna, jesteś na to za dobry. Jesteś policjantem.

Pike próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Nie mógł powiedzieć tego, co naprawdę chciał. Mimo tych trzech lat, wciąż czuł się przy nim jak uczeń i podświadomie szukał u niego aprobaty, chociaż teraz się jej nie spodziewał.

Nagle Bud nachylił się i zniżył głos.

- Co się tam stało?

W tym motelu.

Pike odchylił się do tyłu i natychmiast przeklął siebie w duchu. Wiedział, że Bud odczyta to jako unik. Przez cały staż uczył go rozszyfrowywać ludzi - ich mina, niuanse mowy ciała, to, co i jak robili, mogło uratować policjantowi życie.

Próbował naprawić błąd, pochylając się do przodu tak

jak on, ale wyczuł, że jest już za późno. Bud był dobry. Bud był czarownikiem.

-Przecież wiesz co. Wszyscy wiedzą. Zeznawałem przed komisją.

-Bzdura. Szamotanina o pistolet? Nie rób sobie jaj. Znałem Wozę, a już na pewno znam ciebie. Gdybyś chciał mu zabrać pistolet, leżałby na dupie, zanimby zdążył pierdnąć.

Pike tylko pokręcił głową. Próbował wessać to jak najgłębiej w siebie, próbował to z siebie wyrzucić.

- Tak było.

Bud przyjrzał mu się i jeszcze bardziej zniżył głos.

- Słyszałem, że Woz był w coś zamieszany. Toczyło się przeciwko niemu jakieś śledztwo?

Pike widział, że Bud robi wszystko, żeby go rozszyfrować, że uważnie obserwuje każdy jego ruch i wyraz twarzy, dlatego oczyścił umysł i odparł, najkrócej, jak umiał:

- Nie wiem.

Bud położył mu rękę na ramieniu. Nie przestawał drażnić.

- Mówią, że patolog miał wątpliwości. Podobno zeznał, że kąt, pod jakim weszła kula, był typowy dla rany samo bójczej.

Wytrzymując jego spojrzenie, Pike powtórzył to, co zeznał przed komisją.

-Wozniak wycelował w DeVille'a. Chwyciłem za pistolet i zaczęliśmy się szamotać. Zamiast odchylić pistolet w przeciwną stronę, skierowałem go w niego. Może mogłem rozegrać to inaczej, ale wyszło tak, jak wyszło. Pistolet wypalił.

-Dobra, szamotaliście się - powtórzył powoli Bud. - Kula mogła trafić w brzuch albo w pierś, to mógłbym jeszcze kupić. Ale w skroń?

-Przestań. Było, jak mówię.

Bud patrzył na niego tak przenikliwie, jakby widział, co dzieje się w jego głowie.

- A więc to nie ma nic wspólnego z jego rodziną, tak?

Jakby znał prawdę. Jakby wiedział, że przeciwko Wozniakowi toczyło się śledztwo w sprawie kradzieży i zmywy przestępczej i że Pike chciał zmusić go do rezygnacji ze względu na rodzinę.

-Nie.

- Ani z odszkodowaniem? Z tym, że gdyby popełnił sa mobójstwo, rodzina nie dostałaby nic, ale gdyby zginął, szamocząc się z tobą, co miesiąc zgarniałyby ładną sumkę?

Jakby wszystko to, co Pike czuł albo o czym pomyślał, było wypisane na jego twarzy.

- Daj spokój. Było tak, jak powiedziałem.

Bud usiadł w końcu normalnie. Zdawało się, że jest zadowolony z tego, co w nim zobaczył, a Pike poczuł, że darzy go jeszcze większym szacunkiem.

-Wiesz co? Znam szeryfa w San Bernardino. Mógłbyś tam pojechać. Albo do Ventura. Tam też mam kumpli.

-Już się ustawiłem.

-Co będziesz robił?

-Wyjeżdżam. Do Afryki.

Bud jeszcze bardziej zmarszczył czoło, jakby chciał spytać, czy to możliwe, żeby zdrowy na umyśle człowiek zrezygnował z pracy w policji i wyjechał na Czarny Ląd?

- Z Korpusem Pokoju?

Pike nie chciał się w to wszystko wdawać, ale teraz nie miał wyboru.

-Na kontrakt. Wojskowy. Mają coś dla mnie. Bud zeszywniał; był wyraźnie zdenerwowany.

-Co znaczy: „Na kontrakt”?

- Szukali ludzi z doświadczeniem bojowym. Służyłem w piechocie morskiej.

- Znaczy, że, kurwa, co? Że najemnikiem zostałeś? Pike milczał. Zdążył już pożałować, że mu o tym powie działał.

- Jezu Chryste. Jak chcesz bawić się w żołnierza, to

wracaj do tej pieprzonej piechoty. Durny pomysł. Co ci odbiło? Dlaczego chcesz dać się zabić akurat tam, w jakiejś zasranej afrykańskiej dziurze?

Pike podpisał kontrakt z korporacją wojskową z siedzibą w Londynie. Doskonale tę pracę rozumiał i świetnie się na niej znał. Miała jasno określony cel, a on potrzebował teraz jasności. Chciał uciec od ducha Wozniaka. I od jego żony.

- Muszę iść. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cieszę się, że byłeś moim prowadzącym. Chciałem ci podziękować.

Wyciągnął rękę, lecz Bud jej nie uściśnął.

-Nie rób tego.

-Już zrobiłem.

Pike wciąż czekał, ale Bud go zignorował. Zsunął się ze stołka i zatknął kciuki za pas.

- W dniu, kiedy się spotkaliśmy, chciałeś służyć i bronić. Zacytowałeś nasze credo. Widać, już nie chcesz.

Pike spuścił głowę.

- Zawiodłeś mnie, synu. Myślałem, że jesteś inny.

Synu.

Bud Flynn wyszedł z knajpy i mieli spotkać się dopiero po latach, na pustyni.

Wypalony i odrętwiały Pike siedział samotnie przy stoliku.

„Zawiodłeś mnie, synu”.

Wsluchiwał się w głosy siedzących obok mężczyzn i kobiet. Byli tacy sami jak ci, z którymi służył: rozmawiali, narzekali, śmiali się, kłamali; niektórych z nich szanował, innych nie; różnili się od siebie jak kamyczki na plaży, ale wszyscy mieli w sobie coś, za co Pike ich podziwiał i co różniło ich od zwykłych ludzi: pędzili ku niebezpieczeństwu, żeby służyć i bronić. Pike kochał pracę w policji. Nie wyobrażał sobie, że mógłby robić coś innego, ale grało się takimi kartami, jakie się miało, i ten rozdział był już zamknięty.

Wyszedł z baru. Ruszył w stronę samochodu, myśląc o pierwszej służbie z Budem, o wieczorze, kiedy odpowie-



dzieli na wezwanie do tej awantury. Rzadko kiedy do tego wracał, tak jak rzadko wspominał misje bojowe w piechocie i ciągi od ojca. I znowu mignął mu przed oczami Kurt Fabrocini dźgający Buda w pierś. Znowu zobaczył górną część jego ucha na muszce beretty, znowu pociągnął za spust i znowu wstała czerwona mgła. A potem usłyszał głos roztrzęsionego Buda: „Nie mówię, że postąpiłeś źle. Chcę tylko, żebyś się nad tym zastanowił. Czasem musimy zabijać, ale nie od tego jesteśmy”. I mówił to o kimś, kto chciał go zabić. Co za człowiek. Co za policjant.

- Będzie mi cię brakowało - powiedział.

Ojca, którego nigdy nie miał.

Odpalił silnik. Odjechał. Grał kartami, które mu rozdano, chociaż były złe i chociaż musiał żyć z tym, co nimi ugrał. Ale czasem pragnął czegoś więcej.

## 29

Na ulicy gderliwie warczały ciężarówki jadące nabrzeżem w kierunku autostrady. Na skrzyżowaniu stała ta sama furgonetka, tylko że teraz, o tak wczesnej porze, rzednący tłumek robotników zajadał burritos, zapijając je sokiem pomarańczowym z plastikowych kartonów. Pike poczuł zapach chorizo i chili, gdy tylko zaparkował za Cole'em.

Przyglądał się magazynowi, dopóki nie odszukał wzrokiem adresu, wypłowiałej, obłazącej z farby tabliczki, czytelnej jak cień na bladej ścianie. 18 185. Cole był dobry.

Pike zerknął na dziewczynę.

-Na pewno chcesz iść?

-Tak. Nic mi nie będzie.

Chciała otworzyć drzwiczki, lecz ją powstrzymał.

- Zaczekaj na Elvisa.

Cole wysiadł pierwszy. Powiódł wzrokiem po dachach

i oknach jak agent Secret Service osłaniający prezydenta, przeszedł między samochodami i otworzył drzwiczki od strony pasażera. Wyjął długą, zieloną torbę i krzywiąc się z bólu, zarzucił ją sobie na ramię. Sądząc po tym, jak bardzo ciągnęła w dół, musiała być ciężka.

Podszedł do samochodu Pike'a i nachylił się do okna Larkin.

- Na końcu zaułka jest mały parking, coś w sam raz dla nas. Brama, kłódka i dwoje drzwi. Chodźmy zobaczyć.

-Włamiemy się tam? - spytała Larkin.

Cole parsknął śmiechem.

-Albo to pierwszy raz?

Cole przodem, za nim ona, na końcu Pike - obeszli furgonetkę i skręcili w zaułek z opuszczonym magazynem po prawej i warsztatem po lewej stronie. Wielka brama załadunkowa była zamknięta na łańcuch, ale Cole minął ją, prowadząc ich do sąsiedniej uliczki. Na rogu był mały parking z drugą bramą w ścianie magazynu. Na parkingu walały się śmieci i pożółkłe gazety, a z popękanego asfaltu eksplodowały fontanny chwastów, które zdążyły wyrosnąć, zakwitnąć, przekwitnąć, zwiędnąć i zbrązowieć. Od jednej ze ścian odchodziła wysoka do piersi rampa, a w sąsiednią ścianę wbudowano drzwi. Na bramie wisiała pokryta graffiti tabliczka agencji handlu nieruchomościami z napisem głoszącym, że magazyn jest na sprzedaż lub do wynajęcia.

Pike odwrócił się, żeby spojrzeć na furgonetkę dostawczą, tymczasem Cole zajrzał za ogrodzenie i niemal natychmiast powiedział:

- Tak jest. Byli tu.

Gdy Pike się odwrócił, Elvis wskazał róg dachu. Zamontowano tam niebieską skrzynkę systemu alarmowego, ale brakowało w niej pokrywy. Stare przewody przecięto i podłączono nowe, żeby obejść te stare. Ten, kto to zrobił,

zapomniał o pokrywie, jakby nie obchodziło go, czy ktoś zauważy to, czy nie.

Pike zerknął na Cole'a.

-Dalej chcesz w to wejść?

-Jasne. Towarzystwa ubezpieczeniowe każą właścicielom instalować systemy alarmowe nawet wtedy, kiedy budynek jest nieużywany. Teraz nie musimy się już przynajmniej martwić o ochroniarzy. Tak jest dużo łatwiej.

Cole wyjął z torby prawie metrowej długości szczypce przegubowe do prętów, przeciął kłódkę i Pike pchnął bramę. Od razu ruszyli do drzwi, Cole przodem, Pike z Larkin za nim.

Drzwi dla personelu były zabezpieczone stalą i trzema potężnymi zamkami z zasuwą. Cole nie tracił czasu na ich otwieranie. Po prostu wyciął je z drzwi dłutem i pięciokilogramowym młotem. Pike był dumny z Larkin. Nie zadawała żadnych pytań ani nie gadała. Stała obok ze skrzyżowanymi rękami i obserwowała Cole'a.

Wedy drzwi się otworzyły, Elvis wrzucił narzędzia do torby i podał Pike'owi latarkę; drugą zostawił dla siebie. Dał mu również lateksowe rękawiczki.

Pike zajrzał do mrocznego pomieszczenia biurowego, z którego już dawno wyniesiono meble, sprzęt i wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu i szurzych odchodów, w powietrzu wisiał ostry zapach moczu. Pike zapalił latarkę i zobaczył płataninę świeżych śladów na podłodze.

Zrobił kilka kroków, żeby Elvis i Larkin mogli wejść do środka, i przykucnął.

-Chryste, jak tu śmierdzi - mruknęła Larkin. Cole włączył latarkę i powiódł światłem po śladach.

-Co o tym myślisz?

Pike wstał.

- Trzech ludzi. Mniej więcej tydzień temu. Może dzie sięć dni.

Światło jego latarki zatrzymało się w kącie, gdzie zobaczyli dużą, cętkowaną plamę.

-Co to? - spytała Larkin.

-Jeden z naszych przyjaciół się wysikał.

-Jezu, co za obrzydlistwo.

Ślady stóp wychodziły z pomieszczenia obok.

- Tam - rzucił Pike.

Sąsiednie pomieszczenie też było puste, z tym że miało drzwi i okno, przez które kierownik magazynu mógł przypilnować załadunku czy rozładunku. Za oknem rozciągała się olbrzymia, pusta hala, którą oświetlało jedynie mdłe światło z wyciętego w dachu świetlika. Pike przesunął latarkę po szybie, lecz promień zniknął w czarnej otchłani. Mimo ograniczonego pola widzenia, tam też dostrzegł ślady stóp.

Cole stanął po jego lewej stronie, Larkin po prawej.

- Byli tu tylko raz - powiedział Pike. - Rozejrzeli się i już nie wrócili.

Larkin przytknęła nos do szyby.

- Czego szukali? I dlaczego ta hala miałaby mieć coś wspólnego ze mną?

Cole ruszył do drzwi.

- Właśnie tego się chcemy dowiedzieć. Jak coś ci przyjdzie do głowy, od razu mów. Dobra?

Kiedy otworzył drzwi, znowu uderzył ich piekący odór amoniaku, lecz teraz towarzyszył mu inny, jeszcze silniejszy, ziemisty i organiczny.

Larkin zasłoniła usta.

- Ugh...

Pike wszedł do hali, ona za nim. Rozbrzmiało głośnie echo kroków, światło latarek przecięło mrok jak dwie szable. Larkin zobaczyła go pierwsza.

- Boże! To ten samochód!

Wtedy zobaczyli go Pike i Cole. U stóp wychodzącej na parking rampy stał czarny mercedes, samotny i rzucający

się w oczy. Błotnik nad lewym tylnym kołem był wygięty i wgnieciony.

- To ten - powtórzyła Larkin. - To ten wóz.

Podeszła bliżej, jakby nie było w tym niczego dziwnego ani przerażającego, jakby robiła to codziennie.

-Larkin - rzucił Pike.

-To ten wóz!

Larkin podeszła jeszcze bliżej, zajrzała do środka, chwyciła się za brzuch i zwymiotowała.

Cole podtrzymał ją i odwrócił w drugą stronę, Pike zaświecił w szybę. Z głową na desce rozdzielczej leżał bezwładnie trup mężczyzny w fotelu pasażera. Na tylnym siedzeniu leżał na boku trup kobiety. Obydwoje byli nadzy, związane im sznurem ręce, kostki u nóg i kolana. Ciała mieli sine i tak spuchnięte, że sznury przecięły skórę. Zginęli od strzału w tył głowy. Pike pomyślał, że to pewnie Kingowie, ale nigdy ich nie widział. Spojrzał na Larkin.

- To chyba Kingowie, ale nie jestem pewny. Zerkniesz?

Larkin oddychała przez usta. Poszarzała jej twarz, mimo to podeszła do samochodu.

-Byłam zaskoczona, to wszystko.

-Nie patrz na tylne siedzenie. Patrz na tego z przodu.

Pike poświecił latarką. Larkin zajrzała do samochodu i odwróciła się.

- To on. George King. O Boże.

Pike spojrział na Cole'a i Cole skinął głową.

-Idź z Elvisem. Zaraz do was przyjdę.

-Nie. Zostanę.

-Nie musisz.

Zhardziła jej twarz. Dziewczyna umiała **wziąć się w garść** i Pike'owi bardzo się to podobało.

- Zostanę. Nic mi nie jest.

Pike poświecił w boczną szybę mercedesa. Kluczyki tkwiły w stacyjce, co znaczyło, że wóz nie jest zamknięty.

- Zasłoń usta i nos. Chustką. Jeśli nie masz chustki, podwiń bluzkę.

Larkin zrobiła skonsternowaną minę.

-Co?

- Smród. Zasłoń.

Podciągnęła bluzkę, obiema rękami przycisnęła ją mocno do nosa i odeszła trochę dalej. Cole też.

Pike otworzył drzwiczki od strony kierowcy. Stężenie gazów gnilnych wzrastało od ponad tygodnia i uderzyła go fala odoru zepsutych jaj wymieszanego z pleśniowym odorem soków trawiennych i żółci. Znał ten zapach z Afryki, Azji Południowo-Wschodniej i z innych części świata, smród ciał rozkładających się w domach, na poboczu dróg i w płytkich grobach. Nic nie cuchnie gorzej niż martwy człowiek. Ani konie, ani bydło, ani wyrzucony na brzeg wieloryb. Odór ludzkiej śmierci to zapach tego, co ukrywa przyszłość. Tego, co nas czeka.

- Jezu Chryste! - wycharczała Larkin.

Pike wyjął kluczyki ze stacyjki i obejrzał leżące z przodu ciało. Kinga zabito strzałem w potylicę. Kula weszła za prawym uchem i wyszła lewą skronią wraz z kawałkiem czaszki wielkości limonki. Jeśli King nosił zegarek, obrączkę czy inną biżuterię, to mu ją zabrano. Innych ran nie miał. Brak rozbryzgu krwi i fragmentów tkanki sugerował, że zastrzelono go gdzie indziej, a potem wrzucono do samochodu.

Pike sprawdził podłogę pod kierownicą i za fotelem, odchylił osłonę przeciwsłoneczną. Do osłony był przypięty kalifornijski dowód rejestracyjny i kwit z ubezpieczenia na nazwisko George King. Pike otworzył tylne drzwiczki.

Kobieta była w gorszym stanie. Ją też postrzelono w tył głowy, ale dwukrotnie, jakby pierwsza kula jej nie zabiła. Nie miała prawego oka, prawie całego policzka ani biżuterii. Leżała skulona na prawym boku i miała fioletowe plamy opadowe na lewej ręce i biodrze. Ponieważ plamy opadowe

nie powstają natychmiast, był to kolejny dowód, że zabito ich gdzie indziej, a potem przewieziono do magazynu.

Pike sprawdził podłogę, zajrzał pod tylne siedzenie, ale niczego tam nie znalazł. Wysiadł, otworzył bagażnik i zobaczył warstwę przesiąkniętych krwią gazet. To potwierdziło jego podejrzenia. Kingów zabito, trupy załadowano do bagażnika ich własnego samochodu i przywieziono tutaj.

Włożył kluczyk do stacyjki, zatrzasnął drzwiczki i podszedł do Cole'a i Larkin. Stali przy rampie, najdalej jak tylko mogli. Smród był tak silny, że piekły ich oczy.

Cole poświecił latarką do góry, potem na zakurzoną podłogę.

-Weszli przez świetlik, otworzyli drzwi i wjechali rampą do środka.

-Chyba znowu zwymiotuję - powiedziała Larkin.

-Chodźmy. Wyjdźmy stąd.

Wyszli, ściągnęli rękawiczki i głęboko odetchnęli, żeby zabić trupi zapach. Cole gwałtownie zakaszłał, żeby pozbyć się smaku, zaraz potem zakaszłała Larkin. Pike zmrużył oczy w jaskrawym świetle dnia i przyjrzał jej się, zły, że wszystko to razem okazało się gorsze, niż którekolwiek z nich podejrzewało. Larkin zauważyła, że ją obserwuje.

-Już w porządku. To przez ten smród.

-Kiedy pierwszy raz rozmawiałaś z Pitmanem i Blanche'em, przyszli do ciebie do domu? - spytał Cole.

-Tak. - Larkin skrzywiła się i znowu zakaszłała.

-A w mieście? Gdzie się spotkaliście?

-W gmachu Roybala. Tam, gdzie są urzędy federalne.

-Rozmawiali z tobą tylko oni, czy ktoś jeszcze?

-To ważne?

-Elvis próbuje ustalić, czy Pitman naprawdę jest agentem - wtrącił Pike. - Bo cała reszta to kłamstwo.

Larkin potrząsnęła głową, jakby tego nie rozumiała.

- W pokoju było pełno ludzi. Był mój ojciec. Gordon

przyprowadził dwóch adwokatów z firmy. Bez adwokatów nie robimy dosłownie niczego. Ustalili, co mam robić. Gordon wszystko wynegocjował, krok po kroku.

-Dlaczego Meesh chce cię zabić? - spytał Pike.

-Żeby nie mogła zeznawać przeciwko...

Wreszcie to do niej dotarło i urwała, ale Cole dokończył za nią.

- Pitman mówił, że Meesh chce cię zabić, żebyś nie mogła zeznawać przeciwko Kingom. Że polują na ciebie tylko dlatego, że Meesh chce ich ochronić.

Larkin pokręciła głową.

-Ale Kingowie nie żyją...

-Właśnie, i to ludzie Meesha ich tam wsadzili. Meesh wie, że nie żyją. Zeznawałabyś czy nie, nie miałyby to żadnego znaczenia. Nie można oskarżyć trupa.

-Może zabił ich ktoś inny? Może to nie Meesh?

-Luis miał zegarek Kinga - odparł Pike. - To Meesh.

-To dlaczego chce mnie zabić?

-Nie wiem.

Cole popatrzył na magazyn.

-Ciekawe, dlaczego podrzucili zwłoki akurat tam, gdzie miałaś wypadek. Mogli podrzucić je wszędzie, ale podrzucili tutaj.

-Powiedz jej resztę - rzucił Pike.

Larkin skrzyżowała ręce na piersiach i pobladła.

- To jeszcze nie wszystko?

Cole odchrząknął.

- Dzień po wypadku, nazajutrz po południu, dwa dni przed spotkaniem z tobą, Pitman, Blanchette i co najmniej dwóch innych agentów przesłuchiwało ludzi w tej okolicy. Pokazywali im zdjęcia dwóch mężczyzn. Jeden odpowiadał twojemu rysopisowi Meesha. Pitman podejrzewał albo wie dział, że Meesh jechał tym samochodem, zanim do ciebie przyszedł. Okłamali cię.



Larkin przycisnęła ręce do skroni. Próbowała się opowiadać.

- Powiedźcie, że to już koniec, że już nie może być gorzej.

- Jakoś to rozgryziemy - odparł Pike. - Pogadamy z Budem. Nie tylko ciebie okłamali. Okłamali wszystkich. Larkin cicho zaszlochała, lecz zabrzmiało to jak śmiech.

- Proszę, nie, powiedz, że nie może być gorzej.

Pike przyciągnął ją do siebie i przytulił. Zdawało się, że tulił ją bardzo długo, ale tak naprawdę trwało to tylko chwilę.

Potem ruszyli do samochodów, ale Cole został z tyłu. Idąc, patrzył na magazyn, jakby jego ściany coś szeptały, jakby zdradzały mu tajemnice, które słyszał tylko on.

30

### *Elvis Cole*

Trupy Kingów nie dawały mu spokoju. Bo oto miał przed sobą wielki magazyn, miejsce, gdzie ścieżki życia Larkin, Kingów i Meesha przecięły się ze sobą jak fale na wodzie, a teraz ktoś Kingów zamordował i podjął olbrzymie ryzyko, żeby podrzucić tu ich ciała. To, że podrzucił je akurat tutaj, musiało coś znaczyć. To była jakaś wiadomość. Cole nie wiedział tylko, kto ją zostawił i dla kogo. Uważał, że kluczem do zagadki jest sam magazyn.

Udało mu się przemknąć między godziną porannego szczytu i tłokiem podczas przerwy na lunch. Zjechał z autostrady na Bulwar Santa Monica i skręcił na zachód, w kierunku biura. Pike i Larkin wracali do Echo Park, żeby pogadać z Budem, ale on uważał, że powinni najpierw ustalić, komu mogą całkowicie zaufać, a jego zdaniem nie mogli nikomu. Zastanawiał się również, czy Pitman i Blanchette wiedzą o trupach w magazynie. I czy to nie oni je tam podrzucili.

Donald Pitman i Clarence Blanchette przyszedli do niego i przedstawili się jako agenci Departamentu Sprawiedliwości. Cole w to wierzył. W to, że pracują w departamencie. Legitymację można podrobić, ale ci dwaj wyglądali jak typowe osiłki z policji Los Angeles, a policja z Los Angeles nie uznawała podróbek. Poza tym Larkin, jej ojciec i ich adwokaci spotykali się z nimi i ich kolegami w siedzibie władz federalnych i *to* właśnie oni wciągnęli Larkin do programu ochrony świadków. Tak więc Pitman i Blanchette istnieli naprawdę i pod nikogo się nie podszywali, ale to, co robili, wyglądało na tęgi szwindel i Cole zastanawiał się, dlaczego tak jest.

Jego biuro mieściło się na zachodnich przedmieściach Hollywoodu, na trzecim piętrze. Od wyjścia ze szpitala był tam tylko parę razy i teraz przyszedł znowu. Przyniósł swoje plany, notatki i listę numerów telefonicznych. Nie czekał na niego ani Pitman, ani Meesch, ani płatni mordercy z Ekwadoru, co było trochę rozczarowujące, lecz normalne i do przewidzenia. Ci źli rzadko kiedy na kogoś czekali. Trzeba było ich znaleźć.

- Cześć, jełopie. Jak leci?

Ze ściany uśmiechnął się do niego Pinokio. Cole wypatrzył ten zegar na jakiejś wyprzedazy. Pinokio miał szeroki uśmiech Pinokia i oczy, które poruszały się w lewo i w prawo, kiedy zegar tykał. Przyszli klienci prawie go nie zauważali, za to wszelkiej maści zbiry, bandziory i gliniarze byli nim zafascynowani. Cole przestał się już zastanawiać dlaczego.

Lubił swoje biuro i lubił czuć się tak, jak się w nim czuł. W sąsiednim pokoju było biuro Pike'a, ale Pike nigdy z niego nie korzystał. Naprzeciwko biurka stały dwa fotele na te rzadkie okazje, kiedy o jego względy ubiegał się więcej niż jeden klient. Za fotelami były przeszkłone drzwi na mały balkon. W przejrzysty dzień widział stamtąd Bulwar Santa

Monica, a nawet Channel Islands. A gdy dzień był jeszcze lepszy, kobieta zajmująca sąsiednie biuro opalała się tuż obok w bikini wielkości znaczka pocztowego.

Otworzył drzwi, żeby się przewietrzyło i usiadł przy biurku. Zaczął od magazynu. Rozłożył plany i zadzwonił na Florydę do Marli Hendricks, która potrafiła prześledzić historię własności każdego budynku, łącznie ze związanymi z nim procesami, zadłużeniami, zastawami, ugodami i eksmisjami. Korzystał z jej usług od lat, podobnie jak inni licencjonowani detektywi z całego kraju. Przykuta do wózka Marla - sto trzydzieści siedem kilo żywej wagi - mieszkała w Jupiter i zarabiała na życie przeszukiwaniem komputerowych baz danych. Nie miała dostępu do baz medycznych, wojskowych i policyjnych, bo zabraniało tego prawo, ale potrafiła dostać się do wszystkich innych.

Po rozmowie z Marlą przejrzał listę telefonów i zadzwonił do znajomej z telekomunikacji.

Pierwszą rzeczą, jaką powiedziała, było:

-Już myślałam, że przestałeś mnie kochać.

-A ty kochasz mnie tylko dlatego, że mam dobre bilety na Dodgersów.

-Nie, to mój mąż kocha cię za bilety. Ja kocham cię dlatego, że dzięki twoim biletom jest szczęśliwy.

-W takim razie wygląda na to, że znowu będziemy zakochani, wszyscy troje.

Cole pomógł kiedyś znanemu pisarzowi przekonać internetowego prześladowcę, że lepiej będzie, jeśli ten znacznie spędzać wolny czas w bardziej konstruktywny sposób. Pisarz miał zabójcze, bardzo ekskluzywne miejsca tuż za ławką rezerwową Dodgersów i kilka razy w roku odstępował je Cole'owi. Gratis.

-Mam listę telefonów do sprawdzenia.

-Żaden problem.

-Nie, najpierw muszę cię ostrzec. Większość to najpraw-

dopodobniej jednorazówki na kartę, a cztery to numery zagraniczne.

-Jeśli te zagraniczne są *zastrzeżone*, mogą być kłopoty.

-Abonenci mieszkają chyba w Ekwadorze.

-Mogą mieszkać nawet na Syberii, to bez znaczenia. Zagraniczni operatorzy niechętnie z nami współpracują, chyba że załatwiamy to oficjalnie, czego ja zrobić nie mogę, bo przekupiłeś mnie biletami na Dodgersów.

-Rozumiem.

-Co do tych jednorazówek, chcę cię tylko uprzedzić, że jeśli zostały kupione za gotówkę, nie dowiem się, kto jest ich właścicielem. Tych informacji po prostu nie ma.

-A czy dałoby się sprawdzić, pod jaki numer z takiego telefonu dzwoniono?

-To możliwe.

-W takim razie na liście tych, pod które dzwoniono, prędzej czy później natrafiłabyś na numer stały, stacjonarny czy komórkowy, taki z nazwiskiem. Może warto by spróbować w ten sposób, od końca. Zapadła cisza. Cole dał jej czas do namysłu.

Wreszcie powiedziała:

-Spróbuję. Zależy od dostawcy. Niektóre z tych małych towarzystw... Dobra, daj mi te numery. Zobaczę, co się da zrobić.

-Lista jest długa. Mogę ją przefaksować?

Cole zapisał numer jej faksu, wysłał listę i włączył ekspres. Kiedy kawa zaczęła kapać, wrócił do biurka i jeszcze raz przejrzał akta Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej. Chciał sprawdzić, czy nie przeoczył czegoś, co wyjaśniłoby obcy akcent, o którym wspominał Pike, co powiązałoby Meesha z Estebanem Barone'em lub z kimś o imieniu Carlos. Ale nie, niczego nie przeoczył. Z Ameryką Południową łączyło Meesha tylko jedno zdanie: „Uciekł z kraju i prawdopodobnie przebywa w Bogocie”.

Doszedł do wniosku, że śledczy musieli mieć na to jakieś dowody czy chociaż zeznania świadków, w przeciwnym razie nie zamieściliby tego w raporcie. Zajrzał na ostatnią stronę i znalazł nazwisko prowadzącego sprawę: agent specjalny Daryl Willis ze Stanowego Departamentu Sprawiedliwości w Kolorado. FBI prawdopodobnie wkroczyło w to później, ale najważniejszy był Willis, bo ściganiem morderców zajmują się przede wszystkim władze stanowe. Sprawę zamknięto przed sześciu laty, mimo to Cole postanowił zadzwonić.

Odebrała jakaś kobieta.

-Wydział śledczy.

-Z Darylem Willisem poproszę.

Kazała mu czekać prawie pięć minut. Zabijał czas, patrząc, jak Pinokio porusza oczami i w końcu się doczekał.

-Willis, słucham.

-Mówi Hugh Farnham z Los Angeles, detektyw z wydziału zabójstw policji w Devonshire. Dzwonię w sprawie zabójstwa, nad którym pracował pan kilka lat temu. Chodzi o niejakiego Alexandra Meesha...

Cole wyrecytował zmyślony numer odznaki służbowej. Wątpił, żeby tamten chciał go zapisać, ale wiedział, że tak trzeba.

- Tak, słucham.

Willis powiedział to z takim zainteresowaniem, jakby Cole spytał go o kolor jego samochodu.

-Wyciągnęliśmy akta z Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej i piszą tu, że Meesh zbiegł do Kolumbii.

-Zgadza się. Kiedy doszło do tych morderstw, robił tu interesy. Uprowadzenia przestały mu się opłacać. Postanowił zająć się przemytem narkotyków i wszedł we współpracę... Niech no pomyślę... Tak, z niejakim Gonzalo Lehde-rem. Był tu kilka razy, żeby wszystko dopiąć, no i przypadło im to do gustu. Kiedy prokuratura wystawiła nakaz, dał nogę.

Cole zapisał nazwisko. Lehder.

-Lehder go zaopatrywał?

-Tak, to jeden z tych, którzy wypłynęli po upadku karteli z Cali i Medellin. Powstało wtedy mnóstwo małych gangów, trzydzieści, może nawet czterdzieści. Od tamtego czasu niektóre z nich bardzo się rozrosły.

-Czy Meesh miał coś wspólnego z niejakim Barone?

-Przykro mi, ale nie wiem.

-To Ekwadorczyk.

-Wiem tylko o Lehderze.

Sześć lat to kawał czasu. Było całkiem prawdopodobne, że Meesh zaczął z Lehderem, a potem nawiązał współpracę z Barone'em i innymi kartelami. Sto dwadzieścia milionów dolarów to spory kapitał inwestycyjny.

-Dobrze, wróćmy do Meesha. Robił interesy w Los Angeles?

-Niestety, nie kojarzę.

-A Lehder? Może jego nazwisko kojarzy się panu z Los Angeles?

-Posłuchaj, Farnham. Nie myślałem o tej sprawie od ilu, od sześciu lat? Mogę spytać, o co tu chodzi?

-Meesh jest w Los Angeles. Podejrzewamy go o udział w kilku morderstwach.

Willis zamilkł, więc Cole znowu popatrzył na Pinokia. Czekał.

-Mówimy o Alexandrze Meeshu, tak?

-Tak.

-O Alexandrze Limanie Meeshu?

-Tak jest.

- Meesha u was nie ma, panie kolego. Alex Meesh nie żyje.

Cole oderwał wzrok od Pinokia i zdjął nogi z biurka. Nie wiedział, co powiedzieć. Larkin przesłuchiwał tłum agentów. Magłowali ją przez cały tydzień i jednoznacznie ustalili,

że na miejscu wypadku widziała Meesha. Cole podejrzewał, że w samochodzie Kingów znaleziono również jego odciski palców, ale Willis powiedział to tak, jakby dawał za to głowę, z całkowitą pewnością siebie i bez najmniejszego znużenia w głosie.

-Zidentyfikowali go agenci Departament Sprawiedliwości, mam tu potwierdzenie.

-Zidentyfikowali? Na jakiej podstawie? Mają jego odciski palców? Jego DNA?

Cole tego nie wiedział, ale jeśli Meesh był Meeshem, to był Meeshem.

-Mają to i to.

-W takim razie niech lepiej zajmą się badaniem hemoroidów. Alexander Meesh nie żyje. - Znużenie ustąpiło miejsca zainteresowaniu, a potem złości, jakby Willis brał to do siebie.

-Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

Willis zawahał się, jakby nie wiedział, czy odpowiedzieć, czy nie, więc Cole go przycisnął.

- Mamy tu kilka zabójstw, panie Willis. Kazano mi znaleźć Alexa Meesha, a pan twierdzi, że Departament Sprawiedliwości coś pokręcił. Skąd ta pewność?

Willis burknął, mruknął i odchrząknął.

-Lehdera ścigali Kolumbijczycy i Agencja do Walki z Handlem Narkotykami. To od nich dowiedzieliśmy się, że Meesh nie żyje. Kolumbijska policja powiadomiła o tym urząd, a urząd powiadomił mnie. Meesh siedział tam przez osiem miesięcy. On i Lehder chcieli dogadać się z Wenezuelczykami, tylko że Lehder go wykiwał. Po prostu go zabił.

-Jeśli Meesh nie żyje, dlaczego nie wycofaliście nakazu aresztowania?

-Nie chcieli tego ci z urzędu. Wiedzieliśmy o Meeshu, bo mieli swoich agentów w grupie Lehdera. Gdybyśmy

dołączyli do akt wzmiankę o śmierci Meesha albo napisali coś o Lehderze, natychmiast byśmy ich zdemaskowali. Poza tym nie można potwierdzić czyjejs śmierci bez świadectwa zgonu, a świadectwa zgonu Meesha na pewno nie zdołamy.

-Dlaczego?

-Lehder odkrył, że Meesh go okłamuje, że zamówił u Wenezuelczyków mniej prochów, a kupił więcej. Nadwyżkę chciał zgarnąć dla siebie. Lehder udał, że nic nie wie i wysłał go do Wenezueli po towar, jego i trzech czy czterech chłopaków z obstawy. Tyle tylko że ci z obstawy zastrzelili Meesha w dżungli. To duża dżungla. Jego szczątków nie znaleziono i pewnie nikt ich nigdy nie znajdzie.

-W takim razie skąd pewność, że Meesh nie żyje? Może uciekł albo udało mu się przeżyć. Może przekupił ludzi Lehdera.

-Nasz agent i agent Kolumbijczyków byli tam, kiedy wrócili ci z obstawy. Przynieśli Lehderowi jego głowę. Ciało zostawili, ale głowę zabrali. Agenci stali tuż obok Lehdera, kiedy tamci wyjęli ją z worka. Lehder powiedział, dobra robota, chłopcy, i na tym się skończyło.

Cole znowu nie wiedział, co powiedzieć. Ale Willis mówił dalej.

- Myśleliśmy wtedy, że Lehder naprawdę wysłał go po prochy. Że Meesh przywiezie paręset kilo czystej kokainy i wtedy Kolumbijczycy go aresztują. Meesh ich nie obchodził, zależało im tylko na Lehderze. Z kolei mnie zależało na Meeshu, bo był poszukiwany w Stanach za morderstwo, więc pozwolili mi przyjechać. Byłem z nimi w tym pokoju, detektywie Farnham, widziałem tę głowę. Prochów nie było, więc Kolumbijczycy odwołali akcję. Nie chcieli nawet aresztować tego kutasa za zabójstwo Meesha, więc mu siałem tam siedzieć i przez godzinę pić herbatę, udając, że



wszystko jest cacy. Do dziś nie wiem, co ludzie Lehdera zrobili z tą głową, ale widziałem ją na własne oczy. Rozpoznałem go. To był Alexander Meesh. Nie wiem, kogo tam u siebie macie, ale na pewno nie jego.

Cole'a ssało w żołądku. Buczało mu w głowie, jakby za długo nic nie jadł.

-Panie Willis, czy mogę spytać o coś jeszcze?

-Dech w piersi zapiera, co?

-Fakt.

-Słucham.

-Czy Meesh miał jakąś wadę wymowy albo mówił z obcym akcentem?

Willis parsknął śmiechem.

-Z akcentem? Dlaczego miałby mówić z akcentem?

-Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

Cole położył nogi na biurku, odchylił się do tyłu i zapatrzył na Pinokia. W pokoju słychać było tylko ciche klikanie jego oczu.

Rozmowa z Willisem powinna była być krótka i prosta. Zadzwoił do niego z nadzieją, że dowie się czegoś o związkach Meesha z Barone'em, o powiązaniach Baronem z Los Angeles i o jego akcencie. Że dowie się wszystkiego - tylko nie tego.

„Panno Barkley, czy to tego człowieka pani widziała?”

„Tak. Kto to?”

„Nazywa się Alexander Meesh”.

Cole popatrzył na Pinokia, potem na małą ceramiczną figurkę Gadającego Świerszcza, którą dał mu jakiś klient. Niechaj twoim przewodnikiem będzie sumienie. Każdy potrzebuje swego świerszcza.

Jeszcze raz przejrzał raport Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej, w którym nie było ani odcisków palców, ani wyników badań DNA. Po co komu jakieś wyniki, skoro wierzyło się ludziom na słowo?

Pike jechał powoli. Otworzył okna, żeby omywało ich powietrze i wybrał dłuższą, ponadgodzinną trasę przez Chinatown. Nie jedli śniadania, ale Larkin nie była głodna. Mimo to kupił po drodze trochę chińszczyzny na później. Miał nadzieję, że przejażdżka i świeże powietrze pomogą jej zapomnieć o trupach, ale kiedy wrócili do domu, natychmiast podeszła do stołu, gdzie leżały przybory do czyszczenia broni. Polala szmatkę preparatem i przytknęła ją do nosa, jakby od lat wachała klej.

- Ciągle ich czuję - powiedziała. - Są w moich włosach. Na całym ciele.

Kingowie. Zabrał jej szmatkę.

- Weź prysznic i wymyj zęby. Przebierz się. Najpierw ty, potem ja.

Kiedy poszła do łazienki, zadzwonił do Buda, ale Bud nie odebrał. Chciał zostawić mu wiadomość, ale ktoś mógłby ją odsłuchać, więc postanowił zadzwonić później.

Kiedy Larkin przebrała się i umyła głowę, zajął się sobą. Namydlił się, mocno wyszorował i stał pod prysznicem, aż zabrakło gorącej wody. Potem mocno namydlił swoje ubranie i namoczył je w wannie. Ubranie Larkin też by wyprał, ale było drogie, luksusowe. Nie chciał go zniszczyć.

Włożył ostatni komplet czystych ciuchów, wrócił do saloniku i zobaczył tam Cole'a. Cole trzymał w ręku dużą, złotą kopertę.

-Tak się za wami stęskniłem, że musiałem przyjechać.

-Przed chwilą przyszedł - powiedziała Larkin. - On też ciągle czuje ten zapach.

Pike wiedział, że coś jest nie tak. Cole był spięty i rzucało się to w oczy jak zwisający z sufitu trup. Udawał ze względu na dziewczynę.

-Co jest?

-Chciałem pokazać coś Larkin. Zobaczcie.

Pike podszedł z nimi do stołu i Cole otworzył kopertę. Wyjął z niej dwa ziarniste zdjęcia z faksu. Pokazywały ciemnowłosego mężczyznę o okrągłej twarzy, krostowatym nosie i małych oczach. Cole cofnął się, żeby Larkin mogła się im przyjrzeć, ale Pike ani na sekundę nie spuszczał go z oczu.

- No i co? Widziałas go gdzieś?

Tonem swobodnej rozmowy, bez żadnego melodramatyzmu. Podać do tego frytki, szanowna pani?

-Nie. Kto to?

-Alexander Meesh.

Larkin pokręciła głową, jakby Cole zrobił niegroźny błąd.

-Nie, to nie jest Meesh.

-Meesh. Pięć lat temu zamordowano go w Kolumbii.

To zdjęcia policyjne, z Denver. Zrobiono mu je zaraz po aresztowaniu.

Pike położył jej rękę na ramieniu. Poczuł, jak tężeje jej mięsień czworoboczny. Larkin nie chciała w to uwierzyć.

- Może miał operację plastyczną? To możliwe, prawda? Przestępcy tak robią.

Cole pokręcił głową.

-Przykro mi, ale to jest Meesh. Akta, które dał ci Pitman, to akta Meesha, ale z Kingami na pewno go nie było.

-To kto z nimi był?

-Nie wiem.

-Więc dlaczego mówili, że to on?

-Kłamali - odparł Pike. - Przez cały czas.

-Joe - rzucił Cole. - Lepiej pogadaj ze swoim kumplem Budem. Trzeba sprawdzić, co jeszcze próbowali nam wcisnąć.

Larkin nagle zeszywniała.

- Boże, musimy powiedzieć ojcu.

Pike się zawahał. Bez względu na to, w co Pitman grał, mieli nad nim przewagę dopóty, dopóki on i jego kumple

byli przekonani, że o grze wiedzą tylko oni. A Conner Barkley i jego adwokaci mogli się wygadać.

- Nie możemy. Jeszcze nie teraz.

Larkin spojrzała na niego z zaczerwienioną twarzą.

- Nie mogę mu nie powiedzieć! Ci ludzie przez cały czas kłamali, w dodatku okazuje się, że Meesh to wcale nie Meesh! Dlaczego oni kłamią?

- Larkin...

Chwyliła go za koszulę.

- Jego też okłamują, a on wciąż im wierzy! To mój ojciec. Jeśli mu nie powiesz, sama to zrobię!

Pike zobaczył w jej oczach strach i nadzieję. Conner Barkley był jej ojcem. Chciała go chronić. Bo może wtedy by ją dostrzegł.

Wyjął komórkę i zadzwonił do Buda. Tym razem Bud odebrał. Pike powiedział mu, że chcą jak najszybciej zobaczyć się z nim i Barkleyem. Że to poważna sprawa. Powiedział gdzie i przerwał połączenie, zanim Bud zdążył o cokolwiek spytać. Kiedy opuścił rękę, Larkin ścisnęła go za ramię. Była już spokojniejsza, chociaż nie skakała z radości. Nie dziwił się jej.

- Kiedy byliśmy w tym magazynie... - zaczął Cole.

Pike czekał.

- Cieszę się, że nie powiedziałaś jej wtedy, że już nie może być gorzej.

Pike spojrzał na Larkin.

- Weź swoje rzeczy. Jedziemy.

## 32

Kalifornijska wojna między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi skończyła się w Universal City. Z dała od potyczek, toczących się pod Mexico City i na granicy z Teksasem,

tu, u stóp przełęczy Cahuenga, w małym glinianym budynku misyjnym, znanym jako Campo de Cahuenga, podpisano traktat kończący miejscowe waśnie. Budynek zachował się do dziś, ale teraz stoi naprzeciwko Univeral Studios, ukryty za wjazdami na autostradę, parkingami i dwiema dziwacznymi wieżami, między którymi jest wejście do metra. To było dobre miejsce na spotkanie.

Czekali z włączonym silnikiem, gdy z Lankershim wyjechał czarny hummer.

Minął misję, przejechał przez parking i zatrzymał się w sąsiednim rzędzie. Natychmiast otworzyły się drzwiczki i z samochodu wysiedli Bud, Conner Barkley i jego adwokat, Gordon Klein. Pike nie ucieszył się na jego widok.

- Dobra, chodźmy - rzucił.

Wysiedli, gdy tamci ruszyli w ich stronę.

- Larkin - zaczął jej ojciec. - Najwyższa pora. Martwiliśmy się o ciebie. Chodźmy.

Larkin ani drgnęła.

- Nigdzie nie idę. Przyjechaliśmy cię ostrzec.

Barkley był podenerwowany, jakby się bał, że Larkin zaraz wybuchnie.

- Musisz wrócić do domu. Tak się martwiliśmy... - Spojrzał na Kleina. - Powiedz jej, Gordon. Niech się to wreszcie skończy.

Pike miał go dość. Odwrócił się do Buda. Mówił tylko do niego.

- Pitman kłamie. Człowiek, którego nazwał Meeshem, to nie Meesh. Alexander Meesh nie żyje od pięciu lat.

Kline wyrzucił do góry ręce. Służąc w policji, Pike widział to wiele razy. Teatralny gest. Sądowe abecadło.

- Nie będziemy tego słuchać. Oskarżę pana o uprowadzenie. Wiedziałem, że jest pan obłąkany, odkąd tylko pa na zobaczyłem.

Larkin podniosła głos.

- Zamknij, kurwa, mordę! - Zabrzmiało to stanowczo i gniewnie.

Conner Barkley wciąż patrzył na Kleina. Larkin chwyciła go za ramię.

- Wysłuchasz mnie wreszcie czy nie? Spójrz na mnie i posłuchaj. Przyjechaliśmy cię ostrzec.

Barkley miał zbolałą minę.

- Nie bądź taka. Wszyscy się o ciebie martwimy...

- Pojedziesz z nami... - zdecydował Klein.

Wyciągnął rękę, ale Pike błyskawicznie mu ją wykręcił.

**Klein** odskoczył do tyłu.

- Tu skurwysynu! Flynn! Zrób coś...

- Mógłby wyrwać ją panu z korzeniami. Zobaczmy, co **tam** mają.

Pike wyjął z kieszeni zdjęcie od Cole'a i podał Budowi.

- To jest prawdziwy Meesh. Na zdjęciach, które Pitman pokazał Larkin, był ktoś inny.

Kline i Barkley zajrzeli Budowi przez ramię. Barkley jakby się zawahał, lecz zniecierpliwiony Kline zrobił krok do tyłu.

- Zgoda, ale co z tego? Skąd mam wiedzieć, czy pan te go zdjęcia nie spreparował?

Bud powoli podniósł głowę.

- Po co miałby to robić?

- Żeby wydoić z nas jeszcze więcej pieniędzy.

Larkin patrzyła tylko na ojca.

- Na ich zdjęciach jest ktoś inny. Powiedzieli nam, że to Alexander Meesh, ale to nie jest Meesh. Tatusiu, oni nas okłamali.

Tatusiu. Pike nie spodziewał się, że Larkin użyje tego słowa. Podobało mu się, że to zrobiła, choć nagle posmutniał.

Kline wziął głęboki oddech.

- Wszyscy wiedzieliśmy te zdjęcia i tak, masz rację: to jest ktoś inny. - Mówił trochę ciszej i łagodniej. - Ale powie-

działał to tak, jakbyś uważała, że celowo wprowadzono nas w błąd. Przecież ci dwaj mogą mieć to samo nazwisko.

Bud przejrzał dołączone do zdjęcia kartki.

- Nazwisko może i tak, ale nie identyczną przeszłość kryminalną. Ten tu ma dokładnie taką jak ten od Pitmana.

Winę uniósł brew.

- Naprawdę? W takim razie trzeba zrobić jedno: zwolnić Pike'a. Teraz, natychmiast. Pike musi odejść. Trzeba odwieźć Larkin do domu i porozmawiać z Pitmanem. Proszę mi wierzyć, mam do niego mnóstwo pytań. I jeśli nie spodoba mi się to, co nam powie, pożałuje, że się w ogóle urodził. Niech mi pan wierzy.

Conner Barkley potakiwał mu, jakby był to najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszał.

-Wracajmy do domu, kochanie. Wrócimy i zobaczymy, co ten Pitman ma do powiedzenia.

-Nie, ja nigdzie nie wracam.

Kline spuścił głowę, jakby nie mógł uwierzyć, że Larkin może sprawić tyle kłopotów.

-Flynn - rzucił zmęczonym głosem. - Zechce pan wsadzić ją do samochodu?

-Nie. Chyba że pójdzie dobrowolnie.

-Winę - wtrącił Pike. - W domu grozi jej niebezpieczeństwo. Czy pan tego nie rozumie?

Kline podniósł wzrok, zmarszczył krzaczaste brwi i podejrzliwie cichym głosem spytał:

- Czy pan z nią sypia?

Pike'owi drgnęły usta. Ale nie patrzył na niego. Patrzył na Barkleya. Ten nie zareagował i Pike jeszcze bardziej posmutniał.

-Wal się, Gordon! - warknęła Larkin.

-Utrudniasz pracę przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości. Jesteś świadkiem federalnym. Ten człowiek naraża cię na niebezpieczeństwo...

-Niebezpieczeństwo grozi mi i teraz.  
-...i celowo zraza do ciebie tych, którzy próbują ci pomóc. Sugeruję tylko, że Pitman może mieć dobre powody, żeby robić to, co robi. Spytamy go o to i oby umiał się wytłumaczyć.  
-Niech go pan spyta, dlaczego udawał, że nie wie, kto był z Kingami w samochodzie, kiedy wpadła na nich Lar-kin - powiedział Pike.  
-Twierdzi pan, że wiedział?  
-Dzień po wypadku pokazywał świadkom zdjęcia tego mężczyzny. Dwa dni przed pierwszą rozmową z Larkin. Może go pan również spytać, dlaczego ten, którego uważa za Meesha, wciąż próbuje ją zabić, skoro Kingowie nie żyją.  
Kline zerknął na Barkleya i pokręcił głową.  
-Rozmawiałem z nim dziś rano. Powiedział, że wciąż ich szukają.  
-Kingowie nie żyją od ponad tygodnia. Znaleźliśmy ich wczoraj.  
-Nie rozumiem.  
-Co tu jest do rozumienia? - odparła Larkin. - Szukaliśmy i znaleźliśmy. Ktoś podrzucił ich ciała dokładnie tam, gdzie miałam wypadek. Dać ci adres? Zajrzyj pod osiemnaście sto osiemdziesiąt pięć. To jest wiadomość. Dla mnie. Że do nich dołączę.  
Kline obliznął usta. Zerknął na Barkleya i pokręcił głową.  
- Jesteś pewna, że to Kingowie? Chcesz powiedzieć, że George King nie żyje?  
Larkin zadrżał głosem.  
- On i jego żona. Są w tym mercedesie.  
Bud spojrział na Pike'a.  
-Jak?  
- Strzał w głowę. Zabito ich gdzie indziej i przewieziono do magazynu. Samochód jest zarejestrowany na jego na zwisko.



-Co pan chce udowodnić? - spytał Kline. - Że Pitman ich zamordował?

-Nie wiem.

-Myśli pan, że to on stoi za zamachami na życie Larkin?

-Nie wiem. To wyjaśniałoby te przecieki, ale na pewno wiemy tylko tyle, że was okłamał.

-Musisz uważać, tatusiu - wtrąciła Larkin. - Nie możesz mu ufać.

Kline spojrzął na swoje buty, potem na Buda.

-Zajrzy pan tam? Pod osiemnaście sto osiemdziesiąt pięć.

-Natychmiast.

Kline skupił się na Pike'u.

-Ten na zdjęciu, ten... nie Meesh. Domyśla się pan, kto to jest?

-Niewykluczone, że mamy jego odciski palców. Nie wiem, czy na pewno, ale to możliwe. Może uda nam się go zidentyfikować.

-Jako prawnik, ostrzegam pana, że jeśli zatai pan przed policją jakiegokolwiek dowody rzeczowe, grozi panu oskarżenie o utrudnianie śledztwa, a może nawet o współudział w przestępstwie. Musi pan o tym wiedzieć.

-On wie - mruknął Bud. - Jezu...

- Zaryzykuję - odparł Pike.

Kline kiwnął głową.

-Ja tylko tak, żeby lepiej pan to zrozumiał. Zwalniam pana. Czy to jasne, Bud? Ten człowiek nie jest już naszym pracownikiem. Nie pracuje ani dla nas, ani dla pana i dopóki pana zatrudniamy, nie będzie pan mu nic płacił.

-Co ci jest? - krzyknęła Larkin. - Nie słyszałeś, co mówiliśmy?

-Larkin, skarbie - powiedział Barkley. - On łamie prawo, nie możemy się na to godzić...

- Conner - przerwał mu Kline. - Mam robotę. Jedźmy już. Ruszył do hummera.

Barkley zmarszczył czoło. Jego pytająca mina przeszła w minę niecierpliwą.

- Mam przez to kłopoty z władzami, Larkin. Niepotrzebnie się w to mieszałem. Powinniśmy byli spławić tego Pitmana, ale nie, musiałas postawić na swoim, no i doczekaliśmy się. Urząd skarbowy. Komisja Kontroli Giełdy. Wiesz, jak mnie przeświała? Mogą mnie ukarać.

A więc nie chodziło o bezpieczeństwo Larkin. Chodziło o jej ojca. O firmę. O tajemnice finansowe.

- Bud - powiedział Pike. - Tak dla porządku: nigdy nie byłem waszym pracownikiem. I nie jestem. Ani twoim, ani pana Barkley a.

Zerknął na Larkin.

- Pomagam przyjaciółce.

Larkin pobiegła do samochodu, on poszedł za nią.

- Posterunkowy Pike...

Bud wykrzywił usta w spiętym uśmiechu. Kline i Barkley dochodzili już do hummera.

- Zadzwon, gdybyś mnie potrzebował.

Pike wsiadł i szybko odjechał. Spoglądając w lusterko, włączył się do ruchu, ale hummer wciąż stał na parkingu. Będą musieli zmienić samochód. Kline i jej ojciec mogli opisać lexusa policji.

Wiedział, że stracili przewagę. 1 element zaskoczenia. Kline wisiał już pewnie na telefonie i gadał z Pitmanem. Musieli działać szybko. Szybciej niż dotąd.

-Co teraz? - spytała Larkin.

-Naprzód. Jak zawsze.

Dotknęła jego łokcia. Położyła mu rękę na ramieniu.

-Nie cofniemy się.

-Nigdy.

W Burbank skręcił na parking przed Safewayem i zajrzał do bagażnika. Stała tam czarna torba z motelu. Z rzeczami, które zabrał Jorge'owi i Luisowi. Pogrzebał wśród pla-

nów i paszportów i znalazł plastikowy folder z jej zdjęciem. Zamknął bagażnik, usiadł za kierownicą i wyjechał na ulicę.

-Co to? - spytała.

-Twoje zdjęcie. Ten, kto na ciebie poluje, dał je Luisowi. Trzymał je, dotykał go i mógł zostawić odciski palców. Kiedy myśleliśmy, że to Meesh, nie miało to znaczenia. Teraz ma.

Wyjął telefon. Właśnie wybierał numer, gdy Larkin powiedziała:

-Wiesz, co jest w tym najbardziej porąbane? To, że go kocham.

-Wiem. Ja mojego też kochałem.

Nigdy dotąd nikomu tego nie powiedział. Nawet Cole'owi.

33

### *John Chen*

No i proszę, znowu siedział po godzinach. Znowu łamał przepisy i regulaminy, znowu pędził przez strefę ognia, gdzie wszyscy strzelali do wszystkich, za co ta parszywa suka Harriet mogła mu nogi z dupy powyrywać, ale on, John Chen, to uwielbiał. On to, kurwa, KOCHAŁ, może nawet bardziej niż swego porszaka. Niż widok swego nazwiska w gazecie. Bardziej niż bzykanie...

No nie, nie przeginajmy. Niczego nie kochał tak bardzo jak bzykania.

Zdał sobie sprawę, o czym myśli i - hik-hik-hik - zachichotał tym swoim szczekliwym chichotem. Nienawidził swego śmiechu. Kiedyś nabrały się z niego wszystkie dzieci (z tego i ze wszystkiego innego), ale on miał to gdzieś, bo teraz -mniej więcej od dwudziestu minut - John Chen był WIELKI!

Doznał tego objawienia, kiedy zadzwonił do niego Joe Pike, prosząc, żeby rzucił wszystko i zajął się odciskami.

Jego osobisty przyjaciel Joe Pike...

...Joe Pike, który potrzebował pomocy Johna Chena...

... Joe Pike cenił jego wiedzę i umiejętności...

...który mu ufał.

A czyż Joe Pike nie był najgorszym, najbardziej odjechanym zabijaką w tym mieście? Czyż nie był najodważniejszym, najtwardszym, najbardziej przerażającym eks-gliniarzem, jaki chodził po tej ziemi? Czyż nie był najgenialniejszym detektywem (gdyby nie on, Cole już dawno by splajtował)? Czyż nie był prawdziwym superdupermenem w lewisach (Levis mógłby zarobić kupę szmalu, sprzedając Action-Pike'a)? Czy to nie on zgarniał z ulicy najładniejsze i najgorętsze laski (jak choćby ta napalona dupcia na parkingu)?

Joe Pike był WIELKI, ale do KOGO zadzwonił, kiedy potrzebował pomocy?

Do Johna, KURWA, Chena, oto do kogo!

- John! Co ty tu jeszcze robisz?

Harriet. A to suka. Podkrađa się i zaatakowała od tyłu.

John aż się skulił. Zaskoczony spuścił głowę i pochylił ramiona. W napadzie paniki zaswędziała go skóra na karku, dokładnie tak, jak swędziała go tysiące razy, lecz nagle pomyślał: WIELKI Chen się nie kuli.

Wyprostował się, odwrócił i posłał jej swój najbardziej pewny siebie uśmiech. I wiecie co? Poczuł, że naprawdę jest pewny siebie.

- Kończę wczorajszą robotę. Spokojnie, kartę odbiłem godzinę temu.

Chen przekroczył już limit tygodniowych nadliczbowek.

Harriet zajrzała do glue boxu, hermetycznej komory z pleksiglasu, gdzie podgrzewano klej uniwersalny i inne toksyczne chemikalia, których opary wydobywały i wyostrzały odciski palców. Leżało tam teraz zdjęcie przyjaciółki Pike'a.

Harriet podejrzliwie zmarszczyła brwi.

-Jakbym skądś ją знаła...

-Tak, to jedna z tych twarzy.

-Co to za sprawa?

-Zabójstwo Drana. Policja przypuszcza, że był tam ktoś trzeci.

John nigdy w życiu nie łąał z tak wielkim przekonaniem. Jakby kłamstwa, które wypowiadał, pochodziły z samego źródła prawdy absolutnej.

Harriet popatrzyła na zdjęcie, cofnęła się i otaksowała go spojrzeniem.

-Dzięki, że zrezygnowałaś z nadliczbówek. Te cięcia budżetowe nas dobijają.

-Wiem. Mogę... coś dla ciebie zrobić?

-Nie, nie, dziękuję. Jak twój ząb?

-Nawet go nie czuję.

-Przepraszam, że dałam ci się we znaki. **Nie chciałam być niewrażliwa.**

-Nie szkodzi, nie przejmuj się.

Harriet ukradkiem odeszła - jakby zawstydzona - i John uśmiechnął się jeszcze szerzej. Widział to w jej oczach. Widział, że jest WIELKI.

Spojrzał na zdjęcie. Na obydwu stronach zaczynały pojawiać się białe smugi, ale musiał jeszcze poczekać. Odciski palców to po prostu pot. Kiedy woda odparowuje, pozostaje osad organiczny. Opary kleju reagują z aminokwasami, glukozą i peptydami, tworząc białą maź, ale wymaga to czasu. Ocenił, że upłynie jeszcze dziesięć, piętnaście minut, zanim odciski będą zdatne do analizy.

W szkle coś mignęło i po drugiej stronie laboratorium zobaczył LaMolle. Ukrywając się przed Harriet, zajrzała do środka, pomachała mu ręką, wskazała drzwi do zbrojowni i zniknęła.

Chen sprawdził, czy Harriet na pewno wyszła i popędził za nią. LaMolla czekała w zbrojowni z ręką na klamce.

- Właż. Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył. - Szarpnęła go za rękę tak mocno, że omal nie upadł i szybko zamknęła drzwi.

- Masz coś? - spytał.

Przeszła go wzrokiem.

-Jeśli mnie wrobisz, skurwielu, zabiję cię, kiedy będziesz spał.

-Dlaczego miałbym cię wrobić?

-Nikomu nie można ufać, John, nikomu. Pracujemy dla rządu.

Zaprowadziła go do stołu i zaczęła:

- Browninga możesz wsadzić sobie gdzieś. W osiemdziesiątym drugim skradziono go policjantowi Davidowi Thompsonowi. SIB wyłapał tylko Thompsona, nikogo więcej.

Agencja do Zwalczenia Nielegalnego Handlu Alkoholem, Tytoniem i Bronią Palną, dysponowała Zintegrowaną Siecią Informacji Balistycznej - tak zwanym SIB-em - do której wprowadzano dane na temat broni, pocisków i łusek znalezionych na miejscu przestępstwa. LaMolla wprowadziła do SIB-u dane obydwu pistoletów, ale komputer wypuścił tyle co nic.

- Ale taurusa... Spójrz.

Podeszła do komputera. Na ekranie monitora widniał powiększony obraz spodu łuski, mosiężny krąg ze srebrzystym guziczkiem spłonki. Leciutkie wgłębienie na środku spłonki pokazywało miejsce uderzenia iglicy.

- Widzisz? Rzuca się w oczy, co?

Łuska wyglądała tak jak każda inna łuska, którą widział Chen.

-Ale co?

-Kształt wgłębienia. Tu, na górze. Ten spiczasty koniusek. Widzisz? Zobaczyłam to i pomyślałam: kurczę, przecież ja znam tę iglicę!

John uważał, że wgłębienie jest idealnie okrągłe, ale właśnie dlatego specje od broni palnej są prawdziwymi cza-rodziejami.

- W ciągu ostatnich dwóch lat z taurusa kilka razy strze-lano z jadącego samochodu i zabito z niego człowieka pod czas napadu w Exposition Park. Nikogo nie aresztowano, ale wszyscy podejrzani należeli do tego samego gangu.

Do

MS-13. To typowy „przekaznik”.

„Przekaznik” to uliczny pistolet czy rewolwer, zwykle na-leżący do jednej osoby, lecz przekazywany z rąk do rąk w obrębie tego samego gangu.

LaMolla pokręciła głową.

-Przykro mi, starszku. Chciałabym powiedzieć ci coś bardziej konkretnego, ale to wszystko. Niewiele tego.

-Więcej, niż mieliśmy przedtem.

Chen wrócił do glue boxu. Ukryte dotąd odciski wyszły bardzo pięknie, ale było ich tyle, że John zaczął się zasta-nawiać, czy w ogóle dadzą się zidentyfikować. Odcisk na-kladał się na odcisk, odciski na odciski, bo w taki właśnie sposób ludzie dotykają rzeczy. Nikt nie chwytą książki, kub-ka czy czasopisma pełnym, stanowczym chwytem. Ludzie podnoszą coś, przesuwiają, podają to komuś innemu, od-kładają, odstawiają, znowu podnoszą i pojedyncze odciski zmieniają się w rozmazane smugi.

Ze zdjęciem dziewczyny było tak samo.

Chen wywietrzył komorę, wyjął zdjęcie szczypczykami i obejrzał pod szkłem powiększającym. Okrągłych, mocno zamazanych odcisków najwięcej było z boku, tam, gdzie dotykano je kciukiem, ale na górze i na dole też były zamazane, podobnie jak luźno rozrzucone pośrodku. Dostrzegł kilka względnie wyraźnych, lecz te z tyłu były do niczego. Białe osad organiczny ginął na tle papieru.

Zaniósł zdjęcie do stołu. Przypiął je do metalowej ramki

i delikatnie omiółł pędzelkiem, nanosząc na spód mialki, niebieski proszek. Potem wziął puszkę sprężonego powietrza i zdmuchnął nadmiar proszku, odsłaniając granatowe smugi, w większości nieczytelne. Odwrócił zdjęcie, powtórzył wszystko od początku i obejrzał odciski.

Był zadowolony. Miał dwanaście oddzielnych, pojedynczych, takich z wyraźnymi punktami odniesienia; punkty odniesienia to charakterystyczne miejsca, dzięki którym można zidentyfikować dany odcisk, pętłe, zakrętasy, zawijasy, haczyki i rozwidlenia wchodzące w skład linii papilarnych.

Zdjął wszystkie za pomocą przezroczystej taśmy, następnie nakleił taśmę na czystą plastikową podkładkę. Potem włożył je po kolei do cyfrowego skanera wysokiej rozdzielczości i sfotografował. Przełał zdjęcia do komputera i uruchomił specjalny program wychwytyjący i porównujący poszczególne punkty odniesienia. Krajowe Centrum Informacji Kryminalnej FBI nie porównywało odcisków palców - porównywało listy numeryczne punktów odniesienia. Po przetworzeniu punkty te stawały się liczbami i reszta była już prosta.

Komputer przetworzył każdy z dwunastu odcisków, wtedy Chen wprowadził ich cyfrowe odpowiedniki do bazy danych centrum z żądaniem jej przeszukania.

Spojrzał na zegarek. Pike i jego dziewczyna pocili się na parkingu i nie chciał, żeby pocili się za długo. Nie chciał, żeby Pike przestał w niego wierzyć. Chciał stanąć na wysokości zadania.

Niepotrzebnie się martwił.

Na ekranie błysnęło logo Interpolu i KCIK. Przeczytał wyniki.

Komputer dopasował wszystkie dwanaście odcisków, identyfikując siedmiu mężczyzn, w tym dwóch, których



Chen zidentyfikował już wcześniej, Jorge Petradę i Luisa Mendozę. Podobnie jak Petrada i Mendoza, czterech z pozostałej piątki też pochodziło z Ameryki Południowej - i też należało do gangu Estebana Barone'a - ale ten siódmy...

Chen zdał sobie sprawę, że nie może przełknąć śliny, bo zaschło mu w ustach.

Już wiedział, dlaczego macza w tym palce Departament Sprawiedliwości.

Już wiedział, dlaczego interweniowali ci z komendy głównej.

Wydrukował wszystkie siedem plików, starannie spiął kartki zszywaczem i wyczyścił historię w komputerze, żeby zatrzeć ślady. Zabezpieczone taśmą klejącą odciski i zdjęcie dziewczyny włożył do koperty. A potem, z kopertą i wydrukami, wyszedł z laboratorium.

Słońce stało tuż nad zachodnim horyzontem, zalewając niebo czerwonym ogniem. Góry Verdugo tonęły w szkarłacie przechodzącym w czerń. Chen poszedł prosto do samochodu Pike'a i miał to gdzieś, że może go zobaczyć Harriet. Wiedział, że to coś dużego, większego niż cokolwiek, nad czym dotąd pracował, możliwe że największego w jego karierze.

Pike i dziewczyna patrzyli na niego, gdy ku nim szedł.

John Chen był wielki.

John Chen stanął na wysokości zadania.

John Chen podał Pike'owi wydruki.

- Czytaj.

Dziewczyna zobaczyła zdjęcie na pierwszej stronie i wykrzyknęła:

- To on! To on był na tych zdjęciach!

Przysunęła się bliżej Pike'a i zaczęła czytać. Była fantastyczna i trzymała rękę na jego udzie, ale Chen ani o tym nie myślał, ani nie fantazjował o smaku jej skóry. Myślał tylko o tym, o czym czytali.

Odciski palców należały do niejakiego Khalego Vahnicha. Vahnich, czterdziestodwuletni bankier inwestycyjny z Czech, odsiedział w swoim kraju wyrok za przemyt narkotyków. Wyjechawszy za granicę, rozszerzył swoją działalność o nielegalny handel bronią i kontakty z organizacjami terrorystycznymi w Europie i na Bliskim Wschodzie. Na środku strony widniał duży, czarny napis: ostrzeżenie. John dobrze je pamiętał i wiedział, że nigdy go nie zapomni. Tafla wzburzyła się i pękła. Z wody wychynał potwór.

OSTRZEŻENIE:  
CZŁOWIEK TEN JEST POSZUKIWANYM TERRORYSTĄ.  
JEŚLI POJAWI SIĘ W TWOJEJ OKOLICY.  
NATYCHMIAST ZAWIADOM FBI.  
ZATRZYMAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ.

Pike doczytał do końca pierwszy. Spojrzał na Johna i John wiedział, że nigdy nie zapomni jego miny. Na twarzy Pike'a nie było niczego, absolutnie niczego oprócz dwóch błyszczących czarnych szkieł, które trawił płonący na niebie ogień. Chen był wtedy taki dumny, był tak strasznie, tak niesamowicie dumny, że Pike go zaakceptował.

-Dziękuję, John.

-Nie ma sprawy. Jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić, na pewno to zrobię. Wszystko jedno co. Ale zrobię.

-Wiem.

Pike wyciągnął do niego rękę. Chen uściśnął ją i nie chciał jej puścić ani na chwilę, już nigdy, bo czuł, że coś od niego dostał, że dostał od niego coś, co uczyniło go lepszym niż kiedykolwiek był i mógłby się kiedykolwiek stać. Coś, co chciał zatrzymać na zawsze.

I wtedy powiedział:

- Powodzenia, mój bracie.

Wieczorem zaparzyli jaśminową herbatę i zjedli chińszczyznę przed telewizorem. Larkin oglądała komedię o mężu i żonie w średnim wieku, którzy obrzucali się wyzwiskami. Jego to nie śmieszyło, ale jej się podobało. W trakcie filmu zadzwonił do Cole'a. Wprowadził go w sytuację i umówili się na następny dzień.

Po filmie Larkin poszła do pokoju, ale kilka minut później wróciła w szortach i nowym topie. Zwinęła się w kłębek na końcu sofy i zaczęła przeglądać czasopismo. Sofa była mała. Jej bosa stopy leżały blisko Pike'a. Miał ochotę położyć na nich rękę, lecz nie położył. Przesiadł się na krzesło.

Miał gdzieś Pitmana, jego śledztwo i kłamstwa - obchodziło go tylko to, jak jego machinacje mogą wpłynąć na Larkin. Miał gdzieś, czy Pitman jest dobrym glińiarzem czy złym, czy łączy go coś z Vahnichem i Kingami. Przedtem ściagał kogoś nazwiskiem Meesh, teraz ściagał Vahnicha. Jeśli Pitman chciał skrzywdzić ją, on skrzywdzi jego. Interesowała go tylko Larkin.

Czytała, a on ją obserwował. Przyłapała go na tym i uśmiechnęła się, ale nie tym wrednym, krzywym uśmiechem, tylko nieco łagodniejszym. Z odrobiną tamtego.

-Nigdy się nie uśmiechasz - powiedziała.

Dotknął szczęki.

-Oto ja. Uśmiechnięty. Roześmiała się i wróciła do czytania.

Zerknął na zegarek. Uznał, że dość już czekali i wyjął komórkę.

- No to zaczynamy.

Larkin założyła czasopismo palcem i spojrzała na niego poważnymi oczami.

Pike miał telefon Pitmana, bo Pitman zostawił mu kiedyś wiadomość. Teraz Pike zadzwonił, a on odebrał.

-Mówi Pike.

-Jesteś niesamowity.

-Gadałeś z Kline'em?

-Z Kline'em, Barkleyem i z Flynnem. Co ty, do diabła, robisz?

-A z Khalim Vahnichem? Z nim też gadałeś?

Pitman lekko się zawahał.

-Musisz to przerwać, Pike.

-Vahnich wszystko zmienia. Larkin chce wrócić.

Pitman znowu się zawahał.

-To dobrze. Bardzo mądrze. Najważniejsze, żeby była bezpieczna.

-Tak, przy mnie jest.

Larkin się uśmiechnęła. Pike omówił z Pitmanem szcze-

Dzień piąty

# **PRAWORZĄDNOŚĆ**

O 6.57 nazajutrz rano na parking przed Union Station skręcił niebieski ford. Samochód zwolnił, żeby przepuścić tłum wychodzących ze stacji pieszych, po czym pojechał powoli na koniec placu.

Prowadził Donald Pitman, a na miejscu pasażera siedział Kevin Blanchette. Pike widział ich pierwszy raz, ale Cole dobrze ich opisał, a Pitman mówił, że przyjadą niebieskim metalikiem. Obydwaj byli starannie ogoleni, obydwaj dobijali czterdziestki, obydwaj robili miłe wrażenie. Pitman miał pociągłą twarz i szpiczasty nos, a Blanchette, trochę roślejszy i tęższy, pulchne policzki i łysinę na czubku głowy.

Ani oni, ani siedmiu przyczajonych wokół stacji agentów nie widziało Pike'a. Pike założył, że są to agenci federalni, ale nie był tego pewny i zupełnie go to nie obchodziło. Zajęli pozycję półtorej godziny wcześniej. On zajął swoją o trzeciej w nocy.

Obserwował ich przez lornetkę Zeissa ze spiżarni na pierwszym piętrze meksykańskiej restauracji przy Olvera Street, której właścicielem był jego przyjaciel Frank Garcia. Parter właśnie przebudowywano, więc kuchnia była nieczynna. Pitman myślał, że Pike i Larkin przyjadą o siódmej,

lecz oni nie przyjechali. Larkin i Cole jedli teraz śniadanie, a on siedział w spiżarni.

O 7.22 Pitman i Blanchette wysiedli z forda. Obserwowali ulicę i wychodzących ze stacji, lecz Pike wiedział, że się niepokoją.

O 7.30 wsiedli do samochodu. Jeszcze trochę i dotrze do nich, że wystawiono ich do wiatru.

Pike zbiegł na dół, do toalety dla personelu za kuchnią. W toalecie było okno wychodzące na Union Station. Otworzył je zaraz po przyjściu, żeby nie zwrócić uwagi tamtych.

O 7.51 siedmiu obserwujących okolicę agentów wyszło z kryjówki i zebrało się w północnej części parkingu. Pitman odwołał akcję. Pike wyszedł z restauracji i potruchtał do samochodu Cole'a, który stał na końcu Olvera Street. Zamienił się z nim na lexusa.

Pojechał za nimi w kierunku gmachu Roybala, siedziby władz federalnych. Była godzina szczytu, więc jechali zrywami, zderzak w zderzak, tak że przez skrzyżowanie przeskakiwało najwyżej kilka wozów, ale on liczył na to, że szybko zmieniające się światła zadziałają na jego korzyść.

Niebieski ford był trzy samochody przed nim, gdy światło zmieniło się z żółtego na czerwone i Pitman utknął w potrzasku. Pike zjechał do zatoczki, wysiadł, spojrzał na światła dla pieszych i gdy zamrugały, pobiegł przed siebie, przyspieszając kroku.

Zbliżał się do forda niczym rekin płynący śladem krwi i zaatakował z martwej strefy. Nie widzieli go, nie spodziewali się, że to zrobi. W chwili gdy światło zmieniło się na zielone, dopadł samochodu od strony pasażera i roztrzaskał pistoletem boczną szybę.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i żeby wprawić ich w jeszcze większą konsternację, przeraźliwie wrzeszcząc, wbił lufę w bok Blanchette'owi.

- Pas! Rozepnij pas!

Zerwał z niego szelki z kaburą, wywlókł go z samochodu i nie spuszczać z muszki Pitmana, powalił na chodnik.

- Łapy na kierownicę! Na kierownicę, bo zabiję!

Stojące przed nimi samochody odjechały. Pas był pusty. Roztrąbiły się klaksony i Pike wskoczył do forda.

- Pike? - spytał Pitman.

Pike odebrał mu broń i rzucił ją na tylne siedzenie. Blanchette już wstawał.

- Jedź!

Pitman ani drgnął - może wciąż zaskoczony wolniej reagował - ale gniewnie błysnął oczami.

- Jestem agentem federalnym. Nie masz prawa...

Pike grzmotnął go rękojęścią pistoletu w czoło, chwycił kierownicę, dodał gazu i przejechał przez skrzyżowanie.

## 36

Kiedy Pitman się ocknął, stali pod mostem przy Pierwszej ulicy, między potężnymi betonowymi wspornikami nad brzegiem kanału. Tam, na pustym, martwym placu odgrodzonym siatką od wszystkiego oprócz pyłu, kurzu, ptaków i grafficiarzy, w równych rzędach stały zarekwirowane przez miasto samochody. Pike zaparkował na końcu siatki. Przejeżdżające nad głową ciężarówki wprawiały ją w wibracje i brzęczała jak rój pszczół. Znajdowali się niecałe siedem ulic od wozu Cole'a.

Pitman szarpnął się, próbując wstać, ale Pike przykuł go do kierownicy plastikowymi kajdankami. Agent odsunął się od niego najdalej jak mógł.

- Co ty robisz? Pike, co ty, do diabła, robisz? Wypuść mnie!

Z bliska wydawał się młodszy. Miał rozharatane czoło i krwawą skorupę na twarzy. Pike obserwował go z pistoletem na kolanach.



- Napadłeś na agenta federalnego. Kurwa mać, upro wadziłeś agenta! Wypuść mnie! Przetnij to i o wszystkim za pomnimy. Mogę ci pomóc!

Pike poklepał ręką pistolet.

- To nie ja potrzebuję pomocy.

Pitman zaczął krzyczeć jeszcze głośniejsze. Twarz drżała mu i dygotała, poruszała się we wszystkie strony naraz.

-Wpadłeś w gówno, w głębokie gówno! Złamałeś prawo federalne! Odejdź, bo trafisz do pierdla!

-Khali Vahnich. Terrorysta.

-Mówię ci, Pike: odejdź stąd!

-Znany terrorysta.

-Nie będę o tym gadał!

Pike podniósł pistolet. Leciutko, tak żeby Pitman zauważył.

- Od tego zależy, czy umrzesz, czy nie.

-Jestem agentem federalnym! Chcesz zabić agenta?

Pike kiwnął głową, spokojny i opanowany.

-Jeśli będzie trzeba.

-Jezu Chryste!

Pike podniósł jego odznakę; w poszukiwaniu legitymacji przeszukał mu kieszenie.

-Tu nie chodzi o Kingów. Tu chodzi o Vahnicha. Wystawiłeś ją, żeby dorwać terrorystę. Albo żeby go kryć.

-To jakiś obłąd. Ja go nie kryję...

-Powiedziałeś jej, że Vahnich to Meesh.

-Bo tego wymagało śledztwo!

-Powiedzieliście jej, że Meesh chce ją zabić, żeby utrzymać w tajemnicy swoje układy z Kingami, ale Kingowie już nie żyli. Śledztwo tego nie wymagało: nie mieliście już kogo kryć.

-Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wczoraj! Nie wiedzieliśmy! Myśleliśmy, że on im pomaga...

-Żadne „myśleliśmy”, Pitman, żadne „my”. To tylko

twoja wina. Kingowie nie żyją, więc dlaczego Vahnich chce ją zabić?

-Nie wiem!

-Myślę, że zabiłeś ich i sprzedałeś ją, żeby mu pomóc.

Pike znowu podniósł pistolet i Pitman gwałtownie się szarpnął.

- Nic nie wiedzieliśmy! Bóg mi świadkiem! Dobra, po słuchaj: wiedzieliśmy, że Vahnich robi interesy z Kingami, ale o tym, że jest w Los Angeles, dowiedzieliśmy się dopiero tuż przed tym wypadkiem. Zajrzyj do bagażnika, do mojej teczki. Zajrzyj! Mówię prawdę...

Pike przyjrzał mu się, sondując jego twarz, wziął kluczyki i znalazł w bagażniku dużą teczkę. Teczka była zamknięta. Wrócił z nią do Pitmana.

- Kluczyki są w kieszeni...

Pike nie zawracał sobie tym głowy. Przeciął teczkę nożem. W środku bez ładu i składu walały się listy, skoroszyty i notatki służbowe z nagłówkiem Departamentu Sprawiedliwości i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

- Ty nie pracujesz w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną.

-Nie, w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego.

Przejrzyj te dokumenty...

-Zamknij się, Pitman.

Na wielu kartkach widniał nadruk: POUFNE. Były tam raporty na temat transakcji finansowych i działalności firmy Kinga oraz notatki, z których wynikało, że Vahnich ma powiązania z Barone'em i wieloma innymi nie wymienionymi z nazwiska osobami trzecimi z Ameryki Południowej. Były tam również meldunki o poczynaniach Vahnicha w Stanach i za granicą.

Pike przeczytał je i wszystko zrozumiał. Podniósł wzrok.

- Vahnich zarabia pieniądze dla terrorystów.

Pitman robił wrażenie zmęczonego. Kiwnął głową.

-Krótko mówiąc. Największym źródłem dochodów organizacji terrorystycznych, nie licząc państwowych dotacji w krajach Bliskiego Wschodu, są narkotyki. Kupują je, sprzedają, inwestują i zgarniają zysk. To bogate skurwysyny. Nie mówię tu o oszołomach, którzy wysadzają się w powietrze, tylko o organizacjach. Tak jak każda machina wojenna na świecie, one też pożerają pieniądze i chcą coraz więcej. Właśnie tym zajmuje się Vahnich. Jest ich bankierem. Inwestuje pieniądze, a zysk idzie na rozwój organizacji.

-Współpracował z Kingami?

-Prawa ekonomii są takie same dla wszystkich: dla republikanów, dla demokratów, baronów narkotykowych i dla Al Kaidy. Lokowanie kapitału w różnych przedsiębiorstwach ogranicza ryzyko. Kingowie to potentaci handlu nieruchomościami, a Vahnich chce lokować gdzie się da. Przeznaczył dla nich sto dwadzieścia milionów. Sześćdziesiąt od karteli, sześćdziesiąt prosto ze strefy wojennej. Mam te pieniądze znaleźć i przechwycić.

-Pieniądze.

-Pieniądze terrorystów. Wolalbyś, żeby poszły na szkolenie zamachowców?

-Gdzie one są?

-Nie wiem. Był transfer na konto zagraniczne Kingów, ale tego samego dnia całą kwotę przelano dalej, nie wiemy gdzie. Może właśnie dlatego Vahnich ich zabił. Może chciał je odzyskać.

-A więc chodziło o nieruchomości.

Pitman roześmiał się, lecz był to śmiech cyniczny i oschły.

- Pike, nieruchomości rządzą całym światem. Nie czytasz gazet?

Pike patrzył na niego, myśląc o Khalim Vahnichu, Kingach i o tych z Ekwadoru. Most syczał od przejeżdżających samochodów, brzęczała siatka. Pike myślał o Larkin, która



czekała w Echo Park odcięta od rodziny, od normalnego życia, z dybiącym na nią Vahnichem na karku.

-Dlaczego Vahnich chce ją zabić?

-Nie wiem. Myślałem, że wiem. Myślałem, że chodzi o Kingów.

-Kingowie nie żyją.

-Nie wiedziałem, że będzie próbował ją zabić. Skąd mogłem wiedzieć?

-Powinieneś był powiedzieć im prawdę. Terrorysty jeszcze nie opanowali Los Angeles, wciąż mieszkamy w kraju ludzi wolnych. Powinieneś był ich uprzedzić, z kim mają do czynienia.

Pitman jakby nic z tego nie zrozumiał. Pokręcił głową.

-Mówiłem im.

-Co mówiłeś?

-Wiedzieli o Vahnichu. Dziewczyna nie, ale jej ojciec wiedział. Zabronił jej mówić.

Pike musiał mieć skonsternowaną minę, bo Pitman dodał:

-Rozmawialiśmy o tym wiele razy, jej ojciec, jego adwokat i nasi ludzie. Nie chcieliśmy zrażać do siebie chętnego do współpracy świadka, ale musieliśmy zachować dyskrecję. Barkley twierdził, że córka może się wygadać. Radził, żebyśmy się wstrzymali i powiedzieli jej o Vahnichu tuż przed procesem.

-Radził? Wam? Okłamał córkę?

-Jest niezrównoważona. Mogłaby zwrócić na siebie uwagę.

Mimo ciepłego poranka Pike'owi zrobiło się zimno. Pomyślał o Larkin, która tak rozpaczliwie chciała ostrzec ojca. Która tego żądała.

- To wariatka. Chyba zdążyłeś się już o tym przekonać.

Pike spojrzął na odznakę Pitmana. Przypomniała mu się jego odznaka. Zrezygnował z niej, żeby pomóc rodzinie Wozniaka. Kochał tę „blachę” i wszystko to, co sobą repre-

zentowała, ale bardziej kochał bliskich swego partnera. Bliscy potrzebują kogoś, kto by ich bronił. Tak uważał.

-Ona chciała zrobić tylko to, co trzeba.

Schował pistolet.

-To wszystko.

Pitman szarpnął plastikowymi kajdankami.

- Przetnij to. Przyrowadź ją do nas. Ochronimy ją, a ty mógłbyś pomóc nam namierzyć Vahnicha.

Pike otworzył drzwiczki.

- Jesteś przykuty do kierownicy. Nie potrafisz ochronić nawet sam siebie.

Wysiadł z kluczykami i odznaką. Pitman zdał sobie sprawę, że Pike chce odejść i szarpnął się jeszcze mocniej.

-Kurwa mać! Co ty robisz? Pike wrzucił odznakę do kanału.

-Tylko nie odznakę!

Pike wrzucił do wody kluczyki.

- Pike!

Pike odszedł, nie oglądając się za siebie.

## 37

### *Elvis Cole*

Jechał do Larkin, ale po drodze wpadł do biura po bil-lingi. Przyjaciółka z telekomunikacji przefaksowała mu dwadzieścia sześć stron numerów, połączeń przychodzących i wychodzących, po części identycznych, po części nie. Cole zamierzał je wszystkie sprawdzić, ale Larkin mogła mu pomóc. Lubił ją. Była zabawna, bystra i śmiała się z jego żartów. Trzy w jednym.

Kiedy wszedł, leżała na sofie, oglądając telewizję i słuchając iPod'a.

- Jak można oglądać telewizję i jednocześnie słuchać muzyki?

Poruszała iPod'em.

-Czy w latach osiemdziesiątych przestano komponować? Widzicie? Była zabawna.

-Muszę zatelefonować, a potem mi pomożesz.

Usiadła wyraźnie zainteresowana.

-W czym?

- W układaniu numerów telefonicznych. Musimy rozrysować drzewo połączeń przychodzących i wychodzących z numerów, które znalazł Pike. Prześledzimy je i może na tkniemy się na Vanicha. Fajne?

-Nie.

- To tak jak w „Połącz kropeczki”. Nawet ty sobie poradzisz.

Pokazała mu środkowy palec.

Cole pomyślał, że jest świetna.

Posadził ją przy stole i zakreślił numery należące do Jorge, Luisa i kogoś, kogo uważali za Khalego Vanicha alias Alexandra Meesha. Pokazał jej, co robić i usiadł na sofie z telefonem w ręku. W biurze czekała na niego wiadomość od Marli Hendricks. Marla poinformowała go, że magazyn na parceli 18 185 należy do Rodzinnego Funduszu Powierniczego Tannera, właściciela wielu dużych nieruchomości handlowych w centrum Los Angeles, z których wszystkie były na sprzedaż. Marla była bardzo dokładna, jak to ona. Dr William Tanner kupił magazyn w sześćdziesiątym ósmym, a w siedemdziesiątym piątym włączył go do majątku funduszu. Nieruchomość nie była nigdy zastawiana czy zajmowana przez komornika, nie ciążyły na niej żadne wierzytelności. Funduszem zarządzała

najstarsza córka Tannera, Elizabeth Little, była adwokatka, obecnie szefowa działu sprzedaży. Marla załączyła jej adres domowy - w Brentwood - i trzy numery telefonów.

- Jak ci idzie? - spytał Cole.

Larkin siedziała pochylona nad stołem.

-To nie różniczki.

-Teraz mi nie przeszkadzaj.

Znowu pokazała mu palec.

Zadzwoił do Elizabeth Little i złapał ją już za pierwszym razem; chyba się gdzieś spieszyła.

- Tak, słucham.

-Nazywam się Elvis Cole. Jestem prywatnym detektywem...

-Skąd pan ma ten numer?

-Jestem detektywem, szanowna pani. Dzwonię w sprawie pewnej nieruchomości. Mój klient jest zainteresowany jej kupnem.

Stary chwyt. I zawsze skuteczny.

-Której nieruchomości?

-Magazynu na parceli osiemnaście sto osiemdziesiąt pięć w śródmieściu.

-A tak. Należy do mojego ojca. Rozwiązujemy fundusz. Postaram się odpowiedzieć na pańskie pytania, ale o warunkach powinien pan porozmawiać z naszym brokerem.

Jej głos brzmiał normalnie. Nie był to głos ktoś, kto palnął komuś w łeb albo znał kogoś, kto to zrobił.

-Chodzi mi tylko o kilka podstawowych informacji.

-Reprezentuje pan kupującego?

-Tak jest.

-W takim razie muszę pana o czymś uprzedzić. Owszem, rozważymy waszą ofertę, ale nawet jeśli będzie ciekawa, zostanie potraktowana jako rezerwowa, tak jak wszystkie inne. Czy pański klient się na to zgodzi?



- Jako rezerwowa... To znaczy, że magazyn jest już sprzedany?
- Podpisaliśmy z kimś umowę premiovą transakcji terminowej na wszystkie siedem budynków, które sprzedajemy. Ale nie przypuszczam, żeby pański klient musiał się tym martwić. Umowa wkrótce wygasa.
- Ktoś kupuje wszystkie siedem?
- Handel nieruchomościami w śródmieściu kwitnie, w tych parcelach tkwi olbrzymi potencjał. Czy pański klient byłby zainteresowany wszystkimi siedmioma?
- O jakiej cenie mówimy?
- O małej dwójce.
- O dwóch milionach dolarów? Elizabeth Little roześmiała się wesoło.
- O dwustu milionach.
- To był tylko żart. Wiedziałem, o czym pani mówi.
- Oczywiście. Przy tak wysokich cenach transakcje terminowe są dość powszechne. Klient musi mieć czas na zebranie pieniędzy. Do transakcji dochodzi albo nie. Wszystko wskazuje na to, że do tej nie dojdzie, a wtedy sprzedamy budynki oddzielnie. Jeśli pański klient będzie zainteresowany, możemy porozmawiać.
- Przekażę mu to. Ten klient, ten terminowy, ile miał czasu na zebranie funduszy?
- Cztery miesiące.
- Aha. Za umowę terminową się płaci. Ile kosztuje czteromiesięczne prawo do zakupu nieruchomości wartej dwieście milionów?
- W tym wypadku sześć milionów.
- Które przepadną, gdy umowa wygaśnie?
- Tak, a wygasa... Niech no pomyślę, nie mam tu kalendarza... Chyba za cztery dni. Może za trzy. Dokładną datę zna nasz broker. Proszę do niego zadzwonić.

-Dobrze, przekażę. Jeszcze jedno. Pogniewa się pani, jeśli spytam o nazwisko tego klienta?

-Ależ skąd. Stentorum Real Holdings. Nie znam ich numeru, ale tak jak mówię, proszę zadzwonić do naszego brokera. Tamci nie zdołali zebrać pieniędzy, więc może pański klient wskoczy na ich miejsce. Bardzo byśmy chcieli to załatwić.

Stentorum Real Holdings - Cole zapisał tę nazwę na kartce. Właśnie skończył rozmowę, gdy przyszedł Pike. Stał w drzwiach i zamarł jak posąg. Larkin poweselała.  
-Hej!

- Yo! - rzucił Cole.

Pike ani drgnął. Nie powiedział ani słowa. Zawsze wyglądał dziwnie, ale teraz przeszedł sam siebie. Cole zastanawiał się, co się stało.

- Gadałeś z braciszkiem?

Pike poszedł do łazienki. Dziwne.

Cole zadzwonił do biura numerów.

-Stentorum Real Holdings, poproszę. Tak, w Los Angeles.

Larkin podniosła głowę.

-Co powiedziałeś?

-Stentorum Real Holdings.

-To firma mojego ojca.

Komputer z biura numerów podał numer. Cole zapisał go, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Podszedł do stołu. Położył notes tak, żeby dobrze widziała. Stentorum Real Holdings.

- Należy do twego ojca?

- Technicznie rzecz biorąc, do mnie też. To jedna z czterech firm należących do rodziny.

Szum wody ucichł i z łazienki wyszedł Pike. Był bez koszuli, po prysznicu, jakby wrócił tylko po to, żeby zmyć

z siebie zapach miejsca, gdzie był lub tego, z kim rozmawiał. Miejsca, gdzie go postrzelono, pokrywała pajęczyna starych blizn. Włożył bluzę.

-Zerknij na to - powiedział Cole.

Zaczekał, aż Pike do nich podejdzie.

-Na co?

- Ojciec Larkin jest właścicielem Stentorum Real Holdings. Stentorum chce kupić magazyn na parceli osiemnaście sto osiemdziesiąt pięć i sześć pozostałych budynków należących do tego samego właściciela. Wykupili prawo do czteromiesięcznej transakcji terminowej, ale umowa nie długo wygasa.

Cole patrzył na Pike'a, a Pike, z twarzą pustą i nieprzeniknioną, na Cole'a. Larkin wyczuła, że coś jest nie tak, ale nie rozumiała dlaczego, bo nie wiedziała tego, co wiedzieli oni. Cole po prostu czekał, aż Pike zdecyduje, co jej powiedzieć, a czego nie.

Larkin potrząsnęła głową.

- Co to znaczy? Na pewno? Ojciec kupuje ten magazyn? Ten, gdzie znaleźliśmy zwłoki?

Pike wyciągnął do niej rękę. Larkin położyła palce na jego palcach. Pike zacisnął swoje. Cole widział, jak Pike robi pompki na kciukach; widział, jak robi pompki na palcach wskazujących. Pike rozgniatał orzechy jak bańki mydlane, ale nie teraz.

- Trzymaj się - powiedział. - Weź się w garść, bo będzie jeszcze gorzej.

Pięć minut przedtem Cole pomyślał, że Larkin wygląda jak dwunastolatka. Teraz miała twarz stuletniej staruszki. Spojrzała na niego, potem znowu na Pike'a. Z posępną determinacją kiwnęła głową.

-Wal. Z obu luf.

-Twój ojciec i Gordon Kline wiedzieli, że Meesh to Khali

Vahnich. Dogadali się z Pitmanem i postanowili nic ci nie mówić. Pitman twierdzi, że to nie był jego pomysł. Że to był pomysł twego ojca.

Cole obserwował rękę dziewczyny w dłoni Pike'a. Zaciśnięła palce tak mocno, że wyszły jej ścięgna, ale twarz miała jak z kamienia.

-Po co mieliby to robić?

-Nie wiem.

-Robili razem interesy, ci odrażający ludzie i mój ojciec?

-Na to wygląda.

Larkin odchyliła się do tyłu i roześmiała, lecz nie puściła jego ręki.

-Na razie to tylko domysły - wtrącił Cole. - Popytamy.

-Ja z tym dorastałam! Spór czy kłótnię w interesach poznam na kilometr! Nie mogli się dogadać i ktoś musi za to beknąć. Vahnich zabił Kingów. Teraz chce zabić mnie i...

Larkin spojrzała na usiane numerami telefonicznymi kartki i podniosła wzrok.

- To mój ojciec?

Cole nie zrozumiał, o co jej chodzi, ale Pike czytał w jej myślach.

- Dowiem się.

Larkin zbladła i jej opalona twarz pokryła się plamami. Miała zbolełe oczy człowieka zdruzgotanego przez życie, człowieka, któremu wydarto z serca ostatni skrawek miłości.

- Nie chcę - odparła. - Nie rób tego. Proszę. Nic mi nie mów.

Dopiero wtedy dotarło do Cole'a, o co go spytała: czy to jej ojciec donosił Vahnichowi, gdzie jej szukać.

- Za dużo tych wszystkich domysłów - powiedział. - Chodź. Pora trochę popracować.

Wstał i ruszył do drzwi. Pike zawahał się i poszedł za nim.

*Larkin Conner Barkley*

Patrzyła za nim i gdy przekraczał próg, gdy drzwi obramowały jego postać jak zdjęcie w czasopiśmie, zastygł tam na chwilę w czasie i przestrzeni. Mężczyzna rosły, lecz nie wielkolud. Ot, taki przeciętny. Z opuszczonymi rękawami bluzy i odwróconą głową robił wrażenie aż do bólu normalnego, dlatego pokochała go jeszcze bardziej. Superman nic nie ryzykował, natomiast ktoś zwyczajny ryzykował wszystko.

Gdy z ręką na klamce spojrział przez ramię, zobaczyła pustkę na jego twarzy i błyszczące ciemne okulary. Potem drzwi się zamknęły i została sama.

- Napraw to. Proszę. Napraw.

Powiedziała to do pustego domu i poczuła się tak głupio, że aż się zawstydziała.

Bała się bardziej niż wtedy, kiedy strzelali do niej ci z Ekwadoru. Jeśli porzucił ją ojciec, była naprawdę sama, bardziej sama niż kiedykolwiek, niż mogła to sobie wyobrazić. Czowała się tak, jakby postrzegala świat spoza swego ciała, jakby z niego wyszła. Mimo to wciąż czuła dotyk powietrza na skórze, wciąż słyszała ciszę domu, ciszę tak cichą, że brzmiała jak hałas. Jakby była w tym samym miejscu w dwóch postaciach naraz, jakby postaci te się na siebie nakładały, choć nie do końca stykały. Poza strachem nie odczuwała niczego. Próbowwała, lecz bezskutecznie. Myślała, że będzie zła czy rozżalona, ale ktoś pstryknął przełącznikiem i była tylko pusta.

Poszła do łazienki i spojrzała w lustro. Chciała sprawdzić, czy jest to taka sama pustka, jaką widziała w twarzy Pike'a. Trudno było powiedzieć. Patrząc na siebie, widziała

ojca. Jego oczy i uszy, jego zarys szczęki. Nos i usta miała matki.

- Nieważne - powiedziała.

Nieważne, co zrobił. Był jej ojcem. Jeśli Pike mógł dźwigać ciężar wspomnień o swoim, ona też sobie poradzi.

Wróciła do stołu i jeszcze raz przyjrzała się numerom telefonicznym, schematom połączeń, które próbowała wytropić. Znalazła numer Vahnicha, następnie poszukała go na dwudziestu sześciu gęsto zapisanych kartkach i na wszystkich zaznaczyła. Skończywszy, zaczęła od początku i zaznaczyła te, pod które dzwonił.

Zobaczyła go na dole drugiej kartki. Zobaczyła i natychmiast rozpoznała, bo dobrze go znała.

Vahnich dzwonił do siedziby firmy ojca. Do Barkley Company.

Popatrzyła na numer firmy jeszcze raz i pomyślała, kurczę, to niesamowite, bo chociaż wciąż muskał ją prąd powietrza, wszystko, co odczuwała, odczuwała swoim drugim „ja”, tym, które było poza ciałem. Widziała jak przez mgłę, więc wiedziała, że płacze, chociaż nie łkała ani nie szlochała, chociaż nie zatkał jej się nos. Tak jakby płakał ktoś inny, a ona obserwowała go od środka.

Wytarła oczy, żeby mgła ustąpiła i przerzuciła kartkę. Znalazła ten numer jeszcze w dwóch miejscach, a potem przestała szukać, bo po co?

Joe i Elvis mieli rację. Ojca łączyło coś z tymi ludźmi i teraz obydwójce mieli kłopoty. Vahnich próbował wykorzystać ją, żeby wyciągnąć coś od ojca albo żeby go ukarać, tak czy inaczej, jak dotąd wszystko schrzanił.

Ojciec Pike'a był potworem. Jej ojciec nieudacznikiem. Nieważne. I tak go kochała.

- Napraw to.

Mówiła do siebie.

Biura firmy Barkleya zajmowały trzy górne piętra czarnej szklanej fortecy w Century City, gdzie punktów kontroli, uzbrojonych strażników i wykrywaczy metalu było tyle, że można by nimi zabezpieczyć międzynarodowe lotnisko. Dzwoniąc do Buda, żeby umówić się na spotkanie, Pike myślał, że pojedą do Barkleya do domu, ale okazało się, że wezwano go do biura. Nie powiedział mu, dlaczego chcą się z nim zobaczyć, powiedział tylko, że chodzi o Larkin. Bud się zgodził - bez niego nie przeszliby przez kontrolę.

-Tylko bez broni, Joe - ostrzegł. - Żadnej broni.

-Jasne - odparł Pike.

-Przyprowadzisz ją?

-A ty Pitmana?

-Nic mu nie powiem. Nie powiem nawet Barkleyowi. Czekaćcie w holu, wyjdę do was.

Bud odłożył słuchawkę.

Parkowanie w gmachu firmy Barkleya było prawdziwą przygodą. Kiedy Pike i Cole tam przyjechali, poproszono ich o dokumenty, spisano nazwiska i sprawdzono lusterkiem spód samochodu Cole'a.

- Jeśli będziemy musieli stąd wiać - zażartował Cole - mamy przechłapanę.

Pike nie dał się podpuścić i wciągnął do rozmowy. Myślał o dziewczynie. Chciał odpłacić tym, którzy ją skrzywdzili. Ciągle widział cierpienie w jej oczach, widział, że utknęła w swoim udreżonym świecie sam na sam z bólem, którym nie mogła się z nikim podzielić i od którego nie mogła uciec. Ilekroć to widział, widział samego siebie i chciał ich za to ukarać. Ukarać tak surowo, że musiał w tym celu stać się własnym ojcem, a oni nim. Chciał, żeby wiedzieli, jak to jest: za to, że ją skrzywdzili. Za to, że nadużyli władzy. Za ich arogancję.

-Jesteś strasznie milczący - powiedział Cole. - Nawet jak na ciebie.

-Nic mi nie jest.

Bud czekał w holu z dwiema przepustkami, które musieli nosić na szyi. Już je podpisał.

- Powieście mi, o co chodzi, zanim pojedziemy na górę?

-Nie.

Po jego zachowaniu Pike poznał, że Pitman nie zadzwonił. Przeszli przez bramkę z wykrywaczem metalu, potem wsiadli do specjalnej windy bezpośrednio na ostatnie piętro.

-Jak ona się czuje? - spytał Bud.

-Kiepsko.

- Zapewnijcie jej tylko bezpieczeństwo, nic więcej. Po to tu przyjechaliście. Wygląda na to, że te sukinsyny łąą jak najęte.

Otworzyły się drzwi i wprowadził ich do recepcji, gdzie za biurkiem siedziała starsza kobieta o kręconych włosach. Poznała Buda i przepuściła ich machnięciem ręki.

- Jest gdzieś tam. Jeśli nie ma go w biurze, niech pan popyta. Chyba mają jakiś problem.

Cole trącił Pike'a łokciem i szepnął:

- Już? Dopiero co przyjechaliśmy.

Długim korytarzem przypominającym galerię sztuki doszli do rzędu pustych boksów, w których według Buda powinni siedzieć asystenci. Connera Barkleya znaleźli pod drzwiami gabinetu, z grupą elegancko ubranych kobiet i mężczyzn. Mężczyźni byli w nienagannie dopasowanych garniturach od Brioniego, kobiety w kostiumach od Donny Karan, ale Barkley wyglądał tak, jakby przed chwilą wylazł z łóżka. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, oczy miał zaczerwienione i nerwowo rozbiegane. Zamrugnął na ich widok, poczesał się ręką, spojrzął na Buda i zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałem, że ich tu przyprowadzisz.

Pike chwycił Barkleya za gardło i wepchnął do gabinetu.

Bud zgłupiał.



-Joe!

Chaos wybuchł z siłą serii pocisków mózdzierzowych, ale Pike nie zwracał na to uwagi. Ci elegancko ubrani zaczęli krzyczeć, a Cole kazał komuś spierdalać. Pike przygwoździł Barkleya do ściany, tymczasem on i Bud wpadli do gabinetu i zatrzasnęli drzwi. Bud próbował ich rozdzielić.

- Zwariowałaś? Zupełnie ci odbiło?

Pike ścisnął Barkleyowi szyję. Niezbyt mocno. Tylko troszkę.

- Stentorum Real Holdings.

Oczy Barkleya pływały w różowych sadzawkach. Grubas charczał i gulgotał.

- Nie wiem, czego chcesz.

Bud złapał Pike'a za rękę. Cole stanął obok.

- Jezu, puść go - powiedział Bud. - Tamci dzwonią na policję. Chcesz tu policji?

- Może ja z nim pogadam? - zaproponował Cole.

Pike zabrał rękę. Barkley chwycił się za szyję, zakaszłał

i splunął na podłogę.

- Dlaczego pan to zrobił? Co pana tak rozwścieczyło?

Pike zastanawiał się, czy Barkley nie oszalał.

Bud stanął między nimi i podniósł ręce.

- Spokojnie. Chryste, Pike, co ty wyczyniasz?

- Właścicielem Stentorum Real Holdings jest pan Barkley - powiedział Cole. - Stentorum chce kupić magazyn, w którym znaleźliśmy zwłoki Kingów, ma czteromiesięczną umowę terminową. Ten magazyn jest o krok od miejsca, gdzie Larkin miała wypadek samochodowy z Kingami i Vahniczem.

Barkley wciąż masował sobie szyję.

- O czym pan mówi? Nic o tym nie wiem. Stentorum na leży do mnie, tak, ale nie wiem, o czym pan mówi.

Cole pytał, on odpowiadał, a Pike go obserwował. Obserwował jego oczy i usta, gumowate ruchy ciała. Wsłuchiwał się w brzmienie głosu, porównując jego melodię

z nerwowymi ruchami rąk, z tym, na czym w danej chwili skupiał uwagę. Uznał, że Barkley mówi prawdę.

- Wiedział pan, że Alex Meesh to wymysł?

Barkley się zaczerwienił. Przestał patrzeć mu w oczy, odwrócił wzrok i spojrzał w lewo. Był zawstydzony.

- Uznaliśmy, że to jedyny sposób.

Bud podszedł bliżej, ale stanął przodem do Barkleya.

-Wiedzieliście o Vahnichu? Jezu, Conner. Na miłość boską!

-Jak to jest z tym magazynem? - spytał Cole. - Rozmawiałem z jego właścicielką. Podpisała ze Stentorum umowę na premię transakcyjną terminową.

-Nie zajmuję się takimi sprawami. Mam od tego ludzi.

-Kline'a - wtrącił Pike.

Barkley odsunął z twarzy kosmyk rzadkich włosów.

- Gordon zniknął. Nie ma go. Pokażę wam...

Zaprowadził ich na koniec korytarza. Pike dopiero teraz zrozumiał, dlaczego ta część biura jest pusta: wszyscy byli w gabinecie Kline'a, wszyscy przeszukiwali jego dokumenty, sprawdzali komputer i komputery jego asystentów.

-Przypuszczamy, że uciekł wczoraj wieczorem - powiedział Barkley. - Ale nie wiem. Brakuje...

-Pieniądzy? - wpadł mu w słowo Bud.

-Chyba tak. Tak. Są rozbieżności. Odkąd zaczęło się to zamieszanie z Vahnichem, praktycznie tu mieszkał. Mówił, że się boi.

Cole podszedł do biurka z komputerem, przy którym siedziała ekipa speców Barkleya.

- Czy za pośrednictwem Stentorum mógł kupić jakąś nieruchomość bez pana wiedzy?

- Oczywiście. Dałem mu wolną rękę. Ufałem mu.

Cole rozejrzał się po pokoju i głośno spytał:

- Kto ma wykaz jego telefonów? Szybciej, ludzie, przecież musicie mieć wykaz? Kto go przegłęda?

Dwie kobiety siedzące obok siebie na sofie miały taką minę, jakby nie wiedziały, odpowiedzieć czy nie, ale ponieważ Cole przyszedł z Barkleyem, starsza z nich podniosła rękę.

-My.

Cole podszedł do nich i poprosił:

- Zaczynjcie miesiąc wstecz. Wszystko jedno, od którego dnia. Są tu również spisy połączeń komórkowych i prywatnych?

-Tak.

W ramach dodatkowych świadczeń urzędnicy wysokiego szczebla otrzymywali darmowy serwis telefoniczny. Firma pokrywała ich rachunki, zakładając, że ludzie ci załatwiają przez telefon ważne sprawy służbowe.

Kobieta przerzuciła kilka kartek, znalazła odpowiednie daty i Cole przesunął po nich palcem. Doszedł do końca strony, sprawdził następną i podniósł wzrok.

- To numer, który znaleźliśmy w telefonie Luisa. Vahnich.

Pike podszedł do Barkleya i zniżył głos.

- Czy to Kline zaproponował, żeby skłamać Larkin o Vahnichu?

Barkley kiwnął głową i nagle zdał sobie sprawę, dlaczego Pike go o to spytał.

- Gordon mówił Vahnichowi, gdzie ona jest?

Bud miał taką minę, jakby zrobiło mu się niedobrze, ale Barkley wyglądał jeszcze gorzej.

- A to skurwysyn. Prawdopodobnie próbował grać na czas. Pewnie się wściekł, że opóźnia pan podpisanie umowy.

Barkley odwrócił się, oparł o ścianę i zwymiotował. Prawie wszyscy obecni w pokoju zerknęli w jego stronę i szybko odwrócili głowę. Na pomoc pospieszył mu tylko elegancko ubrany młody okularnik, który podbiegł do barku i wrócił z serwetką.

- Przepraszam.

Barkley powiedział to szczerze i Pike szczerze mu współczuł.

-Vahnich wyłożył sto dwadzieścia milionów dolarów na inwestycję z Kingami, sześćdziesiąt milionów od ekwadorskiego kartelu narkotykowego i sześćdziesiąt z własnych źródeł. To znaczy, że stoją za tym terroryści, Conner. Kingowie dogadali umowę i zamierzali przyjść do pana po resztę.

-Nikt do mnie nie przyszedł. Nic o tym nie wiem.

-Potrzebowali dwustu milionów - ciągnął Cole. - Kline myślał, że uda mu się pana okraść albo wykorzystać pozycję pańskiej firmy do zebrania brakujących osiemdziesięciu milionów, ale nie chciał wciągać w to Kingów. Musiał kupić te nieruchomości za pośrednictwem pańskiej firmy, żeby ukryć swoje machlojki. Tak więc Kingowie wyłożyli sto dwadzieścia milionów, ale on nie zdołał zebrać reszty. Może Vahnich przestraszył się, że tak długo to trwa i zażądał zwrotu kasy. Kline uznał pewnie, że to przez pana.

Barkley słuchał go jak pies, który czeka na kopniaka.

Wszyscy pozostali też. Barkley wytarł usta.

-Adwokaci doradzili mi, żebym zawiadomił policję i komisję bankową. Powinienem zadzwonić do agenta Pitmana. I ściągnąć tu biegłych księgowych.

-Ma pan większy problem - powiedział Pike. - Vahnich nie odpuścił, dalej chce odzyskać pieniądze.

Kiedy Barkley zdał sobie sprawę, co to znaczy, znowu się zaczerwienił i wziął głęboki oddech.

-Co z Larkin?

-W porządku.

-Czy ona... - Barkley zawahał się, ale wreszcie to powiedział: - Czy ona wie, że ją okłamałem?

-Wie.

-Chcę się z nią zobaczyć. Chcę przy niej być. Pike zerknął na Cole'a i Cole kiwnął głową.

-Zawieziemy pana.

Pike jechał z Budem i ojcem Larkin, Cole za nimi. Bud prowadził, Pike siedział obok, Barkley z tyłu. Pike powiedział Budowi to, czego dowiedział się od Chena na temat tożsamości tych z Ekwadoru i ich możliwych powiązaniach z MS-13, ulicznym gangiem Mara Salvatrucha. Bud zadzwonił do znajomego z oddziału do walki z gangami i kazał mu sprawdzić, czy na liście MS-13 z Los Angeles nie ma kogoś o imieniu Carlos. Skończył rozmowę i dalej jechali w milczeniu.

Jazda z Budem za kierownicą miała w sobie coś dziwnie znajomego, coś, co się Pike'owi nie podobało, bo zmuszało go do rozdrapywania starych ran i powrotu do miejsca, które kiedyś dobrowolnie opuścił. Żeby o tym nie myśleć, słuchał Barkleya. Barkley wisiał na telefonie, nerwowo sapiąc i instruując swoich dyrektorów i adwokatów.

- Kopę lat, posterunkowy Pike - rzucił Bud.

Pike zerknął na niego i wiedział już, że Bud czuje to samo, że i jemu udzieliła się zażyłość, z jaką rozpracowywali kiedyś sprawy i tropili przestępców. Zażyłość ta Buda ożywiła, ale dla Pike'a tamte dni już dawno minęły. Wskazał ręką przed siebie.

- Skreć tu.

Krętymi uliczkami zaprowadził ich do ich małego domu. Lexus wciąż stał na podjeździe, na gankach wciąż siedzieli starcy. Dwóch armeńskich kuzynów myło bmw, Adam i ktoś, kogo Pike nie znał. Spojrzeli na nich, kiedy Bud zaparkował. Cole stanął trochę dalej.

Barkley zamknął w końcu klapkę telefonu i pochylił się do przodu.

- Mieszkaliście w tym czymś? Larkin musiała skakać z radości.

Pike nie odpowiedział. Wysiadł, zaczekał, aż przykuśtyka

do niego Cole i ruszył w stronę domu. Wskoczył na ganek i głośno zapukał, żeby ją ostrzec.

- To ja.

Włożył klucz do zamka i natychmiast wyczuł, że zasuwa jest otwarta. Pchnął drzwi.

- Larkin.

W środku panowała stężyła cisza pustego domu.

Cole, Bud i Barkley weszli na ganek.

-Larkin!

-Larkin, jesteś tu? - zawołał Barkley.

Pike spojrział na Cole'a i rozdzielili się: Cole poszedł do kuchni, a on sprawdził pokój i łazienkę. Jej rzeczy były nie-  
tknięte, niczego nie brakowało, nie było żadnych śladów  
walki - znowu to samo, tak jak przed dwoma dniami. Lar-  
kin zniknęła.

Barkley zmarszczył czoło i wziął się pod boki.

- Podobno miała tu być.

Pike szedł już do drzwi, gdy na podwórzu rozległ się  
głos młodego chłopaka:

- Elo, ziom!

Na trawniku stał bosy i mokry Adam. Osłaniał oczy  
przed słońcem, mimo to Pike wyczuł, że Armeńczyk coś wi-  
dział i że jest źle.

-Wszystko spoko? Z Moną też?

-Nie ma jej. Widziałeś, gdzie poszła?

Cole, Bud i Barkley wyszli na ganek. Stanęli za Pikiem.

- Pojechała z jakimś ziomalem. Ale to chyba nie był ten,  
co ją nachodzi.

- Kto ją nachodzi? - spytał Barkley - O czym on mówi?

Pike zeskoczył z ganku, Bud też. Cole ostrożnie zszedł  
po schodkach. Mleczne niebo oślepiło nawet Pike'a.

- Ktoś po nią przyjechał?

- Tak, ale wszystko było spoko-luz, sama chciała. Ina  
czej byśmy coś powiedzieli.

Cole spróbował go uspokoić.

-Nie zrobiliście nic złego. Opowiedz, co się stało.

-Staliśmy tam. Nie zawołała do nas ani nic, jakby wszystko było okej. Wsiedli i pojechali.

-Kędy to było?

-Jakieś pół godziny temu, coś koło tego. Właśnie zaczęliśmy myć gablotę.

Bud poszedł bliżej. Nawet w ładnym garniturze wyglądał jak uliczny gliniarz, ale Pike widział, że jest spięty. Lar-kin zniknęła i powietrze było przesycone elektrycznością.

-Przyjrzałeś się tym facetom i samochodowi? Może twój kumpel się przyjrzał?

-To był mój kuzyn Garo. Tak, widzieliśmy ich. Dwóch Latynosów i biały. Gablota marzenie, pełny wypas. Nie w moim stylu, ale super, taka długa, dupiasta, na pewno amerykańska, niziutka, z niskimi fotelami...

-Lowrider?

-O właśnie. Nie wiem, jakiej marki, ale był odlotowy. Czarny, z chromowanymi felgami...

-Pamiętasz numer rejestracyjny? - przerwał mu Pike.

-Nie, bracie, przykro mi.

Bud poszedł do Garo, a Pike pokazał Adamowi zdjęcie Vahnicha. Adam kiwnął głową.

-Tak, to on. To ten, co ją nachodził?

Cole cichutko zasyczał.

-Jezu Chryste. Jak on ją znalazł? Jakim cudem?

Pike czuł się tak, jakby zawiódł. Pomyślał o klubie. Może to wtedy. Może to wtedy ktoś ją rozpoznał, a on tego nie zauważył.

- Czy on wie, gdzie ona jest, czy nie? - zawołał z gan ku Barkley. - Czy ktoś mi może wreszcie powiedzieć?

Pike spojrział na domek, w którym z nią mieszkał, a potem wyszedł na środek ulicy. Zrobił to, nie myśląc, nie wiedział dlaczego. Czarnego lowridera tam nie było, nie zobaczył

śladów opon na asfalcie, ale może właśnie dlatego wyszedł na ulicę. Pchało go naprzód coś ukrytego w DNA. Coś prymitywnego, coś, co kazało mu polować.

Zamknął oczy. Strzegł jej przez pięć dni, a teraz ją stracił. Larkin Conner Barkley zniknęła.

Ktoś dotknął jego pleców.

Rozwarł powieki i zobaczył Cole'a.

- Znajdziemy ją.

Spojrzał mu w oczy i zobaczył cienie za pocieszeniem, dwa małe odbicia: patrzył na niego Joe Pike.

Zabuczła komórka. Zerknął na numer, ale go nie rozpoznał. Odebrał i tak. Zbieżność w czasie była zbyt duża, żeby dzwonił ktoś inny.

-Pike.

-Chcę moje pieniądze.

Znał ten lekki akcent. To był Khali Vahnich.

41

Mówił cicho i spokojnie. Serce gwałtownie przyspieszyło, ale nie chciał, żeby Vahnich poznał, że się boi.

-Czy moja przyjaciółka jest cała i zdrowa?

-Jeszcze jest. Potem zobaczymy. Z kim rozmawiam?

Pike dał znak Cole'owi i wbiegł do domu. Potrzebował ciszy, żeby dobrze słyszeć, i czegoś do pisania. Zamieszanie i błędy zabijają równie szybko jak panika.

- Daj ją do telefonu.

Podszedł do stołu, gdzie leżały papiery i ołówki. Zapisał jego numer.

Vahnich miał urażony głos.

-Nic jej nie jest. Zabiję ją, jeśli nie dostanę pieniędzy, tylko wtedy.

-Jeżeli nie udowodnisz, że żyje, kończę rozmowę.



Do pokoju weszli już Cole i Barkley, i Barkley usłyszał na tyle dużo, że domyślił się, co się dzieje. Ruszył ciężko w stronę stołu, jakby chciał wyrwać Pike'owi telefon.

- Chodzi o Larkin? Ona nie żyje?

Pike uciszył go gestem ręki. Cole zatkał mu usta. Barkley zaczął się szarpać, ale przestał, kiedy Cole szepnęła mu coś do ucha.

- Daj ją do telefonu, Vahnich. Albo nie zwracaj mi głowy.

Pike skupił się na rozmowie. Zatkał prawe ucho i wsłuchał się w odgłosy tła, które mogły zdradzić, skąd Vahnich dzwoni. Ale słyszał tylko głosy, nic więcej. Po chwili do telefonu podeszła Larkin. Jej głos brzmiał normalnie.

-Joe?

-Już do ciebie jadę.

-Nic mi nie jest...

Rozległ się stukot, jakby upuściła telefon. Coś krzyknęła, ale Pike nie zrozumiał co, potem przeraźliwie pisnęła i nagle ucichła. Znowu odezwał się Vahnich.

- Zadowolony? O to chodziło?

Pike się zawahał. Zachowanie spokoju przychodziło mu z coraz większym trudem. Kiwnął głową, dając tamtym znak, że dziewczyna żyje.

-Tak. Inaczej bym z tobą nie rozmawiał.

-Z kim mówię?

-Z jej ochroniarzem.

-Chcę rozmawiać z jej ojcem.

-Będziesz rozmawiał tylko ze mną. Tylko za moim pośrednictwem.

-W takim razie dość tych pogawędek. Jej ojciec przeleje pieniądze i będzie po sprawie. Podam ci numer konta i kody dostępu.

-Zaczekaj, posłuchaj. Pieniądze wziął Kline. Przeleżał je na konto zagraniczne. Nie wiemy, gdzie jest.

-To nie mój problem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Bud. Cole natychmiast dał mu znak, żeby się nie odzywał. Bud kiwnął głową, podszedł do stołu i zaczął coś pisać.

Pike obserwował go, rozmawiając z Vahnichem.

-Zabiłeś Kingów, ale musieli ci powiedzieć, co się stało. To Kline robił z nimi interesy. Barkley nie miał z tym nic wspólnego.

-Coś ci powiem. Te pieniądze riie są moje. Powiercyli mi je niebezpieczni ludzie i teraz chcą, żebym zwrócił. Nie obchodzi ich, skąd je wezmę.

Vahnich popełnił błąd. Na tym właśnie polega problem z mówieniem, a on mówił dużo. Próbował go przekonywać, co znaczyło, że nie panuje nad sytuacją. Pitman się mylił, i to całkowicie, ale mylił się i Pike: Vahnich i jego ludzie nie chcieli zabić Larkin. Chcieli ją uprowadzić, żeby zdobyć kartę przetargową. Ci, którzy wyłożyli pieniądze, próbowali je odzyskać i Vahnich walczył o życie. Można było sprowokować go do popełnienia kolejnego błędu, a za jego strach kupić trochę czasu dla Larkin.

- Pomożemy ci znaleźć Kline'a. Co ty na to? Będziemy współpracować.

Vahnich tylko się roześmiał.

- Ależ oczywiście. Nie, nie, dziękuję, miałbym słabszą pozycję. Teraz mam silną.

Bud pokazał Pike'owi to, co napisał. **ONA DO NIEGO ZADZWONIŁA. OD SĄSIADÓW.**

Lista numerów wciąż leżała na stole. Larkin odkryła, że Kline telefonował do Vahnicha i zadzwoniła. Pike dał znak i Bud pokazał kartkę Barkley owi.

- Dlaczego do ciebie zadzwoniła?

Ale Pike wiedział już dlaczego.

- Chciała mu pomóc, ale zamiast jemu, pomaga mnie. Młode dziewczęta są głupie, prawda?

Pike nie odpowiedział. Patrzył na Barkleya. Barkley był zбитy z tropu.

- Powiedz jej ojcu - ciągnął Vahnich. - Na pewno nie chce stracić takiej córeczki.

Cole podszedł do stołu i też coś napisał. SPOTKAJ SIĘ Z NIM.

Pike kiwnął głową.

- On ją kocha, Vahnich. On tę dziewczynę uwielbia. Ja coś się dogadamy...

Zapisała komórka i Bud odwrócił się szybko, osłaniając ją ręką.

- Usiądźmy razem i dopracujmy szczegóły przelewu - powiedział Pike. - Powiedz, gdzie możemy się spotkać.

Vahnich znowu się roześmiał.

-Przywieziesz pieniądze? Iloma ciężarówkami? Nie żartuj. Barkley zrobi przelew. Wtedy wypuszczę dziewczynę. Nie spotkamy się, przyjacielu. Nigdy.

-Barkley nie jest głupi. Nie przeleje pieniędzy, dopóki nie odzyska córki.

-W takim razie żaden z nas nie dostanie tego, czego chce i obydwaj będziemy smutni.

Pike postanowił zagrać na czas. Skoro Vahnich nie chciał się spotkać, będą musieli go znaleźć.

-Porozmawiam z nim. Nie wiem, gdzie jest, ale porozmawiam. On chce, żeby Larkin wróciła.

-Zapisz te numery...

Vahnich zaczął recytować ciąg cyfr, ale Pike mu przerwał.

-Nie wiem, jak długo potrwa...

-Zapisz je i przeczytaj na głos.

Pike zapisał i przeczytał. Był to numer przelewu i numer konta.

- Dobrze - powiedział Vahnich. - Dobrze zapisałeś. Jeśli

za dwie godziny Barkley nie przeleje pieniędzy, obetnę jej rękę...

-Vahnich...

-Potem zaczekam pół godziny i jeśli pieniędzy dalej nie będzie, obetnę głowę.

Vahnich przerwał połączenie.

Pike ścisnął komórkę, wsłuchując się w ciszę. Cole i Barkley nie odrywali od niego oczu. Bud rozmawiał przez telefon i coś notował. Pike opuścił rękę.

-Larkin żyje, ale Vahnich się z nami nie spotka. Nie jest głupi.

-Czego chce? - spytał Barkley.

-Dwustu milionów. Za dwie godziny.

- Ale ja ich nie wziąłem. Nic o tym nie wiedziałem.

Barkley opadł na sofę i zasłonił oczy dłonią. Twarz miał sfrustrowaną i spiętą.

-Ona naprawdę do niego zadzwoniła? Dobrowolnie z nim poszła?

-Zrobiła to dla pana. Pewnie myślała, że uda się jej z nim dogadać albo przekonać go, żeby pana nie zabijał.

Barkley szybko wstał, jakby chciał przejąć kontrolę nad sytuacją.

-Dobrze, zapłacę mu. W dwie godziny nie dam rady tyle zebrać, ale zapłacę. Niech pan do niego zadzwoni.

-Tak pan tego nie załatwi.

-To zły ruch - dodał Cole. - Dostanie kasę i ją zabije.

-On chce pieniędzy, ja je mam. Co jeszcze można zrobić?

-Znaleźć go.

Bud skończył rozmawiać i podszedł bliżej.

-Mam coś. MS trzynaście, to może być to. Na naszej liście jest dwóch *veteranos* o imieniu Carlos: jeden odsiaduje wyrok, ale drugi należy do grupy, która od lat przemycza do Stanów prochy z Ameryki Południowej...

-To by pasowało - wtrącił Cole.

- Ale są i złe wiadomości. Ten Carlos to Carlos Maroto, gruba ryba. Mieszka w samym środku terytorium kontrolowanego przez gang i niełatwo go będzie znaleźć. A zmusić do współpracy jeszcze trudniej.

Pike wiedział, że Bud ma rację. Gdyby nie czas, mogliby go znaleźć, ale czas szybko uciekał, a namierzenie gangstera na jego własnym *barrio* graniczyło z niemożliwością. Do MS-13 należały całe rodziny i teren ich działania pokrywał kilka dzielnic. Nikt nie zechciałby z nimi gadać, nikt nie pisnąłby ani słowa. W świecie, gdzie najbardziej liczyła się duma i rodzina, gangsterzy, zwłaszcza Latynosi, byli twardzi i nie donosili na przyjaciół. Zwłaszcza na prośbę trzech amerykańskich autsajderów.

Szybkość to życie.

-Musi pójść na współpracę.

-Jasne, już to widzę.

-Mógłby, gdyby poprosił go o to ktoś odpowiedni. Cole zrozumiał, o czym Pike mówi i uniósł brwi.

-Frank Garcia. Frank by to załatwił.

-Ten Frank Garcia? - spytał Bud.

Pike spojrzał na zegarek.

-Jedziemy. Zadzwoń z samochodu.

Cole i Bud ruszyli do drzwi. Pike przystanął obok Barkleya.

-Kiedy się czegoś dowiemy, dam panu znać.

Barkley z trudem wstał.

-Jadę z wami.

-To nie jest...

Barkley zrobił się czerwony jak burak.

- To moja córka i chcę tam być. Na moim miejscu po stąpiłby tak każdy ojciec.

Był gotów go uderzyć. Pike'owi drgnęły usta.

- Proszę - powiedział.

I wyszedł za nim na podjazd.

Jadąc zgodnie ze wskazówkami, trafili na wąską uliczkę między Boyle Heights i City Terrace w pobliżu autostrady we wschodniej części Los Angeles. Jak identyczne pudełka do butów, stały tam pokryte sztukaterią domki oddzielone od siebie podjazdami szerokości jednego samochodu, większość z podwórkami wielkości znaczka pocztowego. Wzdłuż chodnika parkowały amerykańskie samochody, na podjazdach wałały się rowerki i zabawki, a na kilku podwórkach stały gumowe baseny kąpielowe, sflaczałe i martwe w atomowym upale.

Bud jechał powoli przed siebie. Pike siedział obok niego, Cole i Barkley z tyłu.

Barkley pochylił się do przodu.

-Gdzie jesteście?

-W Boyle Hights - odparł Bud. - Powinien pan to wszystko kupić. I zbudować tu, kurwa, wielkie centrum handlowe.

Pike wiedział, że Barkley jest zdenerwowany, ale zdenerwowany był i Bud.

-Widzisz go? Ja nie.

-Przyjedzie. Kazał czekać w samochodzie.

-Przyjedzie czy nie, i tak nie wysiądę. Pełno tu tych pojebów.

Bud nacisnął pedał hamulca i zaparkowali przed domem identycznym jak pozostałe, z tym że na podjeździe tego stała łódź, a pod okapem powiewała amerykańska flaga z żółtą wstążką. Flaga i wstążka wisiały tam tak długo, że wypływały od słońca. Podobne wstążki widzieli na wielu sąsiednich domach.

W samochodach siedzieli młodzi, hardzi zawadiacy, siedzieli albo stali grupkami na słońcu, jakby upał ich nie dotyczył. Większość była w białych podkoszulkach i dzinsach,

w których można by schować kuchenkę mikrofalową, i prawie wszyscy byli mocno wytatuowani. Obserwowali hummera z wystudiowaną obojętnością.

Tataże symbolizowały przynależność do gangu i Bud dobrze je znał.

-Spójrzcie: Florencia trzynaście, Latynoscy Królowie, Surenos, Osiemnasta Ulica. Jezu, ci z Osiemnastej i ci z MS trzynaście natychmiast się wzajemnie mordują. Oni się, kurwa, nienawidzą!

-To gangsterzy? - spytał Barkley.

-Niech pan sobie wyobrazi, że ogląda pan telewizję

-odparł Cole. - Nic panu nie będzie.

-Jest Frank - powiedział Pike.

Na końcu ulicy ukazała się długa, czarna limuzyna i powoli ruszyła w ich stronę. Zaintrygowani gangsterzy wysiadali z samochodów, wyciągali szyję, żeby lepiej widzieć. Barkley *znowu* pochylił się do przodu.

- To ich szef?

Cole parsknął śmiechem.

Pike też uznał, że to zabawne. Pomyślał, że jeśli przeżyje, powtórzy to Frankowi i dawał głowę, że Frank też się roześmieje.

- Kucharz - odparł.

Bud tylko się uśmiechnął. Ponieważ widać było, że Pike nie zamierza mówić nic więcej, odwrócił się do Barkleya i spytał:

- Je pan meksykańskie jedzenie? W domu? Wiem, że ma pan kucharzy, ale może je pan czasem coś na szybko? Tortillę?

-Tak.

- Monsterito?

- Tak, to moja ulubiona.

Supertemat do rozmowy, pomyślał Pike.

Bud odwrócił się i spojrzął na limuzynę Franka.

-Je pan, jedzą wszyscy. Ja też. Kojarzy pan sobie ten mały rysunek na pudełku, Latynosa z sumiastymi wąsami? To Garcia sprzed czterdziestu lat. Ci tu, te pacany: a więc Frank był kiedyś tacy jak oni. Ale potem zaczął robić tortil-le dla ciotki. W jej kuchni, według rodzinnego przepisu. Robił je, robił, aż zrobił z nich imperium warte... ile? - Zerknął na Pike'a, ale Pike go zignorował.

-Pięćset, sześćset milionów - mruknął Cole.

Pike wolałby, żeby przestali gadać, ale Bud znowu odwrócił się do Barkleya.

- Do pana się nie umywa, ale to sumka nie do pogardzenia. Chodzi o to, że Frank nigdy nie zapomniał, skąd pochodzi. Popłacił tu od cholery rachunków za lekarza. Płacił i płaci za szkołę dla dzieciaków. Zwraca dług. Wielu tutejszych siedzi, nawiasem mówiąc, niektórzy dzięki mnie, a on przez całe lata utrzymuje ich rodziny. Myśli pan, że ci chłopcy nie skoczyliby za nim w ogień? Teraz jest bogaty i stary, ale oni wiedzą, że to swojak i że nie odwrócił się od nich, kiedy zaczęło mu się powodzić.

Limuzyna stanęła pysk w pysk z hummerem. Otworzyły się przednie drzwiczki i wysiadło dwóch elegancko ubranych mężczyzn, ochroniarz Franka i jego asystent. Pike poznał ich u niego w domu.

-Skąd pan go zna? - spytał Barkley.

-Mało brakowało i Joe ożeniłby się z jego córką - odparł Bud.

Pike pchnął drzwiczki i wysiadł, żeby uciec od tej opowieści. Poznał rodzinę Franka, kiedy jako młody policjant jeździł na patrolu z Ablem Wozniakiem. Lata później, kiedy zamordowano Karen Garcia, on i Cole znaleźli jej zabójcę.

Zaczekał, aż Frank wysiądzie. Garcia wyglądał jak stu-letni starzec. Jego twarz, ciemna i błyszcząca jak skóra na siodło, miała chropowatą teksturę kory, głowę zdobiła sre-



brzysta korona włosów. Ostatnio był bardzo słaby i przez niezliczone pokoje wielkiej rezydencji w Hancock Park musiano go wozić na wózku, ale podtrzymywany mógł trochę chodzić. Ochroniarz zaczął rozkładać wózek, ale Frank powstrzymał go gestem ręki. Miał ochotę się przejść.

Na widok Pike'a na jego zrytej zmarszczkami twarzy za gościł ciepły uśmiech. Chwycił go za ramię.

- Witaj, serce moje.

Pike objął go, przytulił i cofnął się o krok.

-Carlos przyjechał?

-Abbot rozmawiał z ludźmi, którzy mogli go o to poprosić. Ale nie wie, po co go wezwano. Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Inaczej mógłby ostrzec tego Vahnicha.

Garcia był bystrym starcem, tak jak Abbot Montoya, jego adwokat i prawa ręka. Razem się wychowywali i Frank traktował go jak młodszego brata. Byli razem w gangu White Fence i razem go przerośii.

Ochroniarz wziął Franka pod rękę i dostosowując krok do jego kroku, powolutku ruszyli w stronę domu. Natychmiast otworzyły się drzwi i w progu stanął krzepki czterdziestokilkuletni Latynos. Niski, lecz szeroki w barach, miał pierś kulturysty, cienkie nogi i okrągłą twarz tak krostowatą, że wyglądała jak ananas; jego ręce pokrywały liczne blizny i tatuaże. Przyjrzał się Pike'owi, przeniósł wzrok na Franka i otworzył szerzej drzwi.

- Witam w moim domu, *señor*. Nazywam się Aldo Saenz. Moja matka, Lupę Benitez, była żoną Hectora Guerrery, kuzyna matki pana Montoi.

Frank ciepło uścisnął mu rękę.

- Dziękuję, że zechciał pan spełnić prośbę starca, To dla mnie wielki zaszczyt.

Weszli do saloniku podobnego do tego w domu w Echo Park, gdzie stały meble zużyte, lecz czyste i zadbane. Był to typowy dom rodzinny, z krucyfiksem i ze zdjęciami dzieci,

rodziców i dziadków na ścianach. Dzieci były w różnym wieku, jeden z synów w mundurze żołnierza piechoty morskiej.

Łącznie z Aldo Saenzem Pike naliczył sześciu mężczyzn, dwóch w jadalni i czterech w saloniku. Gdy tylko wszedł, łypnęli na niego spode łba, a dwóch zaczęło się nerwowo wiercić na krześle. Saenz zrobił niecierpliwy gest ręką.

- Krzesło. Szybko.

Jednego z tych w saloniku wymiotło do jadalni.

- Proszę, siadajcie - powiedział Frank. - Nie musicie czekać na starca. Pozwólcie, że się przedstawię: Frank Gar da. A to jest mój przyjaciel...

Przywołał Pike'a i chwycił go za ramię. Zawsze zaskakiwał go swoją siłą. Palce miał jak szpony.

- Kiedy straciłem córkę, kiedy ją zamordowano, ten człowiek znalazł bestię, która to zrobiła. Dlatego teraz, teraz noszę go w sercu. Jest dla mnie jak syn. Pomóc jemu, to pomóc mnie. Chcę, żebyście o tym wiedzieli. Czy mogę rozmawiać z panem Maroto?

Saenz wskazał jednego mężczyzn w jadalni. Maroto był młody - miał trzydzieści kilka lat - i usłyszawszy swoje nazwisko, zdrętwiał, jakby mieli go zaraz rozstrzelać. Wezwali go tu potężni ludzie, ludzie, którzy bez wahania mogli odebrać mu życie. Patrzyli na niego wszyscy obecni.

- Carlos Maroto z Mara Salvatrucha? - spytał Frank.

Maroto nerwowo mrugnął oczami. Bał się, ale widać było, że intensywnie myśli. Kazano mu przyjechać, więc przyjechał, ale gdyby musiał walczyć, na pewno by walczył.

- Tak - odparł.

Frank znowu chwycił Pike'a za ramię.

- Ten człowiek, syn w sercu moim, chce pana o coś pro sić. Tu, w obecności członków naszej rodziny. Ale zanim to zrobi, chcę powiedzieć, że dobrze rozumiem, jak drażliwe

są to sprawy, że mogą wchodzić tu w grę wieloletnie układy między wami i grupami, które reprezentujecie. Dlatego wiedźcie, że nie prosimy o to lekko i bez szacunku.

Starzec zwolnił uścisk i machnął ręką.

- Proś.

Pike spojrział na Maroto.

- Gdzie mogę znaleźć Khalego Vahnicha?

Maroto zmrużył oczy, żeby pokazać, jaki jest twardy, i powoli pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Kto to?

Pike pomyślał, że Maroto może znać go pod innym nazwiskiem. Sięgnął do kieszeni i pokazał zdjęcie Vahnicha. Maroto nie wziął go nawet do ręki, co znaczyło, że jednak go zna.

-Robi pan interesy z Estebanem Barone'em. Barone prosił, żeby zaopiekował się pan Vahnichem i chłopakami z Ekwadoru. Pomaga pan znajomemu. I ja to rozumiem.

-Odpowiedz mu, *homes* - rzucił Saenz. - Nikt tu nikogo nie sądzi.

Maroto był zły, czuł się przyparty do muru.

- O co tu, kurwa, chodzi? Tak, robię z nim interesy, ale co komu do tego?

- Chcę, żeby mi go pan wydał - powiedział Pike.

Maroto nerwowo przestąpił z nogi na nogę i uciekł wzrokiem w bok. Spojrział na pozostałych.

- Kto to, kurwa, jest? Nie znamy go. Z tego, co wiem, facet może być gliniarzem.

Aldo Saenz skrzyżował na piersi potężnie umięśnione ręce i było widać, że z trudem panuje nad nerwami. Odezwał się głosem niskim i groźnym jak toczący się grzmot.

-Jesteś moim gościem. Traktuję cię z szacunkiem, ale nie obrażaj w moim domu pana Garcii.

-Nie chciałem go obrazić, ale tak, robimy interesy z Estebanem Barone'em. Od dawna i z obopólnym zyskiem.

Barone prosił nas o przysługę, więc mu ją wyświadczylimy. Co jeszcze mam powiedzieć?

- Khali Vahnich jest znajomym Barone'a, ale to jeszcze nie wszystko - wtrącił Pike. Podał Saenzowi kartkę z akt In terpolu. - Proszę przeczytać to na samym dole.

Saenz przeczytał i zmarszczył brwi.

- Co to znaczy? Lista terrorystów? Co to jest?

Frank znowu zacisnął palce na ramieniu Pike'a i dźwignął się z krzesła.

- To znaczy, że Vahnich jest moim wrogiem. Żywi tych, którzy chcą nas pozabijać, zaopatruje w broń obłąkanych zamachowców i jest teraz tutaj, w Los Angeles, na naszym własnym *barriol* Chcę dorwać tego skurwysyna!

Saenz zastygł bez ruchu; podnosiła się tylko i opadała potężna pierś. Poszarzała mu twarz, którą pokryły zachodzące na siebie warstwy zmarszczek, w nerwowym tiku zadrgał policzek. Podał kartkę stojącemu najbliżej mężczyźnie i spojrział na Marota.

Ten zbladł i potrząsnął głową.

- Barone prosił, żebyśmy pomogli, więc pomogliśmy. Myślisz, że co, że o tym wiedziałem? Że powiedział: oto mój przyjaciel-terrorysta? Co to, kurwa, jest?

Stojący obok Franka mężczyzna podał kartkę następnemu, ten kolejnemu. Pike'owi przypomniała się żółta wstążka na fladze przed domem. Saenz patrzył na zdjęcie młodego piechociarza i Pike wiedział już, że Frank wybrał odpowiedni dom.

Saenz odchrząknął.

- *Señor* Garcia, zechce pan zostawić nas samych. Z całym szacunkiem, tylko na chwilę.

Ochroniarz i kierowca pomogli Frankowi wstać i wyszli na dwór. Byli dopiero w połowie drogi do samochodu, kiedy Saenz dogonił ich i powiedział, gdzie jest Vahnich.

Wynajmował mały dom na niskim wzgórzu u zbiegu autostrady Glendale i rzeki. Kiedyś całą tę okolicę jak okiem sięgnąć porastały gaje pomarańczowe, ale wykupili je deweloperzy i na łagodnych, rozfalowanych wzgórzach Glassell Park stały teraz domy. Zza tych starszych wciąż wyglądałi pierwotni mieszkańcy tych ziem, uschłe drzewka pomarańczowe z artretycznie powykręcanyimi, czarnymi jak smoła konarami. Pike i Bud dobrze znali tę okolicę, bo dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie rzeki, znajdowała się akademia policyjna.

Bud zrzędził i narzekał.

- Ten pieprzony hummer rzuca się w oczy jak czołg. Równie dobrze mogliśmy przyjechać tu z wielkim transparentem: Uwaga, to my!

- *Następna w prawo. pod górkę - p&wieójia) Pike.* - Powinien być po lewej stronie.

Maroto twierdził, że dom stoi na końcu długiego podjazdu, za drzewkami oliwnymi i karłowatymi dębami, które osłaniają go od ulicy i przed wzrokiem sąsiadów. Vahnich tam podobno nie mieszkał; chciał mieć tylko le>kał do spotkań z tymi z Ekwadoru. Lubił prywatność.

-A jeśli jej tam nie ma? - spytał ojciec Larkin. - Jeśli zawiózł ją gdzie indziej?

-Wtedy Maroto będzie miał ciężką noc. Dlatego Saenz go zatrzymał. Żeby sprawdzić, czy facet nie kłamie i żeby nie mógł ostrzec Vahnicha.

Bud zwolnił.

- To tam. Spójrzcie w lewo.

Biegący z boczem wzgórza podjazd opadał w dół, oddalając się od uliczki. Gdy mijali skrzyżowanie, Pike dostrzegł tylko róg domu i tył niebieskiego samochodu.

- Widziałem niebieski wóz - powiedział Cole - nic więcej. Może mieć tam całą armię.

Pike'owi to nie przeszkadzało. Jeśli on nie widział ich, oni nie widzieli jego. Bud jechał dalej.

- Wezwijmy policję. Trzeba wezwać policję.

Pike zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy **nikt nie** wyszedł na ulicę.

-Najpierw zobaczymy, czy ona tam jest.

-To znaczy?

-Trzeba tam pójść. Zaczekajcie na ulicy. Zadzwoń.

-Chcę iść z panem - powiedział Barkley.

-Tylko się rozejrzę.

Pike ruszył szybko przed siebie i wbiegł truchtem na sąsiedni podjazd. Domy w tej części ulicy stały na zboczu łagodnego wzgórza, każdy mniej więcej metr nad poprzednim. Długi mur oporowy, rząd plastikowych kubłów na śmieci, stare rynny, popękane ze starości worki niewykorzystanych nawozów sztucznych - Pike przystanął, żeby sprawdzić, czy na podwórzu nikogo nie ma, przebiegł między sędziwymi drzewkami pomarańczowymi i przeskoczył przez niski płot.

Omijając drzewa, szedł w poprzek zbocza przez bluszcz i pokrzywy i znalazłszy się poniżej domu Vahnicha, ruszył pod górę. Po kilku krokach, na martwym podwórzu pokrytym gnijącymi pomarańczami zobaczył ranczerski dom z obłazącą farbą. Dom sąsiedni stał nad nim. Podjazd dochodził do wiaty. Niebieski samochód, który widzieli z ulicy, parkował przed czarnym lowriderem i ukrytym pod wiatą nowiutkim chryslerem LeBaron.

Lowrider, Bel Air rocznik 1962, błyszczał w słońcu jak płynny węgiel. Miał podniesioną maskę i zaglądało pod nią dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie o ucieskach, jakich dostarczał tak potężny silnik.

Podwórze wrzynało się w zbocze wzgórza w taki sposób, że mur oporowy i biegnąca wzdłuż muru ścieżka powinny znajdować się po drugiej stronie domu. Pike był pewien, że znajdzie tam okna, a jeśli tak, znajdzie i Larkin.

Między trupami szkieletami drzew ruszył dalej i gdy tylko zmienił się kąt widzenia, zobaczył ją przez oszklone drzwi z tyłu domu. Siedziała pod ścianą pustego pokoju, przodem do wyjścia. Miała chyba związane ręce, ale nie był tego pewny. Z lewej strony do prawej przeszedł przed nią jakiś mężczyzna. Ale nie był to Vahnich. Pike przeanalizował sytuację. W domu było co najmniej sześciu ludzi, pięciu Ekwadorczyków i Vahnich.

Przyjrzał się Larkin i odczuł wielką ulgę. Stracił ją, lecz odzyskał. Siedziała ze złączonymi kolanami, ręce trzymała za plecami. Nie wiedział, czy są związane, ale chciał wiedzieć; gdyby były, miałyby ograniczone ruchy. Nie była chyba ranna ani nic jej dolegało. Podniesiona głowa, szeroko otwarte oczy, skierowany w lewo wzrok - ze wzbudzonymi czarnymi włosami wyglądała hardo i zadziornie. Zastanawiał się, czy wróci kiedyś do swego naturalnego koloru. Coś do kogoś mówiła. Była zła i Pike'owi drgnęły usta. Położył się na ziemi i pomyślał: świetna z ciebie dziewczyna.

Otworzył komórkę, zadzwonił do Vahnicha i Vahnich natychmiast odebrał.

-Tak?

-Barkley przeleje pieniądze. Już to organizuje.

-Mądry człowiek. Podjął właściwą decyzję.

-Mam sprawdzić, czy nie obciąłeś jej ręki i czy w ogóle nie zrobiłeś jej krzywdy. Barkley chce mieć pewność. Daj ją na chwilę.

Vahnich nie zaprotestował.

W pokoju ktoś się pojawił. Przykucnął i przytknął Larkin telefon do ucha. Vahnich. Teraz Pike wiedział już na pewno, że dziewczyna ma związane ręce.

Usłyszał jej głos.

-Joe?

-Nie pozwolę, żeby zrobił ci krzywdę.

-Każe mi powiedzieć, że nic mi nie jest.

-Trzymaj się, nie wymiękaj.

Vahnich podszedł do drzwi. Pike'a to nie zaniepokoiło. Vahnich po prostu patrzył na góry Verdugo za autostradą. Pike mógłby go zabić, ale w domu było jeszcze trzech innych.

-Widzisz? - powiedział Vahnich. - Nic jej nie jest. Zawsze dotrzymuję słowa. Dotrzymam i umowy.

-Jego bankier mówi, że ściągnięcie takiej kwoty potrwa kilka minut. Musieli zlikwidować od cholery kont.

-Rozumiem.

-Zadzwoń. Barkley będzie chciał usłyszeć jej głos. Tak dla pewności. Potem wciśnie klawisz.

-Oczywiście. Nie ma sprawy.

- To dobrze. Nie będzie żadnych problemów.

Rozsądny terrorysta. Uprzejmy i rozważny.

Pike zadzwonił do Cole'a. Czekał na połączenie, zobaczył, że Vahnich odwraca się i znika po lewej stronie drzwi. Niedobrze. Był teraz w głębi domu. Jeden z jego ludzi pilnował od frontu, a dwóch było Bóg wie gdzie.

Cole odebrał.

- Jest tu - powiedział Pike. - W czymś w rodzaju saloniku od podwórza. Ma obstawę. Dwóch przy samochodach od frontu. I co najmniej trzech w domu, ale nie wiem gdzie.

-Widziałeś Vahnicha?

-Tak.

-Jest w domu?

-Tak.

-Bud chce dzwonić na policję.

-Niech robi, co chce. Gdzie jesteście?

-Po drugiej stronie ulicy.

-Może podszedłbyś bliżej? Ty obserwowałbyś dom od



frontu, Bud zostałby na podjeździe i koordynowałby akcję z policją, a... Zaczekaj.

Za przeszklonymi drzwiami pojawił się rosły bysior, którego Pike wcześniej nie widział. Chwyił Larkin za rękę, pomógł jej wstać i wypchnął ją z pokoju. Potraktował ją dość brutalnie, ale Pike'owi nie podobało się głównie *to*, że nie wiedział teraz, gdzie jej szukać. Przytknął telefon do ucha.

- Przenieśli ją. Sprawdzę, co się dzieje.

Zamknął klapkę komórki, doszedł z boku na skraj podwórza i skręcił za dom. Podkraść się do okna, przez chwilę nasłuchiwał, potem wyjął pistolet. Nie musiał odciągać suwadła ani sprawdzać, czy broń jest nabita, tak jak robią *to* w telewizji. Pierwszy nabój był zawsze w komorze; wystarczyło tylko wcisnąć bezpiecznik i pociągnąć za spust. Wiedział, że pistolet jest nabity, bo zawsze był.

Wyprostował się, ale tylko na tyle, żeby zerknąć w róg okna. Larkin, bysior i Vahnich byli w pustym pokoju. Larkin znowu siedziała na podłodze, a bysior jej pilnował. Obydwoje patrzyli na Vahnicha, który właśnie otwierał laptopa. Czekał na telefon od Pike'a. Przeniósł Larkin, żeby mogła porozmawiać z ojcem i żeby sprawdzić na komputerze, czy Barkley przelał pieniądze. Sprawdzi i ją zabije. On albo któryś z jego ludzi poderżnie jej gardło albo ją udusi i natychmiast pojedą na lotnisko, żeby uciec z kraju. Pike zastanawiał się, czy Vahnich zrobi to sam, osobiście.

Ruszył dalej, w stronę wiaty. Po kilku krokach usłyszał głosy tych przy lowriderze. Zamknęli już maskę, ale wciąż stali tam i rozmawiali. Tych dwóch, Vahnich i bysior pilnujący Larkin brakowało jeszcze dwóch. Mogli być wszędzie. Cole. Cole mógł wypatrzeć ich od frontu.

Pike cofnął się, wybrał jego numer i szepnął:

-Gdzie jesteś?

-W krzakach przed podjazdem. Ty?

Krzaki ostrokrzewu rosły dokładnie naprzeciwko Pike'a.

-Widzisz tych dwóch przy lowriderze?

-Są jakieś osiemnaście metrów przede mną.

-Teraz spójrz na samochód. A teraz za samochód.

-Dobra, widzę cię.

-Vahnich, ten, który pilnuje Larkin, plus tych dwóch to razem czterech. Spróbujesz namierzyć dwóch pozostałych?

-Zaczekaj...

Stojący przy lowriderze mężczyźni wyprostowali się nagle i spojrzeli w stronę podjazdu. Pike wiedział, że coś jest nie tak, ale nie widział, na co patrzą. Przytknął komórkę do ucha.

-Co jest?

-Nie wiem. Sprawdzę.

Pike też podniósł głowę i w tej samej chwili usłyszał głos Cole'a.

- Ożeż kurwa...

Przez podjazd szedł Conner Barkley.

## 44

Miał wściekłą minę, co zbiło tamtych z tropu. Pewnie myśleli, że to sąsiad i że będą musieli się go pozbyć, ale Pike wiedział, że szybko otrząsną się z zaskoczenia.

Popędził w kierunku wiaty. Biegł bezszelestnie, czując, że wszystko wzięło w łeb. Barkley spojrział na niego i tamci dwaj poszli za jego wzrokiem. Pike grzmotnął pierwszego rękojeścią pistoletu, ale drugi rzucił się w bok i głośno krzyknął.

Huknął wystrzał i w chwili, gdy z krzaków wyskoczył Cole, krzyknął ktoś jeszcze, ktoś z tyłu. Ci dwaj, ci, których brakowało, stali w drzwiach domu, jeden za drugim, i ten z przodu znowu wystrzelił - ba-bam - ale wtedy Cole trafił go prosto w pierś. Ekwadorczyk nie zdążył jeszcze upaść, kiedy ten stojący z tyłu zatrzęsął drzwi, zostawiając umie-

rającego kumpla na pastwę losu. Zatrzasnął je i na pewno pobiegl w głąb domu.

Obrazy migaly przed oczami jak seria zdjec: Barkley idacy przez podjazd na nienaturalnie sztywnych nogach, wpadajacy na podjazd Bud, Cole - ugiety w kolanach nogi, wyciagniete przed siebie rece - celujacy z pistoletu w tego drugiego, z tym ze ten drugi...

...już klęczał, patrząc na niego z wysoko podniesionymi rękami.

Pike ruszył w stronę domu.

-Larkin...

-Idź - rzucił Cole.

Pike zawrócił. Ten, który zatrzasnął drzwi, musiał narobić wrzasku. Vahnich był pewnie zdezorientowany, pewnie się bał. Każe im - jednemu albo obydwu - pójść sprawdzić, co się dzieje i podejmie decyzję.

Środek dnia, jasnego, słonecznego dnia, a świat zmienił się w piekło. Ich jedyny wybór był wyborem złym: złym dla Vahnicha, złym dla Larkin i złym dla Pike'a. Vahnich mógł albo wziąć zakładniczkę, albo uciec. Nie wiedział, ilu ludzi siedzi mu na karku. Nie wiedział, czy jest otoczony i czy ma z tym coś wspólnego policja, ale gdyby zdecydował się wziąć zakładniczkę, nie miałby szans. Musiałby zostać w domu, a w domu było jak w potrzasku. Pozostawała im tylko ucieczka, najlepszy ze złych wyborów, więc pewnie spróbują uciec - przez okno od podwórza, przez ogród sąsiadów, biec i w razie potrzeby strzelać, zająć jakiś dom, ukraść samochód i modlić się - bo była to ich ostatnia, najlepsza i jedyna szansa.

Pike, biegnąc, usłyszał wystrzały. Jeden oznaczałby egzekucję, ale kilka dawało nadzieję. Tamci strzelali we frontowe drzwi, żeby zmylić Buda i Cole'a, co oznaczało, że spróbują uciec.

Pike wiedział, że Vahnich zabije Larkin, wiedział jednak,

że zrobi to dopiero wtedy, kiedy wyjdą z domu. Nie znając sytuacji, mógł potrzebować jej jako tarczy. Gdyby się okazało, że teren jest czysty, zabiłby ją tuż przed skokiem przez płot, nie wcześniej. Zabiłby ją, żeby ukarać Barkleya, zabiłby, żeby ukarać jego.

Zaległ między drzewami w chwili, gdy otworzyło się okno. Pierwszy wyszedł bysior. Wyszedł, przykląkł na jedno kolano i coś powiedział. Wtedy tamci wypchnęli Larkin. Upadła na ziemię z głośnym sapnięciem. Vahnich wylądował na niej, a na nim niski, masywny Latynos w bandanie. Zbili się w gromadę i Vahnich przyciągnął Larkin bliżej.

Pike oparł pistolet o pień. Czekał, aż będzie mógł oddać czysty strzał.

Gdy zza węgła wychynął Cole, ten w bandanie zobaczył go, wystrzelił i Cole odpowiedział ogniem. Latynos runął na ziemię z przeraźliwym skowytym, lecz natychmiast przyklęknął i znowu wypalił. Cole rzucił się w bok i w tym samym momencie otworzyły się przeszkłone drzwi, zza których wypadł Bud ze spluwą w rękę. Pewnie się zapomniał.

- Policja! - wrzasnął.

Ten w bandanie już się odwracał w jego stronę, ale Pike trafił go w głowę.

Vahnich i bysior zobaczyli go i zasłaniając się Larkin, potruczali w stronę zbocza. Bysior wystrzelił, najpierw w Cole'a, potem w Pike'a, ale kule przeszły bokiem.

- Już po was - rzucił Pike.

Bud przycupnął za ciężką glinianą donicą.

- Rzućcie broń! - krzyknął. - Natychmiast!

Z domu wyszedł Barkley. Nie miał broni i nie próbował się nawet ukryć. Może nie wiedział, że powinien. Jak burza minął Buda, wypadł na podwórze i zatrzymał się, sam, na otwartym terenie.

- Puśćcie ją! - Z ust bryzgnęła mu ślina. - Puśćcie moją córkę!

Bysior wysunął się zza Larkin, żeby wystrzelić. Wysunął się ledwie na cztery, pięć centymetrów, lecz na muszce pistoletu wyglądał doskonale, jak kropka nad „i”. Pike pociągnął za spust i Latynos runął na ziemię jak worek.

Bud wciąż wrzeszczał, ale zdążył odczołgać się w bok, żeby nie postrzelić Barkleya.

- Rzuć broń, do cholery! Rzuć! Już po tobie, skurwysynu! Rzuć to!

Barkley też wrzeszczał, wrzeszczał jak w napadzie szału.

- Puść ją! Puść ją!

Pike wyszedł zza drzewa. Vahnich zauważył go i zasłaniając się Larkin, spojrzał w jego stronę. Skulił się, skurczył i wyjrzał zza jej głowy. Przytknął do jej szyi lufę pistoletu - Pike nie mógł na to pozwolić. Wyszedł na otwartą przestrzeń, przyjął pozycję i wycelował w oko. Wczuł się w rytm jego strachu. Drgnęło oko, drgnęła i lufa. Oko i lufa stały się jednością.

- Jesteś trupem, Vahnich.

Wzgórza musnął pierwszy pocałunek policyjnych syren. Bud i Barkley wciąż krzyczeli. Pike nie widział Cole'a, lecz wiedział, że on też ma Vahnicha na muszce. Na Larkin nie patrzył, bojąc się, że dziewczyna zobaczy jego strach. Widział tylko oko Vahnicha i oko w jego oku.

Vahnich opuścił rękę. Pistolet upadł na ziemię, ale poza tym nic się nie poruszyło. Bydlak podjął decyzję. Postanowił zaryzykować w sądzie.

- Rzuciłem - zawołał. - Poddaję się.

Wtedy odezwał się Bud; Pike słyszał to sto razy.

- Podnieś ręce. Wysoko! Spleć palce na głowie!

Vahnich go posłuchał. Podniósł ręce i splótł palce.

Larkin wciąż stała tuż przed nim, nieco dalej wciąż stał Pike.

- Larkin - powiedział. - Idź do ojca.

Larkin ruszyła w jego stronę.

- Do ojca.

Dziewczyna pobiegła do Barkleya.

- Poddaję się! - powtórzył Vahnich.

Bud wyszedł zza donicy. Cole trzymał na muszce postrzelonych Ekwadorczyków. Celując w Vahnicha, Pike ruszył bokiem przez podwórze, aż znalazł się między nim i Larkin.

-Joe - powiedział Bud. - Policja już jedzie.

-Larkin, wszystko w porządku? - spytał Pike.

-On chciał mnie zabić. Chciał...

-Wiem.

-Posterunkowy Pike... - zaczął Bud.

Pike pociągnął za spust. Rozległ się głośny trzask; na otwartym terenie zabrzmiał dziwnie głucho. Vahnich upadł.

Pike podszedł do nich, żeby zabezpieczyć broń. Sprawdził puls. Wszyscy trzej nie żyli.

Bud patrzył na niego z opuszczonymi rękami, jakby nagle uszło z niego życie. Barkley tulił córkę. Cole wetknął pistolet za pasek spodni.

-W porządku? - spytał.

-Jasne - odparł Pike. - Jak twoja noga?

- Lepiej. Przynajmniej nas nie postrzelili, zawsze to coś. Pike podszedł do Larkin. Barkley patrzył na niego i płał kał. Łzy miliardera wyglądają tak jak każde inne.

Pike położył jej rękę na ramieniu i szepnął:

- Nie pozwolę, żeby zrobili ci krzywdę. Nie pozwolę. Ni komu.

Odwróciła się i zarzuciła mu rękę na szyję. Ukryła twarz na jego piersi, a on przytulił policzek do jej głowy. Patrzył na niego Bud. Bud był smutny i zawiedziony.

- Dalej nie znoszę tych, co znęcają się nad słabszymi - powiedział Pike. - Pogódź się z tym.

Kiedy przyjechała policja, wciąż tulił Larkin.

O tej porze Ocean Avenue wypełniało przydymione, złotawe światło, zwłaszcza tu, nad brzegiem morza. Pike biegł środkiem ulicy, ciesząc się spokojem i rytmem swego ciała. Była za minutę czwarta. Przez ponad trzy kilometry nie przeszkodził mu ani jeden samochód i nie towarzyszyły mu kojoty. Był jedynym drapieżnikiem w mieście, ale już wkrótce miało się to zmienić.

Wyjechała z San Vincente i z rykiem silnika pomknęła przez ciemność w jego stronę. Rozpoznał jej nowy wóz, więc nie zwalniając kroku, biegł dalej po środkowej linii.

Minęła go, zawróciła i dogoniła. Kupiła sobie kabriolet, perłowego aston martina. Dach był opuszczony. Wciąż miała krótkie włosy, ale już nie czarne, tylko rude, jak dawniej. Wykrzywiła usta w uśmiechu. Ucieszył się, że odzyskała pewność siebie.

-Tylko wariaci biegają tak wcześnie.

-Znalazłaby mnie tylko wariatka, która tak wcześnie jeździ.

-Spytałam Cole'a. Przestałeś oddzwaniać.

-Uhm.

-On chce mnie chyba pocałować.

-Uhm.

Fakt, przestał do niej oddzwaniać. Przez kilka tygodni często rozmawiali, ale nie wiedział, co jeszcze mógłby jej powiedzieć.

-Możesz rozmawiać, biegnąc?

-Jasne.

Pozbierała myśli i powiedziała to, co chciała mu powiedzieć.

- Już nie będę zwracała ci głowy. Ale to, że nie będę dzwoniła, wcale nie znaczy, że ty nie możesz zmienić zdania i zadzwonić do mnie. Możesz zadzwonić, kiedy ze-

chcesz, ale ponieważ rozumiem, że wolisz, żebym już nie dzwoniła, więc przestanę.

- Dobra.

Pociemniały jej oczy. Znajomy gniew.

-Przyjacielu, za łatwo się wywinąłeś. Mógłbyś przynajmniej trochę poudawać.

-Nie z tobą.

Samochód jechał tuż obok. Coś mignęło na skraju urwiska i Pike pomyślał, że może to kojot. Po chwili spytał:

- Wierzysz w anioły?

-Nie.

- A ja tak. Dlatego tak jeżdżę. Szukam aniołów. Przy chodzą tylko nocą.

Na to też nie umiał odpowiedzieć, więc nie odpowiedział.

Spojrzała na niego.

-Nie będę dzwoniła, bo tak chcesz. Nie dlatego, że chcę przestać. Pewnie myślisz, że jesteś dla mnie za stary. A ja dla ciebie za młoda. I na pewno nie znosisz bogatych.

-Wybierz coś z tego.

Ucieszył się, bo znowu się uśmiechnęła. Uwielbiał ten drapieżny uśmiech. Ale zaraz potem uśmiech zniknął i zwiłgotniały jej oczy, co podobało mu się trochę mniej.

-Pewnie myślisz, że mi przejdzie - powiedziała. - Ale nie przejdzie. Kocham cię. Tak cholernie cię kocham. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

-Wiem.

- Przestałabym nawet do ciebie dzwonić.

Bolesnie ryknął silnik i aston martin odjechał.

Chwilę później rozbłyły czerwone światła hamowania. Skręciła w San Vincente i popędziła na wschód, do miasta.

- Kocham cię - powiedział.

Biegł samotnie w ciemności, żałując, że nie towarzyszą mu kojoty.



Dzień ostatni

**POCAŁUNEK  
NA POŻEGNANIE**

*Wyspa Żółwia Zatoka  
Tajlandzka 182 dni  
później*

Jon Stone patrzył na błękitną zatokę i marzył o statkach. O żaglowcach z końca osiemnastego wieku, nie o tych plastikowych rakietach wodnych, które mógł prowadzić każdy idiota, tylko o statkach zbudowanych potem i krwią, takich, którymi żeglowali ludzie wierzący w potwory. Wyobraził sobie, że zza cypla wypływa czterdziestodziałowa fregata, że on jest porucznikiem Królewskiej Marynarki Wojennej, którego trzyma na pokładzie honor i obowiązek, którego honor i obowiązek zagnały aż na drugi koniec świata. To były piękne dni i żałował, że go ominęły.

Dom tego typu wprowadził go w marzycielski nastrój; nie ma co, gość poszedł na całość, nie sknerzył, to pewne, ale on znalazł tu również sporo dzikiej, prymitywnej swobody, która aż krzyczała o tamtych zamierzczłych czasach. Zamiast ścian były tu wielkie żaluzje, takie jak w starych dworach na plantacji, i kiedy się je rozsuwało, wewnątrz domu i świat zlewały się w jedno - dom otwierał się wtedy na morze, dżunglę i na ciepłą bryzę pachnącą kwiatami we

włosach kobiety: był jak neokolonialny pałac w tropikach z widokiem na zatokę, na cudowny chaos dżungli przechodzącej w ogród ananasowy, potem w nieskazitelnie białą plażę, a jeszcze potem - błękit na błękitcie - w lazurowy ocean i niebo: jak w fantazji bogatego chłopca marzącego o leśnym domu Tarzana albo jak w jednej z tych afrykańskich rezydencji, gdzie mieszkali emerytowani brytyjscy admirałowie.

Cholernie mu się tu podobało.

Myślał o statkach, gdy ciszę zburzyło przytłumione lump! w głębi domu, pojedynczy odgłos, jakby ktoś uderzył w łóżko kijem baseballowym.

Westchnął, wiedząc, że kończy mu się czas.

- Piękny dom. Mógłbym tu mieszkać.

Powiedział to głośno i wyraźnie, choć nie oczekiwał odpowiedzi. Dom był wielki i nikt go nie usłyszał.

Przez otwartą na oścież ścianę wyszedł na piękny wapienny taras i mrużąc oczy, spojrzał na plażę. Jeszcze trzy, cztery dni i będzie tam gęsto od orkiestr i zwariowanych lasek.

- Imprezka przy blasku księżyca, stary. W Wielkim Budzie mówią, że jest tak w każdą pełnię. Siedem, osiem tysięcy ludzi, wszystkie te kapele, srele i cała reszta: żarcie, pić i tamtarara. Głównie turystki. Podobno szaleją, tylko w tę jedną, jedyną noc, zupełny odlot, bo każda myśli: że co? Że jak coś ten-teges, to się nie wyda? Kurde, trzeba zo stać, brachu.

I znowu nikt mu nie odpowiedział, nie tutaj, nie w dżungli. Do miasta było daleko.

Ręce pocily się w lateksowych rękawiczkach i swędziały. Spojrzał na zegarek i wszedł do domu.

Pracowało ich tu czworo. Kucharz, jakiś, kurczę, kamerdyner, pokojówka i ogrodnik na pełnym etacie. Co wtorek ogrodnik sprowadzał dwóch silnorekicich, żeby po-

mogli mu przy cięższej robocie. Co piątek przychodził facet, żeby chlorować wodę w olbrzymim basenie, a przy podłogach pomagała dodatkowa sprzątaczką. Obserwował ich przez trzy tygodnie i ustawił to wszystko tak, żeby nikt im nie przeszkodził.

Żaden gość, żaden kucharz, żaden świadek.

Kiedy jego ludzie zwęszyli ślad, okazało się, że Gordon Kline nazywa się teraz George Perkins. Powiedział miejscowym, że sprzedał trzydzieści dwie agencje McDonalda w Albercie i przeszedł na emeryturę. Tutejsi zdążyli już przywyknąć, że takie historyjki opowiadają prawie wszyscy Europejczycy i Norte Americanos, a ponieważ większość obcych była zbrojeńcami, którzy polowali tu na tajskich chłopców, to samo pomyśleli o George'u Perkinsie. Tylko że Perkins ukrywał tajemnicę o wiele mroczniejszą niż pedofilia.

Jon szedł do gabinetu dłuższą drogą, czując się tak, jakby towarzyszyła mu ekipa MTV, ci idioci, którzy pozwalają raperom chwalić się swoimi wypasionymi chałupami. Sześćdziesięciocalowe telewizory plazmowe w każdym pokoju, sześciometrowej długości lada barowa z ręcznie kutej miedzi, klimatyzowany, potrójnie oszklony pokój z winami wielkości jego sypialni, gigantyczne akwarium ze słoną wodą i kolorowymi rybkami - Jon zawsze o takim marzył. Gościu miał czarnego hummera, kasztanowego bentleya continentala i bładozielone maserati quattroporite; wszystkie stały pod podwójnymi drzwiami domu. Jon szalał za maserati. Wyobraził sobie, jak jedzie taką gablotą na plażę. Jak wraca do domu z dwiema napalonymi Australijkami.

Wyjął pistolet i opuścił rękę.

Za sto dwadzieścia melonów można kupić dużo, ale nie wszystko.

Doszedł do gabinetu. Facet leżał na brzuchu na pięknej skórzanej kanapie, z ręką i nogą na dywanie. Pojedyncza kula w skroń omal nie urwała mu łba. Na podłodze wciąż zbierała się krew.

-Skończył pan, panie Katz?

-Prawie.

Pike miał paszport na nazwisko Richard Katz z Milwaukee w Wisconsin. Jon na nazwisko Jon Jordan, też z Milwaukee. Partnerzy biznesowi na wspólnym urlopie, i niech miejscowi myślą sobie co chcą.

Pike stał za biurkiem i wcisnął laptopa do kartonu wypełnionego płytkami CD, dokumentami i dwoma twardymi dyskami. Wskazówkami, gdzie Kline ukrył pieniądze Vahnicha. Sto milionów z małym haczykiem.

Stone spojrział na trupa i podniósł pistolet.

- Skurwysyn.

Wystrzelił dwa razy w to, co pozostało z głowy. Huknęło, jakby wybuchła bomba, ale Pike nawet nie drgnął i dalej szperał w biurku.

-Przestań - rzucił przez ramię.

-Pierdolić go. Szkoda, że nie oddałeś go mnie. Potrzy małbym go żywcem przez parę tygodni. Jebany zdrajca.

Stone wycelował i wystrzelił jeszcze raz.

- Przestań, Jon - powtórzył Pike.

Stone opuścił pistolet. Klepnął nim w udo zirytowany, bo sfrustrowany. Ten pierdolony kutas robił interesy z terrorystami i obdarłby go żywcem ze skóry. Połamałby sukinsynowi palce, jeden po drugim, u rąk i u nóg, a potem obrałby go z ciała aż do kości... No dobra, może by tego nie zrobił, pewnie nie, ale miło było o tym pomyśleć i myślał o tym codziennie, odkąd Pike kazał mu go znaleźć. Jon Stone był żołnierzem, najemnikiem, prywatnym brokerem wojskowym, a nawet płatnym zabójcą, ale był również patriotą.

Pistolet Pike'a leżał na podłodze pod kanapą. Pike zastrzelił tę gniądę i rzucił go tam, bo tak to zaplanowali. Broń kupili tu, na miejscu, kompletny szmelc - złom z cyklu wystrzel i wyrzuc - ale tak było bezpieczniej, niż przemycać broń z kraju.

Pike wyszedł zza biurka z kartonem.

- Masz wszystko? - spytał Jon.

Pike burknął *coś* pod nosem. Chyba miał.

Stone wciąż myślał o domu i tym niesamowitym widoku. O tym, że w każdą pełnię na plaży roilo się od wuzdanych lasek.

Znowu klepnął w udo pistoletem.

- Zatrzymajmy to dla siebie, bracie. Bo, kurwa, co? Na porządnego by nie trafiło.

Pike rozejrzał się po gabinecie, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczył.

- Wszystko wraca do domu. Może Pitman zrobi coś z tymi dyskami.

Stone znowu klepnął pistoletem w udo i zerknął na pistolet Pike'a, myśląc, że wszystko poszłoby jak po maśle: dwie kule w korpus i zawartość kartonu należałaby do niego. Resztę życia spędziłby w tym pięknym, pięknym domu.

- Co za gówno.

Podniósł pistolet i wystrzelił, tylko raz, prosto w tyłek Kline'a. Potem rzucił spluwę na trupa.

Byłoby nie fair, gdyby rąbnął tę kasę, ale miło było pomarzyć. I tak zarobił fortunę na kontrakcie Pike'a, bo Pike nie wziął ani centa. Nie chciał. Ale poprosił go o pomoc w namierzeniu Kline'a. Za friko. Trochę do dupy, że za friko, ale cóż.

- Potrzyмай.

Pike podał mu karton i wrócił do biurka. Wyjął coś z kieszeni. Stone zastanawiał się, co on, do diabła, robi i wtedy zobaczył zdjęcie dziewczyny. Larkin Conner Barkley. Pike

oparł je o pojemnik na cygara, żeby stało dokładnie na-przeciwko Kline'a. Dziwny był z niego facet.

Kiedy Stone służył w wojsku, chłopaki zostawiali służ-bowe wizytówki na trupach wroga. Nazywali je kartami śmierci. Żeby tamci wiedzieli, z kim, kurwa, zadarli.

Pike poprawił zdjęcie i wziął od niego karton.

- Dobra. Już.

Krętą drogą przez raj dojechali na lotnisko. Zwrócili wy-najęty samochód i z torbami pełnymi dokumentów, dys-ków i dyskietek poszli do sali odlotów. Sala była mała; mie-ściła się w niskim, płaskim budynku otoczonym przez piasek, muszle i palmy kokosowe.

-Zapałę - powiedział Stone. - Zaczekasz?

-Przy wyjściu na płytę.

Pike zniknął w sali. Stone zapalił, leniwym krokiem do-szedł do końca budynku i oparł się o ścianę, ciesząc się chwilą. Słońce było czyste i jasne, a powietrze tak przejrzyste, że chciałby zostać tu na zawsze.

Miał jedną z tych komórek, które kupuje się przed wy-jazdem za granicę, żeby taniej było dzwonić do domu. Wy-brał numer i zaczął, aż tamten odbierze.

-Załatwione. Wracamy.

-O Chryste, dzięki Bogu. Nic mu nie jest?

-Dzięki, że pyta pan i o mnie.

-Wie pan, o co mi chodzi.

-Pike jest cały i zdrowy. Zrobił to, co musiał. Wiedział pan, że to robi. Ten chłopak do buldog.

-Nie miałem innego wyboru...

-Wiem, wiem.

Jezu, pomyślał Jon. Zamknij się wreszcie! Ten sukinsyn przepraszał go od miesiący, jakby czuł się winny, że spuścił Pike'a ze smyczy. Jon podejrzewał, że facet od samego po-czątku dobrze wiedział, co Joe robi i jak.

Gadał, gadał i gadał:

-Nie wiedziałem, jak inaczej można ją chronić. Wiedziałem, co trzeba zrobić, ale to było ponad moje siły.

-Panie Flynn, muszę już iść...

-To dobry człowiek.

-Tak, wiem. Dlatego jest taki, jaki jest.

-Wracajcie bezpiecznie, chłopcy.

Stone wyłączył telefon. Palił papierosa, ciesząc się czystym niebem i zmysłowym powietrzem, aż wywołano ich lot. Wtedy ruszył, by znaleźć Pike'a.